

Rosamunde Pilcher

**KWIATY
W DESZCZU**

przełożyła
Danuta Błaszak



Prószyński i S-ka

Warszawa 1996

Domek dla lalek

William otworzył oczy. Był sobotni poranek - łączyło się z nim poczucie wolności i spokoju. Słysząc było szczekanie Lodena, jedwabistego spaniela należącego do rodziny. William sięgnął na szafkę nocną po zegarek. Dochodziła ósma. Nie było żadnej naglącej potrzeby, by wstawać właśnie teraz. Chłopiec leżał jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, co przyniesie nowy dzień.

Przez okno wpadały jasne promienie kwietniowego słońca. Po błękitnym niebie sunęły powoli białe obłoki.

Taki dzień nadawał się w sam raz na to, by spędzić go na łonie przyrody. Ojciec zawsze w taką pogodę zabierał ich wszystkich nad morze albo w góry, na długą wędrówkę przez wrzosowiska. Upychał ich do samochodu, wesoło pokrzykując. I jechali razem na wycieczkę.

William starał się przez ostatnie miesiące nie myśleć o ojcu. Nie zawsze jednak mógł się obronić przed napływem wspomnień. Często pojawiały mu się przed oczami niezwykle ostre obrazy, niby film z niedawnej, szczęśliwej przeszłości. Widział ojca, jak z Mirandą na barana idzie wielkimi krokami przez porośnięte paprociami zbocze. Dłuższe wędrówki sprawiały trudność małym, tłustym nóżkom Mirandy i często trzeba było brać ją na ręce... Słyszał ojca czytającego im książki w długie zimowe wieczory. Widział zręczne ręce naprawiające rower lub też dokonujące cudów z bezpiecznikami i kontaktami elektrycznymi.

William zacisnął usta i wtulił głowę w poduszkę, próbując powstrzymać ból. Dzisiaj to wydawało się jeszcze straszniejsze, ponieważ za chwilę musiał stanąć oko w oko z przedmiotem, który leżał w drugim kącie pokoju na stoliczku. Ostatniego wieczoru, gdy już odrobił lekcje, pracował w pocie czoła nad tą okropną rzeczą, a potem poszedł spać kompletnie załamany.

Żywił teraz nieodparte przekonanie, że przedmiot nagrała się z niego i że stawienie czoła temu wyzwaniu przekracza jego siły.

- Nie ma nadziei na to, że będziesz się mógł cieszyć dzisiejszym dniem - szepnął przedmiot złośliwie. - Spędzisz tę pogodną sobotę, borykając się ze mną. I na pewno nic ci się nie uda.

To wystarczyło, żeby znowu doprowadzić Williama do rozpacz. Przedmiot kosztował dwadzieścia funtów i nic nie wskazywało na to, żeby kiedykolwiek mógł wyglądać na coś więcej niż na zwykłe pomarańczowe pudło.

W końcu William wstał z łóżka i podszedł do tego paskudztwa, by jeszcze raz sprawdzić dokładnie, jak się sprawy mają. Być może jest teraz znacznie lepiej niż wczoraj wieczorem. Może to tylko był jakiś koszmar senny.

Niestety, nic się nie zmieniło.

Podłoga, tylna ściana i dwie boczne, kupka kawałeczków drewna - niektóre malutkie jak łebki szpilki. Do tego kilka stron instrukcji, z której trudno cokolwiek zrozumieć.

Osadzić w ścianie ościeżnicę. Zamontować okucie. Zawiesić skrzydło okienne na otworze.

To miał być domek dla lalek. Prezent dla Mirandy na jej siódme urodziny. William trzymał go w sekrecie. Nawet przed mamą. I teraz okazuje się, że nie potrafi doprowadzić sprawy do końca. Nie umie złożyć domku dla lalek, bo jest na to zbyt niezdarny albo zbyt głupi, a najpewniej z obu tych powodów.

Miranda zawsze marzyła o domku dla lalek. Ojciec obiecał jej, że jak tylko ukończy siedem lat, dostanie taki do-

mek. Dziewczynka była na pewno za mała, by zdawać sobie sprawę, że teraz, kiedy ojciec już nie żył, nie wszystkie jego obietnice zostaną dotrzymane.

- Na urodziny dostanę domek dla lalek - chwaliła się. - Obiecali mi.

William, zaniepokojony tym, co powiedziała, odbył poważną naradę z matką. Rozmawiali w czasie kolacji, kiedy to Miranda już prawie od godziny spała w swoim pokoju.

Dawniej, przed śmiercią ojca, William zawsze jadał kolację dużo wcześniej, razem z Mirandą. Potem oglądali telewizję i szli spać. Teraz jednak dwunastoletni William awansował na dorosłego. Jedząc zatem gotowane brokoły, kotlety i tłuczone ziemniaki, William rzekł do matki:

- Ona myśli, że dostanie ten domek dla lalek. Musimy jej go kupić. Ojciec obiecał.

- Wiem. Gdyby ojciec żył, kupiłby jej piękny, niezbyt drogi domek. Ale w tej chwili nawet na to nas nie stać. Nie możemy sobie pozwolić na taki wydatek.

- A może w sklepie z używanymi rzeczami? - nalegał.

- Dobrze. Zobaczą. Może tam się coś znajdzie.

Niestety. W pobliskim sklepiku ze starociami był tylko jeden taki domek. Zupełnie niezły. Kosztował jednak ponad sto funtów. Potem sprzedawca przyniósł im z zaplecza drugi, znacznie tańszy, ale tak bardzo zniszczony, że absolutnie nie nadawał się na prezent dla Mirandy.

Później matka i William zwiedzili kilka sklepów z zabawkami. Owszem, były tam niedrogie domki dla lalek - małe plastikowe szkaradzieństwa, w których nie otwierały się ani drzwi, ani okna.

- Będziemy musieli poczekać z tym do przyszłego roku - westchnęła matka. - Przez ten czas na pewno zdążymy uzbierać pieniądze.

* * *

William jednak dobrze wiedział, że to musi być w tym roku. Jeżeli teraz zawiodą Mirandę, może mieć uraz do

końca życia i już nigdy nie zaufa dorosłym. Poza tym można powiedzieć, że było to jedno z ostatnich życzeń ojca i musi być spełnione.

Parę dni później niebiosa, jak mu się wówczas zdawało, zesłały mu pomoc. Przypadkowo w sobotnio-niedzielnym wydaniu gazety, na ostatniej stronie, znalazł następujące ogłoszenie:

Spraw radość dziecku. Kup model domku dla lalek. W załączeniu instrukcja tak bajecznie prosta, że nawet dziecko zrozumie. Cena promocyjna - 19.50 funtów. Zbuduj sam. Kup nasz model domku dla lalek.

Przeczytał to raz. Potem znowu. Wbrew pozorom widać było od razu pewne trudności. Przede wszystkim zbudowanie domku dla lalek wymagało jakichś tam zdolności do majsterkowania. Niestety, William nie przejawiał w tej dziedzinie żadnych talentów. Najlepszy w klasie z angielskiego i historii, w bicie gwoździa uważał niemal za czarodziejską sztukę. Poza tym istniała jeszcze kwestia pieniędzy. Miał jednak swoje oszczędności - zbierał przecież na kalkulator, a to na pewno mogło trochę poczekać.

Wszystko więc wskazywało na to, że ogłoszenie przeznaczone jest właśnie dla niego, zesłane mu przez los. Jeżeli instrukcja miała być tak prosta, że nawet dziecko mogło sobie poradzić z montażem, to i jemu, mimo braku zdolności modelarskich, też powinno się udać. Na pewno mógł wytrzymać jeszcze jakiś czas bez kalkulatora. Podjął decyzję. Wysłał przekaz pieniężny i zamówienie na domek.

Ani słówkiem nie pisał o tym nikomu. Nawet matce. Każdego poranka wstawał wcześniej i szybko zbiegał na dół, żeby spotkać listonosza, zanim matka spostrzeże, że niesie on jakąś paczkę. Kiedy wreszcie doczekał się przesyłki, chwycił ją gwałtownie i popędził do swojego pokoju, żeby ukryć pudło w szafie pod ubraniem. Wieczorem tego dnia westchnął głęboko, skrzywił się, znalazł gdzieś młotek i zabrał się do roboty.

Początek zdawał się jeszcze nie najgorszy. Wkrótce główne części domku zostały połączone. Potem zaczęły się problemy. William znalazł wprawdzie schemat ukazujący sposób mocowania okien, ale instrukcja okazała się tak mętna, że równie dobrze mogła być napisana po chińsku.

Teraz William odwrócił się z niechęcią od tego paskudztwa, umył się, ubrał i zszedł na dół, zobaczyć, co matka przygotowała do jedzenia.

Kiedy przechodził przez przedpokój, akurat zadzwonił telefon. William podniósł słuchawkę.

- Halo.

- Czy mam przyjemność z Williamem? Witaj, młody człowieku.

Chłopiec wykrzywił się z niechęcią. Dzwonił Arnold Ridgeway.

William zdawał sobie sprawę, że Arnold próbuje zalecać się do jego matki. Chłopiec nigdy nie przepadał za towarzystwem Arnolda, szczególnie odkąd odkrył, że dąży on do tego, by zastąpić im ojca. Wizyty wesołego, rubasznego wdowca traktował jak zło konieczne, jak złą pogodę, która kiedyś się skończy. W głębi duszy żywił nadzieję, że mama nigdy nie zgodzi się zostać żoną tego człowieka. Na pewno go nie kochała. To było widać. Dawniej, kiedy żył ojciec, często się zdarzało, że mama jaśniała szczęściem, bił od niej taki blask, jakby wysyłała jakieś promienie radości. Teraz to wygasło i William był pewien, że od śmierci ojca nigdy tego nie było.

Istniała jednakże zawsze taka możliwość, że będzie chciała poświęcić się dla nich, dla Williama i Mirandy, i że wyjdzie za Arnolda właśnie dlatego, żeby im wszystkim było łatwiej w życiu. Dla większego dobrobytu, dla poczucia bezpieczeństwa - żeby nie przytrafiały się więcej takie sytuacje, że brakuje pieniędzy, by kupić dziecku domek dla lalek. To wydawało się zupełnie możliwe, bo mama była gotowa niemal na wszystko, żeby on i Miranda byli szczęśliwi.

- Mówi Arnold. Co tam sływać u mamy?

- Nie wiem. Dopiero wstałem i jeszcze jej dzisiaj nie widziałem.

- Taki piękny mamy dzień - mówił Arnold. - Myślałem, że mógłbym zaprosić was na obiad do restauracji. Na przykład do Cottescombe do „Trzech Drzew”. Potem moglibyśmy pójść na spacer do Game Park. I co ty na to, młody człowieku?

- To na pewno świetny pomysł, ale lepiej będzie, jeśli poproszę mamę do telefonu.

Zaraz potem przypomniał sobie o domku dla lalek.

- Obawiam się jednak, że nie będę mógł pojechać - dodał. - To bardzo miło z pana strony, ale ja mam bardzo dużo zadane i jeszcze kilka innych spraw, które muszę dzisiaj załatwić.

- Szkoda. Ale nie martw się, młody człowieku, pojedziesz następnym razem. A teraz zawołaj mamę, dobry z ciebie chłopiec.

William poszedł do kuchni.

- Mamo, dzwoni pan Arnold.

Matka siedziała przy stole, piła kawę i czytała gazetę. Ubrana była w starą turkusową sukienkę. Jedwabiste, kasztanowate włosy miękko opadały na ramiona. Z całą pewnością była ładną kobietą.

- O, dziękuję, kochanie.

Wstała, odkładając na bok gazetę. Przyglądziła ręką włosy i wyszła z kuchni.

Miranda jadła gotowane jajko. William przywitał się z nią i rozejrzał się, co też matka przygotowała dla niego. Bekon, jajecznicza na kielbasie...

- Czego chce Arnold? - zapytała Miranda.

- Zaprasza nas na obiad.

Od razu się zainteresowała.

- Do restauracji?

Miranda była towarzyskim dzieckiem i bardzo lubiła jadać poza domem.

- Tak, właśnie.

- O, to wspaniale.
- Wróciła matka.
- I co? Idziemy? - od razu zapytała Miranda.
- Wydaje mi się, że to dobry pomysł - powiedziała matka.
- Arnold chce nas zawieźć do Cottoscombe, powinno wam się tam spodobać.
- Ja nie mogę pojechać - krótko poinformował William.
- Och, kochanie. Taki dziś ładny dzień.
- Mam parę rzeczy do zrobienia. Poradzę sobie bez was.

* * *

Matka nie protestowała. Domyślała się, o co chodzi. Wiedziała oczywiście o jego sekrecie. Musiała przecież wchodzić do pokoju Williama, żeby zaścielić łóżko i zetrzeć kurze. Szanowała tajemnicę i starała się nie podglądać przy sprzątanu. Zawsze jednak coś tam wpadło jej w oko i odgadła, co zamierzał zrobić.

Westchnęła.

- Niech będzie. Możesz zostać. Jeśli chcesz mieć spokojny dzień tylko dla siebie...

Znowu spojrzała na leżącą na stole gazetę.

- Ktoś kupił dwór.
- Skąd wiesz?
- Jest o tym w gazecie. Kupił go mężczyzna, który nazywa się Geoffrey Wray i jest nowym dyrektorem zakładów elektronicznych w Tryford. Zresztą sam zobacz.

Podowała mu gazetę. William zerknął z zainteresowaniem. Dwór dawniej należał do panny Pritchett, a dom, w którym mieszkali William, matka i Miranda, był kiedyś stróżówką. Chłopiec wiedział, że ktoś, kto kupił dwór, pewnie będzie chciał w nim zamieszkać i zostanie teraz ich najbliższym sąsiadem.

Panna Pritchett, wiekowa właścicielka dworu, była zupełnie fantastyczna. Pozwalała im korzystać z ogrodu, żeby mogli przechodzić na skróty, kiedy chcieli iść na spacer w góry. Mogli też zrywać jabłka w jej sadzie.

Panna Pritchett umarła trzy miesiące temu i od tej pory wielki dom stał opuszczony.

Teraz jednak... dyrektor zakładów elektronicznych... William skrzywił się.

- O co chodzi? - zaśmiała się matka.

- Na pewno ma kwadratową głowę, jak maszyna do liczenia.

- Lepiej nie przechodźmy teraz przez ogród. Dopóki on nam na to nie pozwoli.

- Pewnie nigdy nie zaprosi nas do siebie.

- Nie przesądzaj niczego z góry. On może mieć żonę i całą gromadę dzieci, z którymi będziecie się wspaniale bawić.

* * *

William całe przedpołudnie pracował nad domkiem dla lalek. O dwunastej matka delikatnie zapukała do jego pokoju. Wyszedł na korytarz, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Właśnie wychodzimy, William. W piecyku jest dla ciebie zapiekanka. Podgrzejesz ją sobie na obiad. Nie zapomnij zabrać Lodena na spacer.

- Będę pamiętał.

- I nie przechodź na skrót przez ogród.

Trzasnęły drzwi wejściowe i William został sam. Niechętnie powrócił do swojej roboty. Teraz zabrał się za schodki. Próbował przykleić każdy maleńki stopieniek we właściwym miejscu, zgodnie z instrukcją. Jednakże z nieznanych powodów wszystkie okazywały się za szerokie i nie chciały się zmieścić.

Tysiąc razy odrywał się od montażu, żeby starannie studiować instrukcję.

Osadzić stopnie schodów pomiędzy ścianą a belką wspornikową.

Ściśle trzymał się poleceń. Tyle że żaden schodek nie pasował. Wszystkie były za duże. Chłopiec nie miał kogo poprosić o radę. Jedyne osobę, którą mógłby zapytać, to

nauczyciel zajęć praktyczno-technicznych. William jednak nie bardzo go lubił.

Nagle zatęsknił za ojcem. To właśnie tata wiedziałby dokładnie, co robić. Potrafiłby wyjaśnić, doradzić. Przy jego pomocy każdy stopieniek z łatwością dałby się włożyć na miejsce.

Tęsknota ogarnęła go tak silnie, że nie mógł nad tym zapanować. Poczł dziwne drapanie w gardle i niespodziewanie domek dla lalek w stanie surowym i wszystkie należące do niego kawałeczki zatonęły w powodzi łez.

William nie płakał już od wielu lat. Takie rzeczy już dawno mu się przestały przytrafiać. Szybko znalazł chusteczkę i mocno wytarł nos. Usunął z twarzy wstydlive ślady łez.

Wyjrzał przez otwarte okno. Pogodny wiosenny dzień zdawał się go zapraszać.

- Do licha z tym domkiem dla lalek - pomyślał.

I już po chwili zatrząskiwiał drzwi swojego pokoju i zbiegał po schodach, pogwizdując na Lodena.

Biegł tak, że aż się zasapał, zadyszał, aż złapała go kolka i wtedy poczuł ulgę. Zrobił kilka przysiadów, potem kilka skłonów - najlepszy sposób na kolkę. Potem uściskał Lode-na i wtulił twarz w jedwabistą, ciemną sierść.

Oddech wrócił do normy. William wyprostował się dopiero po chwili i wtedy zauważył, że zapomniał o przestro-gach matki, że w tej ucieczce na oślep przed zadaniem przekraczającym jego siły nogi poniosły go bezwiednie i zupełnie odruchowo... przeszedł przez furtkę tamtego ogrodu. Znajdował się teraz na terenie zakazanym. Przez moment zawahał się, ale perspektywa odbycia drogi po-wrotnej wydała mu się nad wyraz nużąca. Poza tym dom dopiero niedawno został sprzedany i na pewno nikt tam jeszcze nie mieszka. Jak na razie.

Mylił się. Kiedy skręcił w alejkę i przebiegł jeszcze kilka kroków, zobaczył zaparkowany koło dworu samochód. Drzwi domu były otwarte. William ujrzał wysokiego męż-

czyznę i psa. I już naprawdę nie mógł przemknąć nie zauważony.

Wszystko skończone, pomyślał. Pani Pritchett nigdy nie miała psa i Loden uważał, że to jego ogród.

Loden zawarczał złowrogo. A obcy pies już podązał w ich stronę. Labrador z przyjaznym wyrazem pyska, wesoło machający ogonem. Niewątpliwie widział w Lodenie przyszłego towarzysza zabaw.

Spaniel znowu warknął. Najeżył się.

- Loden! - chłopiec chwycił go mocno za obrozę. Warczenie zmieniło się w skowyt.

Labrador zbliżył się. Oba psy ostrożnie się obwąchały. Sierść Lodeną wróciła do normy. Spaniel zaczął delikatnie wachlować ogonem.

William ostrożnie zwolnił uchwyt i psy skoczyły do wspólnej zabawy. Zatem ta sprawa została załatwiona pozytywnie. Jeszcze czekał na niego właściciel labradora.

William spojrział w tamtą stronę. Obcy zbliżał się ku niemu. Silny, wysoki. Ten człowiek, zupełnie odwrotnie niż Arnold, od razu skojarzył się Williamowi z ładną pogodą, ze słońcem. Może dlatego, że wyglądał, jakby większość czasu spędzał na świeżym powietrzu. Wiatr rozwiewał jego siwiejące włosy. Miał okulary, niebieski sweter i dzinsy.

* * *

- Dzień dobry - powiedział William.

- Dzień dobry - odrzekł obcy. - Co tutaj robisz?

- Idę z moim psem na wzgórze na spacer. Zawsze przechodziłem tędy na skrót. Pani Pritchett nam pozwalała - wyjaśnił i dodał: - Mieszkamy w tym małym domku przy drodze.

- Jak się nazywasz?

- William Radlett. Przepraszam, że wszedłem na pański teren. Widziałem dziś rano w gazecie informację, że dwóch został sprzedany, nie sądziłem jednak, że ktoś tu będzie już dzisiaj.

- Wpadłem tylko na chwilę - rzekł mężczyzna. - Muszę się rozejrzeć, wziąć kilka pomiarów. Nazywam się Geoffrey Wray.

- Och, więc pan... - William poczuł, że się czerwieni. O mały włos, a byłby powiedział „przecież nie wygląda pan jak maszynka do liczenia”. - Przepraszam - mruknął. - Nie powinienem był tędy przechodzić.

- Nie ma sprawy - stwierdził pan Wray. - Jeszcze tu nawet nie mieszkam. Jak już wspomniałem, muszę wziąć kilka pomiarów.

Obaj popatrzyli na dwór. William, jakby widział go po raz pierwszy, zauważył przegniłe podpory balkonu, odpadającą farbę i zniszczone framugi.

- Wydaje mi się, że jest tu bardzo dużo do zrobienia - stwierdził. - Bo to już dość stary dom.

- Na pewno. To jednak ma wiele uroku. I mam wrażenie, że jestem w stanie zrobić wszystko sam, bez niczyjej pomocy. To zajmie trochę czasu, ale na pewno będzie bardzo ciekawe.

Psy były już w dobrej komitywie. Biegały razem dookoła krzewów rododendronu, tropiąc króliki.

- Zaprzyjaźniły się - powiedział nowy sąsiad. - Przyniosłem coś do jedzenia - dodał - i jestem okropnie głodny. Zjesz ze mną?

William przypomniał sobie czekającą na niego w kuchni zapiekankę i poczuł, że ogarnia go wilczy apetyt.

- Ale czy panu wystarczy? - chciał się upewnić.

- Podejrzewam, że tak. Chodźmy zobaczyć.

Poszedł po koszyk stojący do tej pory na tylnym siedzeniu w samochodzie. Przy ganku stały meble ogrodowe z kutego żelaza. Nieznajomy postawił koszyk na metalowym stoliku.

W słońcu, w miejscu osłoniętym od wiatru, było ciepło prawie jak w lecie.

William przyjął z wdzięcznością kanapkę z szynką.

- Mam także placek z owocami. Moja mama piecze fantastyczne ciasta.

- Mieszka pan razem ze swoją mamą?
- Tymczasowo. Aż będę mógł sprowadzić się tutaj.
- Czy sam pan będzie tu mieszkał?
- Jestem kawalerem, jeśli to właśnie masz na myśli.
- Moja mama mówiła, że być może ma pan żonę i dzieci,
z którymi będziemy mogli się bawić.

- Masz rodzeństwo?

- Tak, siostrę. Nazywa się Miranda i niedługo skończy siedem lat.

- A gdzie jest teraz twoja siostra?

- Poszła z mamą do restauracji na obiad.

- Twój ojciec pracuje w mieście?

- Nie mam ojca. Umarł prawie rok temu.

- Przykro mi - powiedział ze współczuciem, ale w sposób tak pełen zrozumienia, że William prawie wcale nie czuł się zakłopotany. - Ja też straciłem ojca, byłem wtedy mniej więcej w twoim wieku. Nic już potem nie jest takie samo, prawda?

- Prawda.

- A co powiesz na ciasteczka czekoladowe? - nowy sąsiad wyjął z koszyka paczkę herbatników.

William poczęstował się, wstał, spojrzął obcemu prosto w oczy i nagle uśmiechnął się, zupełnie bez powodu. Poczł, że jest mu dobrze i przyjemnie i że już na pewno nie cierpi głodu.

* * *

Skończyli jeść, a potem weszli do środka, żeby obejrzeć dwór. Nie było mebli, poza tym pachniało stęchlizną, w zasadzie dom wywierał przygnębiające wrażenie. A jednak było w tym coś ekscytującego, coś, co sprzyjało robieniu przeróżnych planów. Rozmawiali, jakby William też był dorosły.

- Wyburzę tę ścianę. Tu będzie duża, otwarta kuchnia. Tu postawię kuchenkę, zbuduję wysoki, sosnowy stół. Będzie stał tam w rogu.

Pan Wray aż pałał entuzjazmem, od którego wszystko stawało się jaśniejsze, chociaż ciągle jeszcze pachniało stęchlizną i myszami.

- ... A tę starą pralnię przemienię na warsztat. Tu zrobię ławeczkę pod oknem, zobacz, jak dużo będzie miejsca na narzędzia...

- Mój tata też miał warsztat i bardzo dużo różnych narzędzi, ale nie w domu, tylko w ogrodzie, w szopie.

- Podejrzewam, że teraz to jest twój warsztat.

- Nie, ja nie mam do tego zdolności.

- Nawet nie wyobrażasz sobie, ile człowiek odkrywa w sobie talentów, kiedy naprawdę musi coś zrobić.

- Też kiedyś tak myślałem - powiedział William impulsywnie.

- Co myślałeś? - łagodnie zapytał pan Wray.

- Sądziłem, że potrafię zrobić coś, jeśli zmusi mnie do tego potrzeba. Ale nie umiem. To się okazało za trudne.

- A co takiego próbowałeś zrobić?

- Zbudować domek dla lalek dla mojej siostry na urodziny.

- I coś się nie udało - domyślił się pan Wray.

- Wszystko. Jestem głupi i nie potrafię dopasować schodków. I okien też nie umiem zamontować. Framugi są za duże, a czasem za małe, nic nie pasuje. Instrukcja napisana jest tak dziwnie, że nic z tego nie rozumiem.

- Myślę, że nie pogniewasz się, jeśli zapytam: jeżeli majsterkowanie nie jest twoim hobby, dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

- Tata obiecał Mirandzie, że dostanie na siódme urodziny domek dla lalek. I nie mamy pieniędzy, żeby kupić, więc wymyśliłem, że sam to zrobię. Ale naprawdę miałem nadzieję, że mi się uda - tu westchnął głęboko nad własną tępotą. - Kupiłem model, którego nie potrafię złożyć. To kosztowało dwadzieścia funtów.

- Czy mama nie może ci pomóc?

- To przecież ma być niespodzianka.

- I nie masz nikogo, kogo mógłbyś się poradzić?

- Nikogo.

Pan Wray odwrócił się i oparł o zniszczony zlewozmywak. Założył ręce jedna na drugą.

- A co powiesz o mnie?

William spojrział na niego marszcząc czoło.

- A czy mógłby mi pan pomóc?

- Oczywiście, czemu nie.

- A teraz? Dziś po południu?

- Tak samo dobra pora jak każda inna.

William spojrział na niego z wdzięcznością.

- Naprawdę? To nie zajmie dużo czasu. Nie więcej niż pół godziny.

* * *

To zajęło znacznie więcej niż pół godziny. Dokładnie przestudiowali instrukcję. Każdy maleńki stopieniek został opiłowany papierem ściernym i starannie dopasowany. Potem na czystej gazecie pan Wray umieścił niewielkie kawałeczki drewna w taki sposób, że można było złożyć z nich pięć malutkich okien.

- Najpierw dopasuj szyby, a framugi dopiero potem. Tak jak w prawdziwych oknach. A to są właśnie ościeżnice, o których mowa w instrukcji. Tu masz okucia...

- Rozumiem.

I wszystko po tych wyjaśnieniach stało się zdumiewająco łatwe. Pracowali wspólnie z wielkim zapałem i nawet nie usłyszeli, że podjechał jakiś samochód i zatrzymał się przy bramie. Pierwszym sygnałem, że matka i Miranda już wróciły, był odgłos otwieranych drzwi i wołanie:

- William! Gdzie jesteś?

Spojrzał ze zdumieniem na zegarek. Dochodziła piąta. Poderwał się z krzesła.

- To moja mama.

Pan Wray uśmiechnął się.

- Tak myślałem.

- Lepiej będzie, jeśli zejdziemy teraz na dół. Tylko proszę nic nie mówić. To sekret.

- Oczywiście.

- I dziękuję bardzo, że zechciał mi pan pomóc.

William wyszedł z pokoju i przechylił się przez balustradę. Mama i siostra stały na dole w holu i patrzyły na niego. Mama trzymała w ręku ogromny bukiet żonkili. Miranda ścisnęła nową lalkę.

- Czy dobrze się bawiliście? - zapytał.

- Tak, było bardzo miło. William, koło naszego domu stoi jakiś obcy samochód, jest w nim pies.

- To auto pana Wraya. Geoffreya Wraya, pana, który kupił dwór. Zaprosiłem go do nas.

William odwrócił się. Nowy sąsiad wyszedł z pokoju, zamknął za sobą drzwi i stanął przy chłopcu.

Matka spojrzała ze zdumieniem na wysokiego obcego mężczyznę, który nieoczekiwanie pojawił się obok Williama.

Chłopiec, pragnąc przerwać kłopotliwą ciszę, pośpieszył z wyjaśnieniami.

- Poznaliśmy się, jak pojechałyście... I on przyszedł tu, bo go poprosiłem... żeby... żeby w czymś mi pomógł.

- Och... - widać było, że matka stara się jakoś zapanować nad sytuacją. - To... bardzo uprzejmie z pana strony.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział głębkim barytonem, schodząc do niej po schodach. - W końcu jesteśmy teraz sąsiadami.

- Tak, tak, oczywiście.

Przełożyła żonkile do lewej ręki. Uścisnęli sobie dłonie.

- A to na pewno jest Miranda.

- Arnold kupił mi nową lalkę - powiedziała do niego Miranda. - Nazwałam ją Priscilla.

- Ale... - matka nadal nie mogła czegoś tu zrozumieć. - Jak to się stało, że spotkał pan Williama?

Zanim pan Wray zdążył odpowiedzieć, William zaczął wyjaśniać.

- Zapomniałem, że zabroniłaś mi przechodzić na skróty przez dworski ogród. I pan Wray tam był. I poczęstował mnie obiadem.

- A co z zapiekanką?

- O zapiekance też zapomniałem.

Z jakichś przyczyn to przełamało pierwsze lody i wszyscy się roześmiali.

- Może napiłby się pan herbaty? - zaproponowała matka. - Dobrze? My wszyscy marzymy o tym, żeby się czegoś napić. Proszę do salonu, panie sąsiedzie, i już szybciotko nastawiam czajnik.

- Ja to zrobię - powiedział William, schodząc po schodach. - Ja zaparzę herbatę.

* * *

William przygotował tacę, napełnił czajnik wodą, znalazł w szafce jakieś herbatniki. Czekaając, aż woda się zagojuje, przeanalizował z satysfakcją wszystko to, co zdarzyło się tego dnia. Problem z domkiem dla lalek doczekał się wreszcie rozwiązania. Wiedział, co jeszcze zostało do zrobienia, i miał pewność, że zdąży na czas. Miranda dostanie na urodziny swój wymarzony prezent. We dworze zamieszka pan Wray, który wcale nie ma kwadratowej twarzy, jak maszyna do liczenia, czego się obawiał, natomiast okazał się najmiłszym w świecie człowiekiem. William od razu mógł się założyć, że pozwoli im nadal przechodzić na skróty przez ogród i zrywać jabłka w sadzie. Na pewno nie będzie gorzej niż za czasów panny Pritchett.

Tak więc, kiedy tyle rzeczy zostało wyjaśnionych pozytywnie, William poczuł się znacznie lepiej niż rano. Teraz warto było żyć.

Woda zaczęła wrzeć. Chłopiec zaparzył herbatę, postawił filiżanki na tacy i skierował się w stronę salonu. Z pokoju na górze dobiegały dźwięki włączonego telewizora. Miranda oglądała jakiś program dla dzieci. Z salonu dochodził szmer rozmowy. Gdy podszedł do drzwi, usłyszał:

- Kiedy zamierza się pan wprowadzić?
- Jak tylko to będzie możliwe.
- Czekam pana z tym wszystkim jeszcze moc roboty.
- Tak, ale nie ma pośpiechu.

William pchnął nogą drzwi. Pokój wypełniony był popołudniowym słońcem i czuło się w powietrzu coś odświeżającego, ale zarazem tak konkretnego, namacalnego, jakby można było dotknąć tego ręką. Może chodziło o narodziny przyjaźni. Coś w tym rodzaju, coś ekscytującego.

Nie można było tego ponaglać. W takich sprawach nigdy nie ma pośpiechu.

Mama i pan Wray stali przy kominku. Ciepły blask ognia padał na ich twarze. Mama roześmiała się nagle, chociaż nie wiedział dlaczego. Odgarnęła do tyłu swoje piękne kasztanowate włosy i tak wyglądała, jaśniała takim blaskiem, jak wtedy, kiedy żył ojciec.

Wyobraźnia Williama skoczyła daleko w przód, jak koń ponad przeszkodą, ale ściągnął cugle. Wszystko musi toczyć się w swoim własnym tempie, potrzebny jest odpowiedni czas na dojrzewanie pewnych rzeczy.

- Herbata gotowa - powiedział, stawiając tacę na stole.

Potem spojrzenie jego padło na żonkile leżące na parapecie. Mama położyła je tam, po czym najwyraźniej w świecie zupełnie o nich zapomniała. Papier był pognieciony, delikatne główki kwiatów powoli zaczynały więdnąć. William pomyślał o Arnoldzie. Miał w tej chwili serce przepełnione współczuciem dla rubasznego wdowca.

Coś się kończy, coś się zaczyna

Możesz przecież pojechać ze mną - powiedział Tom bez większej nadziei.

Elaine roześmiała się cierpko.

- Kochanie, czy naprawdę wyobrażasz sobie mnie zamazującą na kość w zamku gdzieś na północy?

- Prawdę mówiąc, nie bardzo - przyznał szczerze.

- Nie mówiąc już o tym, że nie zostałam zaproszona.

- To nie ma znaczenia. Ciotka Mabel będzie uszczęśliwiona, widząc jakąś nową twarz. Szczególnie taką ładną jak twoja.

Elaine próbowała ukryć zadowolenie. Uwielbiała komplementy i wchłaniała je niczym bibuła atrament.

Jednak oświadczyła:

- Pochlebstwami niczego nie zdziałasz. A poza tym jestem naprawdę zła. Obiecałeś, że właśnie w ten weekend pojedziesz ze mną do Stainforthsów. I co mam im teraz powiedzieć?

- Prawdę. Że musiałem wyjechać na północ, ponieważ moja ciotka Mabel obchodzi siedemdziesiąte piąte urodziny.

- Ale dlaczego musisz na nich być?

Cierpliwie powtórzył kolejny raz:

- Ponieważ ktoś z rodziny powinien się tam pokazać. Moi rodzice są na Majorce, a siostra mieszka z mężem w Hongkongu. Mówiłem ci to już trzy razy.

- Nadal nie rozumiem, czemu mnie tak wystawiasz do wiatru. Wcale mi się to nie podoba. - Obdarzyła go swoim najbardziej uwodzicielskim uśmiechem. - A ponadto nie przywykłam do takiego traktowania.

- Nie wystawiłbym cię do wiatru - zapewnił ją - dla nikogo na tym świecie oprócz ciotki Mabel. To wyjątkowa kobieta. Jej mąż, Ned, zmarł przed kilkoma laty, a dzieci nie mieli. To znaczy swoich, bo myśmy bez przerwy siedzieli im na głowie. Spędzaliśmy u ciotki Mabel najcudowniejsze wakacje. Pamiętaj też, że musiała się naprawdę natrudzić, by zorganizować teraz przyjęcie. To duża odwaga w jej wieku porywać się na coś podobnego. Byłoby obrzydliwością z mojej strony tam się nie zjawić. No i - zakończył z rozbajającym uśmiechem - mam ochotę pojechać. - I dodał znowu: - Możesz wybrać się ze mną.

- Nikogo bym tam nie znała.

- Wystarczyłoby ci pięć minut, żeby ich poznać.

- Na samą myśl o zimnie robi mi się niedobrze.

Przestał ją namawiać. Zabieranie Elaine do znajomych sprawiało mu dużą przyjemność, a to z powodu piorunującego wrażenia, jakie robiła na wszystkich. Fantastyczna uroda dziewczyny silnie schlebiała jego próżności. Z drugiej jednak strony, gdyby nie bawiła się dobrze, z pewnością nie starałaby się tego ukryć.

Wyjazd do ciotki Mabel zawsze wiązał się z pewnym ryzykiem. Najwięcej zależało od pogody. Jeśliby nadchodzący weekend okazał się chłodny i wilgotny, to Elaine - cieplarniany londyński kwiat - byłaby z pewnością najgorszą z możliwych towarzyszek.

Tom ścisnął jej dłoń.

- Dobrze - powiedział. - Nie musisz jechać. Kiedy wrócę, zadzwonię do ciebie i opowiem, jak cudownie spędziłem czas. A tobie pozostanie tylko żałować, że wybrałaś Stainforthsów.

* * *

Następnego dnia był piątek. Tom, uzgodniwszy to wcześniej ze swym szefem, wyszedł z pracy w porze lunchu, wsiadł do samochodu i ruszył na północ. Prowadził pozwalając myślom błąkać się bez celu. Było oczywiste, że pomkną ku Elaine.

Znał ją od trzech miesięcy i - mimo że często go irytowała - nigdy wcześniej tak mocno nie zaangażował się w związek z kobietą. Nieprzewidywalność jej nastrojów uważał za przyjemnie ożywczą, a co najważniejsze, nigdy się przy niej nie nudził. Z tego względu zabrał ją już dwukrotnie na weekend do swych rodziców, choć nie oczekiwał, że Elaine wyda się matce równie atrakcyjna, jak jemu.

- Jest urocza - powtórzyła kilkakrotnie i chociaż musiało ją to wiele kosztować, udało jej się nie powiedzieć nic więcej.

Jednak Tom doskonale wiedział, co jego matce chodzi po głowie. Niedługo już, chociaż nie lubił o tym myśleć, miała mu stuknąć trzydziestka. Czas, by się ustatkował, ożenił, pomyślał o dzieciach. Matka niecierpliwie oczekiwała wnuków. Ale czy naprawdę chciał się żenić z Elaine? Zastanawiał się nad tym już od pewnego czasu. Może chwilowe rozstanie okaże się najlepszym testem. Takie oddalenie - podobnie jak w przypadku skomplikowanego malowidła, na które trzeba spoglądać z pewnej odległości - sprawia, że wszystkie szczegóły stają się wyraźne. Zdecydowanie odsunął od siebie obraz Elaine i skoncentrował się na czekającym go weekendzie.

Nothumberland. Kinton. Przyjęcie ciotki Mabel. Kto się tam zjawi? Tom był jedynym przedstawicielem swojej gałęzi rodziny, ale co z pozostałymi kuzynami? Jako dzieci tworzyli szaloną bandę, traktując Kinton niczym własne królestwo. Przebiegł myślą wszystkich po kolei, jakby od czytując wyimaginowaną listę. Roger został żołnierzem. Anna wyszła za mąż i zajęła się przychówkiem. Młody Ned wylądował w Australii. Kitty... Przyśpieszając, by wyprze-

dzieć ciężarówkę, Tom mimo woli uśmiechnął się. Kitty - wnuczka siostry starego Neda. Szalona Kitty, która zawsze podsuwała najśmielsze pomysły. To ona spadła z domku na drzewie. To ona zorganizowała wycieczkę łyżwiarską tej nocy, kiedy dopiero co stanął lód na jeziorze. Kitty, która spała na blankach zamku, ponieważ ktoś z dorosłych powiedział, że się będzie bała, a poza tym miała nadzieję zobaczyć ducha.

Reszta grupy z biegiem lat przystosowała się do reguł dorosłego życia. Któraś z dziewcząt skończyła kurs maszynopisania i pracowała teraz jako sekretarka. Chłopcy zostawali księgowymi i prawnikami. Wstępowali do służby państwowej. Kitty do niczego się nie dostosowała. Zrozpaczeni rodzice wysłali ją do Francji, gdzie miała pomagać przy dzieciach, ale po tym jak została nakryta przez Madame, w momencie gdy Monsieur namiętnie ją obściskował, pokazano jej - oczywiście niesłusznie, z tym się wszyscy zgodzili - drzwi.

„Wracaj do domu” - wezwała ją telegraficznie matka, ale Kitty do domu nie wróciła. Autostopem pojechała na południe Francji, gdzie poznała całkowicie nieodpowiedniego - co do tego również wszyscy byli zgodni - mężczyznę.

Nazywał się Terence i był postrzelonym Irlandczykiem z hrabstwa Cork. W St Tropez zajmował się wynajmowaniem łodzi. Przez jakiś czas Kitty pomagała mu w tej robocie, a potem przywiozła go do Anglii, żeby przedstawić rodzicom. Ponieważ nie spodobał im się, stało się, co się stać musiało, i Kitty wyszła za niego za mąż.

- Ale dlaczego? - zapytał Tom swoją matkę, kiedy usłyszał niezwykłą nowinę.

- Nie mam pojęcia - odparła. - Znasz Kitty lepiej niż ja.

- To osoba, którą wszędzie poprowadzisz za marchewką - odparł zamyślony Tom - ale nic nie wskórasz, kiedy użyjesz kija.

Raz, kiedy wracał z weekendu w Sussex do Londynu, odwiedził Kitty i jej męża; mieszkali na łodzi, a ona była

w ciąży. Zarówno Łódź, jak i Kitty znajdowały się w takim stanie, że Tom - chociaż wcześniej wcale nie miał takiego zamiaru - zaprosił ich oboje z mężem na kolację. Spędzili koszmarny wieczór. Terence zalał się w pestkę, Kitty zaś bez przerwy mówiła, jakby chcąc odwrócić od niego uwagę. Tom właściwie się nie odzywał. Po prostu słuchał, po czym zapłacił rachunek i pomógł Kitty doprowadzić Terence'a na Łódź. Następnie zostawił przyjaciółkę z lat dziecińczych z pijanym mężem, a sam wrócił do Londynu. Jakiś czas potem usłyszał, że urodziła chłopca.

Kiedyś, gdy byli nastolatkami, ciotka Mabel powiedziała Tomowi, że powinien ożenić się z Kitty. Pomysł przeraził go. Po pierwsze dlatego, że dziewczyna była dla niego jak siostra, a po drugie, rozmowa o takich sprawach dla dziewiętnastoletniego chłopca była niezwykle krępująca.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytał jednak Mabel.

- Jesteś jedyną osobą, na którą ona w ogóle zwraca uwagę. Nikogo nie słucha poza tobą. Jej rodzice oczywiście nie mają zielonego pojęcia, jak z nią postępować.

- Kitty to jeź, który postawił kolce - odparł Tom. - Nie pozwoli się dotknąć.

Właśnie wybierał się do Cambridge i kolczasta szesnastolatka nie mieściła się w jego planach.

- Nie zawsze będzie taka - oświadczyła ciotka Mabel. - Pewnego dnia wyrośnie na prawdziwą piękność.

* * *

Droga rozwijała się przed nim niby szara wstążka. Minął Newcastle i wjechał już daleko w głąb Northumberland. Porzucił autostradę dla zwykłej drogi wiodącej między wrzosiwiskami i prowadzącej przez niewielkie wioski lub wzdłuż wysokiego morskiego brzegu. Było późne popołudnie. Słońce zeszło nisko nad ziemię, rzucając różowy blask zarówno na wrzosi, jak i na ogromne, pachnące deszczem chmury.

Wreszcie dotarł do Kinton, objechał niewielki przysadzisty kościół i znalazł się na głównej ulicy miasteczka.

Nie różniła się ona niczym od innych takich uliczek w małych miastach: dwa rzędy domków, sklepiki, pub. Mógł być gdziekolwiek. Poza tym, że koniec brukowanego podjazdu wspinał się po trawiastym stoku i przechodził pod łukiem wspaniałej bramy, która prowadziła na otoczony murami dziedziniec, tak wielki jak boisko do rugby. Stał tam prawdziwy zamek. Mający trzy kondygnacje, zbudowany na planie kwadratu, z wieżą w każdym z czterech rogów. Romantyczny, nieoczekiwany, całkowicie nie na miejscu.

Tak właśnie wyglądał dom niezwyklej ciotki Mabel.

Była starszą siostrą ojca Toma. Zwariowana na punkcie koni, twarda i żyjąca w zgodzie z naturą, z góry została uznana przez rodzinę za starą pannę. Ale kiedy dochodziła trzydziestki, miłość - albo coś bardzo zbliżonego - uderzyła niczym grom z jasnego nieba. Mabel spotkała Neda Kinnertona i już po miesiącu została jego żoną.

Członkowie rodziny, wszyscy co do jednego, rozdarci byli pomiędzy dwa uczucia: zachwyty i przerażenie.

- Czyż to nie cudowne, że wreszcie znalazła sobie męża?
- Jest od niej dwa razy starszy.
- Będzie z nim mieszkać w ogromnym, nie ogrzewanym zamku na północy!

* * *

Ale Mabel pokochała Kinton równie mocno, jak kochał je Ned. Ich związek nie został pobłogosławiony dziećmi, ale - jakby chcąc nadrobić to zaniedbanie natury - rodzina przysyłała im na letnie wakacje całe swoje potomstwo. Mabel nigdy nie przeszkadzało, co robią inni, pod jednym warunkiem, że byli dobrzy dla zwierząt. Tak więc, nie pilnowani, wspinali się na blanki zamku, spali w zrobionych własnoręcznie namiotach pod cedrami, udawali, że leją przez otwory w murach wrzącą oliwę na wymaganych wrogów, pływali w zarośniętym trzcinami jeziorze, strugali z drewna łuki i strzały, spadali z drzew.

Po śmierci Neda wszyscy spodziewali się, że Mabel opuści Kinton. Ale ponieważ jedyny męski potomek rodziny, który mógłby wziąć na swe barki odpowiedzialność za zamek, zabrał się właśnie do Australii i ułożył tam sobie całkiem wygodne życie, Mabel została na stanowisku.

- Nie ma potrzeby ogrzewać wszystkich pomieszczeń - oświadczyła i odcięła strychy, zawieszając grube, wełniane koce na szczycie krętych schodów.

Poza tym życie biegło tak jak poprzednio. Zamek latem nawiedzały hordy dzieci - teraz już nastolatków, i to bardzo szybko rosnących. Pochłaniali ogromne ilości jedzenia, zasiadając przy długim mahoniowym stole w jadalni. Nadal też wszędzie pod nogami kręciły się psy, a wieczory spędzano przy ogromnych kamiennych kominkach.

Kinton. I właśnie tutaj przybył teraz Tom. Powoli skierował samochód na brukowany podjazd i minął łuk stróżówki.

Odsłonił się przed nim ogromny, źle utrzymany trawnik. Droga rozdzielała się i obiegała go z obu stron, aby spotkać się znowu przed masywnymi drzwiami. Otaczające dziedzińiec mury należały do najstarszej części zamku, ze szczeliny między kamieniami wyrastała dzika waleriana i polne dzwonki.

Tom zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Wieczorne powietrze pachniało słodko i świeżo, ale po Londynie wydawało się dość ostre. Wszedł po schodach i mocno chwycił za potężną, kutą w żelazie zasuwę. Drzwi zaskrzypiały niczym w filmowym horrorze. Zrobił krok i znalazł się w wielkim, nie ogrzewanym, ziejącym wilgocią holu. Podłogi były tu kamienne, nad ogromnym kominkiem wisiała zakurzona zbroja w towarzystwie starych mieczy. Przeszedł przez hol, minął następne drzwi i nagle poczuł się tak, jakby zostawił za sobą średniowiecze i wkroczył we włoski renesans.

Kiedy po raz pierwszy przyjechał do Kinton jako mały chłopiec, z atrakcji spodziewał się tu znaleźć jedynie kręte schody, sekretne przejścia i małe, ciemne pomieszczenia.

Ogrom budowli wprowadził go w zakłopotanie. Oczekiwał, że zamieszka w średniowiecznym zamku, i poczuł się nieco rozczarowany. Ale Ned wyjaśnił mu, że któryś z jego wiktorjańskich przodków wziął sobie za żonę pannę wielkiej fortuny i jednym z warunków małżeństwa było zostawienie jej wolnej ręki w urządzaniu wnętrza zamku.

Dama ta poświęciła pięć lat i znaczną część pieniędzy na przerabianie Kinton w pseudorenesansowy obiekt. Wyburzyła większość wewnętrznych ścian, przynajmniej te, które się dało. Architekt zaprojektował ogromne, kręte schody, szerokie krużganki i delikatnej konstrukcji okna zwieńczone łukami, wsparte na kolumnach.

Z Florencji sprowadzono specjalnie mistrza sztuk malarzkich, by ozdobił malowidłami sufity i udekorował buduar pani na zamku. Bujna roślinność na ścianach stanowiła naturalne przejście na utrzymany w stylu śródziemnomorskim taras, ozdobiony kamiennymi donicami, w których czerwieniły się pelargonie.

Po zakończeniu podstawowych prac remontowych minęło jeszcze kolejne sześć miesięcy, zanim młoda para mogła wreszcie osiąść w Kinton. Wybrano tapety, rozwieszono zasłony, we wszystkich pokojach położono nowe dywany. Portrety Kinnertonów powieszono na ścianach jadalni, a pamiętki rodzinne rozmieszczono w oszklonych gablotach.

Od tych czasów szalonej ekstrawagancji nic już w Kinton nie robiono. Nic nie zostało zmienione ani wymienione, chociaż od czasu do czasu pewnie coś sklejano lub zbijano, reperowano lub łatano.

Ogień tlił się na palenisku w salonie, ale w korytarzach i sypialniach panowało przejmujące zimno.

Tom pociągnął nosem, przypominając sobie znajomą woń, przywodzącą na myśl pleśń, a jednak miłą. Wbiegł po schodach, po dwa stopnie naraz, lekko przeciągając dłonią po mahoniowej poręczy, wygładzonej przez dłonie całych generacji. Zatrzymał się na szerokim podeście i przez chwilę nasłuchiwał. Wiedział, że Mabel musi być gdzieś w pobliżu.

* * *

Znalazł ją w bibliotece. Miała na sobie fartuch i kapelusz, a otaczała ją, jak zwykle, armia starych, wiernych psów oraz poroźcielane wszędzie gazety. Układała w bezcennej chińskiej wazie skomplikowaną kompozycję z kwiatów.

- Witaj, mój kochany.

Odłożyła sekator i wzięła go w ramiona, a było to nie lada przeżycie, ponieważ wzrostem dorównywała Tomowi, tyle tylko, że była dwa razy tak szeroka. Potem cofnęła się, trzymając go na odległość wyciągniętych rąk.

Jej twarz, zawsze tak myślał, była twarzą mężczyzny: mocne rysy, długi nos, kwadratowa szczeka. Męskość podkreślała jeszcze prostota uczesania - siwe włosy ściągnięte mocno w tył i zwinięte w koczek.

- Wyglądasz wspaniale - powiedziała. - Miałeś dobrą drogę? Jak to miło, że przyjechałeś. Popatrz, staram się coś zrobić z tym miejscem, żeby się jutro dobrze prezentowało. Trudno wprost opisać, co się tu dzieje. Eustace - pamiętasz, mój stary ogrodnik - przesuwa bez przerwy meble, a jego żona szoruje wszystko, co się tylko da, w tym również psie miski. Prawie nie poznaję własnego domu. Jak się miewają twoi rodzice?

Chwyciła sekator i wróciła do poprzedniego zajęcia, podczas gdy Tom, opierając się o stół, z rękami w kieszeniach, zdawał jej relację.

- Paskudne osobniki - wtrąciła - żeby w takim czasie wybrać się na Majorkę. Naprawdę bym chciała ich tutaj widzieć. No i już! - umieściła ostatni kwiat i odsunęła się, by podziwiać rezultat.

- Ciociu Mabel, czy nie umęczysz się za bardzo w związku z tym całym przyjęciem?

- Nie, właściwie nie. Po prostu mówię ludziom, co trzeba zrobić, i oni mnie słuchają. To się nazywa organizacja pracy. Poza tym nie będziemy mieć orkiestry z prawdziwego zdarzenia. W dzisiejszych czasach już nikt nie pamięta, jak się tańczy walca, więc zamówiłam zespół disco.

- A gdzie się odbędzie samo przyjęcie?

- W dawnym pokoju dzieciennym. Opróżniliśmy go ze wszystkich starych zabawek, domków dla lalek i książek, a teraz Kitty dekoruje go tak, by wyglądał jak dżungla.

Tom po dobrej chwili powtórzył:

- Kitty?

- Tak, Kitty. Nasza Kitty.

- Ona jest tutaj?

- Oczywiście.

- Ale kiedy widziałem ją po raz ostatni, mieszkała na łądździ.

- Mój drogi, nie jesteś na bieżąco. Jej małżeństwo się rozleciało. Dostała rozwód.

- A co z Terence'em?

- Wydaje mi się, że wrócił na południe Francji.

- A chłopiec?

- Jest z matką.

- Czy ona tutaj mieszka?

- Nie, w Caxford.

Caxford było wioską położoną między wrzosowiskami, oddaloną zaledwie o kilka mil od Kinton.

- Przyjechała po rozwodzie, by odsapnąć u mnie chwilę, ale potem kupiła tę rozwalającą się rudere. Bóg jeden wie za co, bo nie ma grosza przy duszy. W każdym razie kupiła dom i oznajmiła wszem i wobec, że zamierza w nim zamieszkać. No a potem konserwator wciągnął jej chałupinę na listę zabytków. Myślałam, że to zakończy całą sprawę, ale gdzie tam. Udało jej się dostać dotację i remontuje teraz dom, a sama mieszka z Crispinem w przyczepie.

- Z Crispinem?

- To jej synek. Miły szkrab.

- Co ona zamierza teraz zrobić? - zapytał Tom.

- A kto to wie? Pamiętasz przecież, jaka jest nasza Kitty, kiedy zaciśnie zęby, ani słowa już z niej nie wyciągniesz. Napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Drinka zaproponuję ci później. - Zaczęła zbierać obcięte lodygi kwiatów, ale w tej samej chwili rozległo się pukanie i w szparze uchylonych drzwi ukazała się nieznana twarz.

- Pani Kinnerton, przyszedł człowiek ze szkłem. Gdzie ma to wszystko postawić?

- Och, życie, jak nie jedno, to drugie. Uprzątnij to za mnie, Tom, nie zapomnij też dorzucić drew do ognia...

I wyszła.

Tom został w pustym pokoju. Pozbierał resztki lodyg, cisnął je na palenisko, po czym dołożył kilka szczap i ruszył na poszukiwanie Kitty.

* * *

Stary pokój dziecienny w Kinton usytuowany został w pewnym oddaleniu od głównych pomieszczeń. Wchodziło się do niego przez wahadłowe drzwi obite czerwonym rypsem. Pokój mieścił się w jednej z wież i dlatego był okrągły, z dwoma oknami w kształcie łuków, co wszystkim małym dzieciom wydawało się po prostu bajeczne. Teraz był całkiem pusty. Jednakże sufit i ściany okryte zostały ogrodową siatką podczepioną w centralnym punkcie sufitu. Siatka była przetkana długimi pędami bluszczu i gałęziami iglaków.

Poza tym w pokoju znajdowała się rozkładana drabina, na której szczytce stała wysoka, szczupła dziewczyna. W jednej ręce trzymała nożyce, w drugiej naręcze zielonych gałęzi. Jasne włosy miała związane w koński ogon, a na twarzy wyraz ogromnej koncentracji - zmagająca się właśnie z krnąbrnym pędem.

Kiedy wszedł do pokoju, nie spoglądając na niego powiedziała:

- Gdyby ktoś mógł zabrać ten bluszcz z mojej twarzy...

- Cześć, Kitty - odezwał się Tom.

Odwróciła się, lekceważąc niebezpieczeństwo upadku, żeby na niego spojrzeć. Świerkowa gałąź spadła na podło-

gę, a bluszcz zawinął się wokół jej szyi, jak jakiś pogański wieniec. Po dobrych kilku sekundach szepnęła:

- Tom.

- Najwyraźniej nieźle się bawisz tam na górze.

- Jestem na dnie rozpaczy. Nic nie chce się trzymać tak, jak powinno.

- Mnie się podoba.

Ostrożnie uwolniła się od bluszczu, który odrzuciła na siatkę, i usiadła na szczycie drabiny, spoglądając z góry na mężczyznę.

- Wiedziałałam, że tu przyjedziesz. Ciotka Mabel mi powiedziała - poinformowała go.

- Ja nie wiedziałem, że cię tu spotkam.

- Miałeś więc miłą niespodziankę.

- Jesteś chuda. Ładnie ci z tym.

- Wszystko dzięki ciężkiej pracy. Słyszałeś o moim domu?

- Mabel właśnie mi powiedziała. Również o twoim rozwodzie. Przykro mi.

- A mnie nie. Cała ta sprawa to okropna pomyłka, której nigdy nie powinnam była popełnić. - Wzruszyła ramionami. - Ale przecież znasz mnie, Tom. Jeśli jest coś głupiego do zrobienia, zawsze można na mnie liczyć.

- Gdzie jest twój malec?

- Gdzieś tutaj biega.

Miała na sobie starą parę dżinsów, a na nogach niebieskie tenisówki. Jej sweter też był nie pierwszej młodości i powyciągany. Przez dziurę w jednym rękawie wystawał łokieć. Spoglądając na Kitty, Tom uświadomił sobie, jak bardzo się zmieniła. Tam gdzie kiedyś zaokrąglaty się policzki nad upartą brodą, teraz widać było ostre kąty kości. Od kącików ust biegły mocno zarysowane linie, ale usta pozostały te same, skore do śmiechu, od którego robiły jej się dołeczki. Teraz właśnie uśmiechała się. Jej oczy były intensywnie niebieskie. Oderwał od niej wzrok, zastanawiając się, o czym by jeszcze mógł z nią rozmawiać. Zainte-

resował się pomysłowym połączeniem siatki ogrodowej z gałęziami.

- Sama to zrobiłaś?

- W dużej mierze. Eustace pomógł mi rozwiesić siatkę. Tutaj odbędzie się dyskoteka. Czy Mabel nie jest fantastyczna? Wyobraź sobie, że na siedemdziesiąte piąte urodziny organizujesz disco.

- Odwaliłaś kawał dobrej roboty. To miejsce wygląda teraz jak modny klub nocny.

- Jak tam się ma stary Londyn? - odezwała się z tęsknotą w głosie.

- Taki sam jak zawsze.

- Nie zmieniłeś pracy? Wciąż w ubezpieczeniach?

- Jak na razie.

- Póki co, dobre i to. A co z twoim życiem uczuciowym? Nie czas już na małżeństwo? Chociaż masz przed sobą najlepszy przykład.

- Moje życie uczuciowe układa się całkiem nieźle, dziękuję.

- Miło to słyszeć. Trzymaj.

Złapał spadającą z góry gałąź, po czym rzucił się, by przytrzymać drabinę, bo Kitty w tej właśnie chwili zdecydowała się zejść.

- Opowiedz mi o swoim domu.

- To nic wielkiego, naprawdę. Mieszkamy w przyczepie.

- Pokażesz mi?

- Ależ oczywiście. Możesz odwiedzić mnie jutro. Najprawdopodobniej dostaniesz od razu coś do roboty.

- Jak sądzisz, czy jeśli skierujemy się w stronę kuchni i zaczniemy wydawać odpowiednie odgłosy, ktoś nas poczęstuje herbatą?

Pogasili światła i ruszyli półpięciem ku masywnym drzwiom prowadzącym do kuchni. Tutaj kilka roślących kobiet uwijało się przy szykowaniu przysmaków na następną dzień. Na piecu dopiekał się właśnie indyk, w elektrycznym mikserze ubijano pianę z białek, w ogromnym kotle

gotowała się zupa. A w samym środku całego tego zamieszania, na krańcu długiego stołu, zajadając surowe ciasto, siedział Crispin. Chłopiec był tak podobny do matki, że wyglądał jak jej miniaturka.

Przedstawiła go, a potem dokonała prezentacji Toma:

- To jest Tom, on jest kimś w rodzaju naszego kuzyna. Nie mam pojęcia, jak powinieneś się do niego zwracać: Tom czy wuj Tom, a może kuzyn Tom.

- Po prostu Tom. - Przyciągnął sobie krzesło i usiadł. Kitty dołączyła do mocarnych kobiet po drugiej stronie stołu.

- Mieszkamy w przyczepie - poinformował Toma Crispin.

- Wiem.

- Ale będziemy mieszkać w domu.

- O tym też coś słyszałem. Zamierzam przyjść i go obejrzeć.

- Nie wolno ci będzie chodzić po podłodze, bo ona się lepi. Mamusia ją polakierowała.

- Do jutra podłoga już wyschnie.

Kitty nadeszła z meldunkiem, że taca z herbatą została zaniesiona do biblioteki. Zastali tam już ciotkę Mabel siedzącą przy ogniu, dzielącą się chlebem imbirowym z czterema psami, które dzielnie na niego pracowały, zamiatając podłogę ogonami.

* * *

Tom spał tej nocy na mosiężnym łóżku, w sypialni, do której światło wpadało jedynie przez niewielkie okienko w suficie, za to po całej podłodze hulały przeciągi. Badając dokładniej ten niezwykły fenomen, odkrył dziurę w dachu sąsiadującej z jego pokojem wieży, w której obecność kilku wieszaków na ubrania i rozwieszonych sznurów sugerowała, że powinno się ją traktować jako szafę. Tom rozpakował się i użył tego pomieszczenia zgodnie z jego zamierzonym przeznaczeniem. Potem ubrał się w pidżamę, a następnie udał w daleką podróż do najbliższej łazienki, planując umyć tam

zęby. Wreszcie znalazł się w łóżku. Prześcieradła były płócienne, bardzo pocerowane i lodowate, poszewka na poduszce miała tak bogaty haft, że już widział się rano z odciśniętym wzorem na policzku.

W nocy zaczęło padać. Obudził się i leżał nasłuchując. Najpierw dochodził odgłos bębnienia pojedynczych kropli, następnie stałego dudnienia o dach, a wreszcie ciur, ciur, po ścianie wieży popłynęła woda. Leżał i rozmyślał o smokingu, który tam powiesił, zastanawiał się, czy nie iść mu na ratunek, ale nie zdobył się na opuszczenie łóżka. Myślał o Mabel, próbował wyobrazić sobie, jak długo wytrzyma w tej ogromnej, odosobnionej budowli. Myślał o Kitty i Crispinie w przytulnej i ciepłej przyczepie. Pomyślał też o Elaine, zadowolony, że nie zdecydowała się mu towarzyszyć. I jeszcze raz wrócił myślą do Kitty. Jej twarz... dołeczek, kiedy się uśmiechała. Wciąż myśląc o Kitty zapadł w sen, ukołysany spokojnym szumem deszczu.

* * *

Rano deszcz ustał. Tom obudził się późno, a kiedy zszedł na dół, znalazł na kuchni talerz z ciepłymi jajkami na bekonie. Szaleństwo porządkowania już rozpętało się na dobre. Przenoszono z miejsca na miejsce krzesła, wnoszono i znoszono po schodach tace z kieliszkami, ustawiano stoły, odziewano je w nie wyciągane od lat adamaszkowe obrusy. Na dziedziniec co i rusz wjeżdżały samochody dostawcze, dowożąc kwiaty w doniczkach, sterty talerzy, skrzynki wina, tace pełne świeżo upieczonych bułeczek.

Z jednego szczególnie mało szacownie wyglądającego samochodu wydobyło się dwóch mężczyzn o długich włosach, którzy następnie wytaszczyli ze środka cały sprzęt potrzebny do zorganizowania dyskoteki. Tom zostawił ich, kiedy rozciągali sznury, by ustawić mikrofony, wzmacniacze i inne tajemnicze nowoczesne urządzenia.

Nieostrożnie zapytał się, w czym może pomóc, i natychmiast otrzymał męczące zajęcie dźwigania na piętro wiel-

kich koszy pełnych polan. Ciotka Mabel planowała napalenie we wszystkich kominkach.

Starsza pani była niezmordowana, jej ogrodowy fartuch widziało się wszędzie. Podczas swojej czwartej wędrowki na górę, z koszem na zgiętych plecach, Tom natknął się na nią na podeście kuchennym. Spokojnie przygotowywała kolację dla swej ogromnej hordy psów, jakby to było najważniejsze zadanie na ten dzień.

Postawił kosz i wyprostował obolały grzbiet.

- To gorsze niż kopalnie soli. Jak dużo tego mam jeszcze wtargać na górę?

- O, mój drogi, z pewnością przyniosłeś już dosyć. Nie miałam pojęcia, że wciąż się tym zajmujesz. Myślałam, że przestałeś.

Roześmiał się.

- Nikt mi nie powiedział, że mam przestać.

- No cóż, w takim razie skończ już z tym dźwiganiem. Nie ma nic więcej do roboty, a jeżeli nawet, równie dobrze może się tym zająć ktoś inny. - Spojrzała na masywny zegarek na przegubie dłoni. - Idź do pubu i napij się czegoś. A jeszcze lepiej, także zjedz tam coś. Kucharze zostali wynajęci tylko do przygotowania kolacji, nie mam odwagi wejść do kuchni, żeby poprosić o coś dla ciebie. Z pewnością zostałamby wyproszona.

- Tak sobie myślę - powiedział Tom - że pojadę i obejrzę nowy dom Kitty w Caxford.

- Świetny pomysł! Dobrze by było, gdybyś też ją zabrał na lunch. Jestem pewna, że niedojada. Czasami się zastanawiam, czy w ogóle coś je. Dlatego jest taka chuda. A jeśli idzie o małego Crispina, to kiedy przychodzi tutaj, od razu przypina się do pudełka z herbatnikami. Najprawdopodobniej jest wygłodzony - dodała pogodnie i obdarzyła promiennym uśmiechem swe psy.

- Kto gotów na papu?

*

*

Caxford leży na skraju wrzosowisk, za nimi pobłyskuje już tylko Morze Północne. Miasteczko ma piękny maleńki kościółek otoczony drzewami, które - co do jednego - pochylone są w stronę lądu, od napierającego na nie wiatru. Dom Kitty znajdował się na końcu głównej ulicy, samotny, nieco odsunięty od ostatniego rzędu zabudowań. Tom zaparkował przy chodniku, wysiadł z samochodu i wciągnął w płuca torfowy zapach wrzosowiska. Doszło go odległe beczenie owiec. Popatrzył na mały domek, na stare ściany i nowy dach, podwórko zavalone wszystkim, co potrzebne przy remoncie.

Ostrożnie otworzył krzywą, drewnianą furtkę i ruszył kamienną ścieżką, która prowadziła wokół domu. Z tyłu rozpościerał się należący do posiadłości duży teren. Tom rozejrzał się z zainteresowaniem i zauważył granicę wyznaczoną żywopłotem głogu, a dalej ciąg opuszczonych starych budynków, w których kiedyś najprawdopodobniej znajdowały się chlewnie. Tuż przed nimi stała przyczepa Kitty, służąca jej za tymczasowe miejsce zamieszkania do czasu odnowienia domu, oraz stary samochód, a także mieszkarka do cementu i niezły zestaw łopat i tacek.

Starannie stawiał nogi, by nie ugrzęznąć w błocie. Z miejsca, gdzie się znalazł, miał widok na tył domu. Zobaczył, że z tej strony dobudowano nową część. Stare dachówki mieszały się z nowymi. Deski prowadziły przez kałużę błota aż do drzwi wejściowych. Były to bardzo piękne drzwi sosnowe, spoza których dochodziły pogodne dźwięki muzyki pop.

Przeszedł po deskach i zabębnił w drzwi.

- Kitty! - zawołał.

Muzyka umilkła. Chwilę później dziewczyna pojawiła się w progu. Wyglądała tak samo jak poprzedniego dnia, tyle tylko, że przez jej policzek biegła brązowa smuga lakiery.

- Tom! Naprawdę nie pomyślałam, że dzisiaj przyjdiesz.

- Przecież powiedziałem, że przyjdę.
- Sądziłam, że jesteś zajęty pomaganiem Mabel.
- Harowałem jak niewolnik, ale dzięki Bogu, uwolniła mnie. Powiedziała, że mam tu przyjechać i zabrać cię na lunch. - Wszedł na próg i ciekawie wsunął głowę do środka. - Co robisz?

- Właśnie kończyłam podłogę w sypialni Crispina.
- A gdzie Crispin?
- Spędza dzisiejszy dzień z rodziną swego nauczyciela. Są niesamowicie mili. To moi najlepsi przyjaciele, naprawdę. Żona nauczyciela obiecała, że zatrzyma go jeszcze na dzisiejszą noc, zaproponowała też, że mogę się przebrać na przyjęcie Mabel u nich w domu i wziąć tam kąpiel. Jeśli się mieszka w zagraconej przyczepie, nie jest zbyt łatwo przebrać się na tańce.

- Z całą pewnością nie. Kiedy przeprowadzisz się do domu?

- Myślę, że powinien być gotowy za dwa tygodnie.
- Masz jakieś meble?
- Dość. Wystarczy dla nas dwojga, by z czymś zacząć. To tylko mały domek.

- Ale masz wspaniałe frontowe drzwi.

Kitty nie kryła zadowolenia.

- Prawda, że piękne? Wypatrzyłam je w sklepie z używanymi meblami. Wszystkie drzwi kupiłam na pchlich targach lub bazarach staroci. Wiesz, ludzie opuszczają przesyliczne, stare domy, ponieważ nie ma komu o nie dbać albo ktoś chce zbudować fabrykę na terenie posesji, ale czasami znajdzie się na tyle sprytna osoba, że uratuje wszystkie drzwi, futryny okienne i żaluzje. Te drzwi były takie piękne, że od razu widziałam je we frontowym wejściu.

- Kto oczyścił je z farby?

- Ja. Poza tym zrobiłam jeszcze wiele innych rzeczy. Oczywiście cieśle wykonali całą poważną robotę, ale to byli szalenie mili ludzie i wcale nie marudzili, że bez przerwy kręcę im się pod nogami. Gdybyś chciał zapłacić komuś za

zdrapanie farby, to by kosztowało masę pieniędzy, a ja, rozumiesz, nie stoję z tym najlepiej. Ale chodź, oprowadzę cię po domu. To jest kuchnia, gdzie zamierzamy także jadać, więc raczej jest to kuchnio-jadalnia...

Oglądali dom, przechodząc od pomieszczenia do pomieszczenia. Początkowe zainteresowanie Toma zamieniło się w podziw, ponieważ Kitty z rudery zrobiła coś jedyne w swoim rodzaju. Każdy pokój miał jakiś uroczy, nieoczekiwany element. Stare, małe okienko, wnęka na książki, pochły sufit, lufcik.

Kuchnię ozdabiały czerwone kafle, a otwarte schody prowadziły na poddasze, gdzie mieściła się sypialnia Crispina z długim, nisko wbudowanym oknem, przy którym miało stanąć łóżko, żeby chłopiec mógł co rano oglądać wschód słońca.

Salonik ozdabiał nie tylko mały, uroczy kominek w wiktoriańskim stylu, ale także antresola, na którą wdrapywało się po drabinie.

- Tutaj Crispin będzie oglądać telewizję. Może się też bawić i nie musi zachowywać się szczególnie cicho, kiedy mnie ktoś odwiedzi.

Na kominku płonął wesoły ogień.

- Napaliłam, żeby sprawdzić, czy dobrze ciągnie.

- Czy kominek był już tu wcześniej?

- Nie. To kolejna rzecz, którą uratowałam przed wyrzuceniem i ozdobiłam go tymi błękitnymi i białymi kaflami. Prawda, że wyglądają właśnie tak, jak należy?

Następnie pokazała mu sosnowy kuchenny kredens, w którym zamierzała ustawić kolorową porcelanę, i krzesło zrobione przez nią samą z przepiłowanej na pół beczki. Zaprowadziła go do swojej sypialni, mieszczącej się na parterze, gdzie wielkie okna wychodziły na coś, co pewnego dnia miało stać się tarasem.

Spoglądał na błoto i ustawione w słupki cegły.

- Kto ci założy ogród?

- Sama to zrobię. Muszę go przekopać, ponieważ można

tu znaleźć mnóstwo skarbów. Na przykład kawałki starego łóżka. Myślałam, żeby użyć kultywatora, ale zniszczyły się po pięciu minutach.

- Zamierzasz tu mieszkać sama z Crispinem? - zapytał.

- Oczywiście. A myślałaś, że co zrobię?

- Sprzedaj ten dom. Zarobisz mnóstwo pieniędzy. I przeprowadź się.

- Nie umiałabym się go pozbyć. Zbyt wiele włożyłam tu z siebie.

- Stoi tak bardzo na uboczu.

- Mnie się to podoba.

- A Crispinowi? Co z nim? Gdzie będzie chodził do szkoły, kiedy podrośnie?

- Tutaj, w wiosce.

Tom odwrócił się od okna i spojrzał jej prosto w oczy.

- Kitty, czy jesteś pewna, że nie bierzesz na siebie zbyt dużo?

Przez moment ich spojrzenia spotkały się. Jej źrenice wydawały się wprost ogromne w niewielkiej twarzy, a ich błękit niezwykły.

Odeszła w drugi kąt pokoju i wskazała na pomieszczenie ręką.

- Spójrz, Tom, na moje robione na zamówienie szafy. Czyż nie są ogromne? Ale obawiam się, że na razie mam tylko jedną parę dżinsów i jedną sukienkę do schowania. Widzisz drzwiczki? Zrobiłam je ze starych okiennic. Czy nie są piękne?

Oparła dłoń na jedwabiście gładkim drewnie koloru miodu. Wydawało się, że gładzi żywe stworzenie.

- A te sztukaterie, czyż nie są piękne? W pierwszej chwili myślałam, że to jest rzeźbione drewno i zdzierając farbę, o mało tego nie zniszczyłam. - Zobaczył, że jej paznokcie są połamane, a skóra dłoni zgrubiała i aż ciemna z brudu.

- Kitty, czy jesteś pewna, że tego naprawdę chcesz?

Nie od razu mu odpowiedziała. Czekał.

- Za chwilę, Tom, powiesz mi: Kitty, przecież ty wcale

nie chcesz tu mieszkać. To właśnie ludzie powtarzali mi przez całe życie. „Kitty, przecież wcale nie chcesz jeździć na tym koniu”, „Kitty, przecież nie chcesz kupować tego starego roweru”, „Kitty, przecież nie będziesz nosiła tej okropnej sukienki”. Za każdym razem, kiedy czegoś naprawdę pragnęłam, moi rodzice powtarzali mi, że wcale tego nie chcę. Skąd mogli to wiedzieć? W nieskończoność powtarzałam, że nie mam ochoty jechać do Paryża, ale gdybym się uparła, wysłaliby mnie do jakiejś koszarnej szkoły, w której bym się uczyła gotować i układać kwiaty. To nie dla mnie, Tom. Dlatego dałam się wrobić w tę pracę w Paryżu, a trudno mnie chyba winić za to, że Monsieur najwyraźniej nie potrafił utrzymać rąk przy sobie. No a kiedy Madame go przyłapała, cała wina oczywiście spadła na mnie. Nie mogłam wrócić do domu! Wiedziałam, że jeśli wtedy się nie wyrwę, to już nigdy mi się nie uda. A ta sprawa z Terence'em, moim byłym mężem... gdyby tylko zostawili mnie w spokoju, z pewnością nigdy bym za niego nie wyszła. Ale w chwili gdy go zobaczyli, wszystko zaczęło się od nowa. „Kitty, przecież na pewno nie chcesz mieć do czynienia z takim człowiekiem jak on”. „Kitty, przecież nie chcesz spędzić całego życia żyjąc w łódce”. „Kitty, przecież na pewno nie chcesz wyjść za niego”. No i zrobiłam to. Cała sprawa jest równie prosta jak głupia, koniec.

Tom stał oparty o chłodną powierzchnię szyby.

- Nigdy nie będę decydował za ciebie - powiedział z powagą. - Nie znam twoich pragnień. Po prostu nie chcę widzieć, jak popełniasz kolejny błąd, pakujesz się w sytuację, z której trudno będzie ci się wycofać.

- Popełniałam błędy przez całe życie, ale trudno, nadal muszę iść swoją drogą. Mam Crispina i nie potrzeba mi zbyt wiele pieniędzy. Lubię być w pobliżu Kinton pośród wspomnień z dzieciństwa. Wspaniale się tutaj bawiliśmy.

- Podziwiam cię - powiedział Tom. - Zdumiewa mnie to, co zdołałaś osiągnąć, Kitty. Tylko dręczysz mnie myśl, że

zmagasz się bezustannie z życiem, zdana jedynie na własne siły...

- Chodzi ci o dom? To raczej rodzaj terapii. Żeby zapomnieć o Terensie. - Zamknęła drzwi kredensu, jakby zamykając za sobą przeszłość razem z byłym mężem. - Wiesz, Tom, kiedy dowiedziałam się, że przyjeżdżasz na ten weekend, pomyślałam sobie: lepiej byłoby, żeby nie przyjeżdżał. Nie chciałam przypominać sobie tego okropnego wieczoru, kiedy wzięłeś nas na kolację, a Terence się upił. Czułam się tym wszystkim zawstydzona. A nikt nie lubi się czuć zawstydzony. Ani winny.

- Nie masz żadnego powodu, by poczuwać się do jakiegokolwiek winy. Uważam, że udało ci się pokonać długi, ciemny tunel o własnych siłach, a na dodatek jesteś po tym wszystkim cała i masz jeszcze Crispina. A jeśli chodzi o Terence'a, możesz go spisać w poczet doświadczeń.

- Więc nie myślisz, że ten dom jest kolejną pomyłką?

- Tylko ten, kto nic nie robi, nigdy nie popełnia pomyłek. A dom, jeśli nawet jest pomyłką, to wspaniałą. Jak już ci powiedziałem wcześniej, podziwiam cię za to, co zrobiłaś.

- Nie musisz tego mówić. Nie staraj się być dla mnie miły.

Zaskoczony, zdał sobie sprawę, że dziewczyna jest na skraju łez. Nie potrafił sobie przypomnieć Kitty płaczącej.

- Ja... nie jestem przyzwyczajona, żeby ludzie byli dla mnie mili.

- Och, Kitty....

- Już samo to, że mogliśmy tak porozmawiać. Nawet Mabel uważa mnie za szaloną. Z nikim nie mogę się dogadać. W każdym razie nie tak. Nikt nie jest taki jak ty.

- Nie powinnaś płakać.

- Wiem, ale nie potrafię się powstrzymać.

Bezradnie szukała chusteczki, która jakoś nie chciała się zmaterializować, dopiero on podał jej swoją, więc wydmuchała nos i wytarła oczy.

- To dlatego, że tyle spraw toczy się w niedobrym kie-

runku. Tak jak zimą, kiedy byłam najbardziej zmęczona, samochód nie chciał ruszyć, w przyczepie zrobiło się strasznie zimno, a Crispin nie miał gdzie się bawić... W takich chwilach tracę wiarę we własne siły i zastanawiam się, czy może rzeczywiście jestem tak nieodpowiedzialna, jak mi zarzucają. „Kitty, przecież na pewno nie chcesz się pogrzebać gdzieś na północy”. „Kitty, przecież musisz myśleć o Crispinie”. „Kitty, nie możesz być taką egoistką i odcinać się od rodziny”. „Kitty, co ty robisz ze swoim życiem?”

Tom nie potrafił dłużej się powstrzymać. Podszedł do niej, odwrócił do siebie i objął. Przez cienki, wełniany sweter wyczuwał zębra, a na policzku miękkość włosów.

- Nie płacz nigdy więcej - powiedział. - Łzy nie są dla ciebie. Kiedy widzę cię zapłakaną, wydaje mi się, że cały świat rozpada się w gruzy.

- Nie chciałam się tak głupio zachować.

- Wcale nie jesteś głupia. Jesteś fantastyczna. Jesteś piękna. Przetrwałaś. I masz swoje dziecko. Tak właśnie myślę. A teraz uważam, że dobrze by nam zrobił drink. Chodź, pójdziemy do pubu, usiądziemy koło ognia i pogadamy o czymś wesołym. Na przykład o tym, że nadchodzi wiosna i Mabel urządza przyjęcie. Potem, jak coś zjemy, wrócimy do domu i wybierzemy się na spacer po wrzosowiskach albo zjedziemy na dół na plażę i będziemy puszczać kaczki. Albo wybierzemy się do miasta, zajdziemy do antykwariatu i kupię ci coś przepięknego do twojego domu. Co tylko będziesz chciała, Kitty. Wystarczy, że powiesz słowo. Wystarczy, że powiesz mi...

* * *

Kiedy jechał z powrotem do Kinton, zapadał już zmierzch. Skręcił w uliczkę prowadzącą do zamku, którego sylwetka wyłoniła się z ciemności, rozjarzona światłami, odcinając się ostro od turkusowego nieba.

Dziwnie było pomyśleć, że tego wieczora, być może już w ogóle po raz ostatni, w Kinton odbywa się przyjęcie. Za-

lśnią światła i zagra muzyka. Pod łukiem bramy będą przejeżdżać samochody, oświetlając reflektorami zabytkowe mury. Stare, zaniedbane pomieszczenia wypełni woń kwiatów, delikatne światło świec, dźwięczące radością głosy i śmiech.

Ale już nigdy więcej. Cudem było, że czas zatrzymał się tutaj na tak długo. Kinton stał się śmiesznym anachronizmem, choć nie bardziej niż sama Mabel. A ona osiągnęła tak wiele właśnie dlatego, że nie rezygnowała z tego, w co wierzyła. Wiedziała, czego chce od życia. I była gotowa za to zapłacić. Zamieniła zamczysko w dom, wypełniła go dziećmi innych ludzi, potrafiła dostrzec piękno zimnych, ogromnych komnat. Zajmowała się ogrodem, spacerowała w towarzystwie psów, zbierała przyjaciół przy kominku. Dzięki uporowi udawało jej się wynajdować sposoby, by działały buntujące się bojłery, trzymały się kruszejące ściany i nie rozpadały poprzecierane dywany. Tak długo pozostała niepokonana.

Jadąc powoli ulicą, potem podjazdem, a wreszcie pod łukiem bramy Tom zastanawiał się nad tym słowem. Niepokonana. I nagle uświadomił sobie, że Kitty i Mabel mają ze sobą wiele wspólnego. Obie niekonwencjonalne, wręcz ekscentryczne, a ich działania niezrozumiałe dla zwykłych ludzi. Ale to właśnie one wychodzą z potyczek życiowych zwycięsko. Cokolwiek się będzie działo, one zawsze przetrwają.

Stał w swej sypialni przed toaletką, starając się porządnie zawiązać krawat, kiedy nagle ktoś cicho zapukał do drzwi.

- Tom.

Odwrócił się. To była Mabel. Wyglądała wspaniale w długiej brązowej sukni o staroświeckim kroju, z rodzinnymi diamentami w uszach i okalającymi szyję perłami, które dostała od Neda w prezencie ślubnym.

Tom przestał się zmagać z krawatem.

- Wyglądasz cudownie - powiedział. Nie był to czczy komplement.

Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do niego.

- I wiesz, Tom, czuję się też cudownie. Całkiem młodo i bardzo wesoło. Czy chcesz, żebym ci pomogła? Zawsze wiązałam krawaty Nedowi. Biedny człowiek, nie był w stanie zrozumieć, który koniec jest który.

Tom, mimo że ten problem miał już za sobą, stał posłusznie, pozwalając jej zawiązać węzeł.

- Skończone - poklepała efekt swoich starań. - Znakończone.

Stali, spoglądając na siebie i uśmiechając się szeroko.

- Pewnie ta chwila jest równie dobra jak każda inna, żeby wręczyć ci prezent - powiedział Tom. Zdjął z toaletki dużą płaską paczkę. Biały papier był cienki, a wstążka, która go oplatała, złota i bardzo frymuśnie poplątana.

- Och, Tom, jesteś taki kochany. Ale nie trzeba mi było nic kupować. Sam twój przyjazd jest najwspanialszym prezentem.

Ale już niosła paczkę, wyraźnie zadowolona i podekscytowana, na łóżko, gdzie zasiadła, by od razu zająć się odwijaniem papieru. Usiadł obok niej. Kiedy papier i wstążki opadły, ich oczom ukazało się stare malowidło.

- Tom! Ależ to jest Kinton! Gdzieżeś to znalazł?

- Całkowicie przypadkowo w sklepie ze starociami w Salisbury. Były tam dwa czy trzy stare sztychy, a wśród nich właśnie ten. - Przypomniawszy sobie, jaką przyjemność sprawiło mu już samo kupowanie. Wiedział, że znalazł doskonały prezent dla Mabel. - W Londynie dałem go do oprawienia.

Przyglądała się obrazowi z bliska, ponieważ do wieczornej sukni nie założyła okularów.

- Musi być bardzo stary. Ma przynajmniej z dwieście lat, tak sądzę. Jak to miło z twojej strony. Będę go mogła zabrać ze sobą...

- Zabrać ze sobą?

- Tak. - Odłożyła obraz ostrożnie na łóżko i usiadła przodem do Toma. - Nie miałam zamiaru mówić ci tego dziś wieczór, ale mimo wszystko tak właśnie będzie lepiej. Ty powinieneś usłyszeć to jako pierwszy. Zamierzam opuścić Kinton. Ponieważ, całkiem nagle, przytoczył mnie. Stał się za duży i za stary.

- Gdzie masz zamiar się przenieść?

- Jest taki niewielki domek przy głównej ulicy w miasteczku. Od pewnego czasu mam go na oku. Trzeba go odnowić i założyć ogrzewanie, a potem już jak najszybciej się tam przeniesiemy, ja i moje psy. Dokonamy naszych dni w towarzystwie rzeźnika z jednej strony, a sprzedawcy gazet z drugiej.

Tom na samą myśl o tym uśmiechnął się.

- Wiesz - powiedział - jakoś wcale mnie to nie dziwi. Jest mi przykro, ale jakbym się tego spodziewał. Kiedy jechałem dzisiaj wieczorem w stronę zamku, patrzyłem na niego i myślałem, że to niemożliwe, by jeszcze długo trwał taki niezmienny.

- Chciałabym w nim umrzeć. Ale może się zdarzyć, że będę już wtedy bardzo stara i niedołączna, a to oznacza kłopot dla moich przyjaciół i rodziny.

- Masz jeszcze lata przed sobą.

- I nawet nie jest mi przykro. Wszystko ma swój kres. Najlepiej wychodzić z przyjęcia w trakcie najlepszej zabawy. A przeżyliśmy tu dobre chwile, prawda? To miejsce jest pełne moich szczęśliwych wspomnień. Nie chcę siedzieć, starzeć się i patrzeć, jak to miejsce umiera razem ze mną.

- Co się stanie z Kinton?

- Nie mam pojęcia. Może ktoś zechce go kupić na szkołę albo szpital, czy nawet więzienie, ale prawdę mówiąc, bardzo w to wątpię. Może weźmie go pod swoje skrzydła ministerstwo kultury lub jakaś instytucja zajmująca się zabytkami. A może po prostu rozsypie się w gruzy. Niewiele mu do tego trzeba. Szczury panoszą się w piwnicach. Jakieś

obrzydliwe żuki łążą w zachodniej wieży. - Roześmiała się i serdecznie trzepnęła go po kolanie. - A w dzwonnicy latają nietoperze.

Tom zawtórował jej śmiechem.

- Jeśli chcesz odnowić dom w miasteczku, dlaczego nie poprosisz Kitty, żeby ci pomogła? - zapytał.

- No, tak - odezwała się Mabel. - Wiedziałam, że wcześniej czy później wypłynie w naszej rozmowie Kitty.

- Ten jej mały domek... Brak mi słów, żeby go opisać. Trudno wprost wyobrazić sobie, ile musiała w niego włożyć pracy.

- Wiem. Kitty wszystkich nas doprowadza do szału, nieznośne z niej dziecko, ale też jestem dla niej pełna podziwu.

- Chce, żeby ludzie uważali ją za twardą, ale ona wcale taka nie jest.

- Nie. I przeszła ciężkie chwile. Po rozwodzie zaprosiłam ją i Crispina, żeby na trochę zamieszkali u mnie, ale się nie zgodziła. Powiedziała, że sama musi wypić piwo, którego nawarzyła. - Mabel na chwilę zamilkła. Kiedy Tom podniósł na nią wzrok, zobaczył, że mierzy go zamyślnym, kalkulującym spojrzeniem.

Zanim się zdążył odezwać, Mabel zapytała go:

- Co robiliście dzisiaj, ty i Kitty?

- Obejrzelśmy dom. Potem zjedliśmy lunch w Caxford, pojechaliśmy do miasta i zrobiliśmy zakupy. Kupiłem jej talerze w biało-błękitny wzór, do kredensu. A potem odwiozłem ją do domu.

- Zawsze byłeś bardzo blisko z Kitty. Zastanawiam się, czy czasem nie jesteś jedyną osobą, która ją rozumie.

- Kiedyś powiedziałaś mi, że powinienem się z nią ożenić.

- A ty odpowiedziałeś, że to byłoby kazirodztwo, ponieważ traktujesz ją jak siostrę.

- A ty na to, że pewnego dnia Kitty okaże się pięknoscią.

- A ty, że nie możesz tyle czekać.

- Czekałem - odparł Tom.

Mabel siedziała, jakby spodziewając się, że będzie chciał ten temat rozwinąć. Ponieważ jednak milczał, powiedziała po prostu:

- Nie czekaj zbyt długo.

Z daleka, z odlegle położonej sali, doszły ich ciche dźwięki muzyki. Nasłuchiwali. Biorąc pod uwagę okazję, z jakiej urządzono to przyjęcie, długowłosi chłopcy, którzy przywieźli sprzęt dyskotekowy, zdecydowali się zacząć ten szczególny wieczór od wiązanki walców Straussa.

Mabel uśmiechnęła się zadowolona.

- Jakie to miłe! Ale ja myślałam - dodała, jakby sądząc, że skomplikowana aparatura stereo jest instrumentem, na którym tych dwóch młodych ludzi miało grać - że to może być tylko muzyka rockandrollowa.

Właśnie miał zamiar jej to wytłumaczyć, kiedy znowu rozległo się pukanie do drzwi.

- Mabel!

- Jestem tutaj, chodź.

Wolno otworzyły się drzwi i wyjrzała zza nich głowa Kitty. Tom zerwał się na równe nogi.

- Mabel, wszędzie cię szukałam. Musisz się pośpieszyć. Pierwsze samochody już podjeżdżają, a ty masz stać u stóp schodów i witać gości.

- O nieba! - Mabel ciężko podniosła się z łóżka, wygładziła spódnicę i poprawiła brązową koronkę z przodu. - Nie miałam pojęcia, że jest już tak późno. - Przyjrzała się uważnie Kitty. - A kiedy ty tu przyjechałaś?

- Jakieś pięć minut temu. Och, Mabel, wyglądasz wspólnie. Ale pośpiesz się. Musisz tam stanąć.

- Już idę - odparła. Zgarnęła obraz, papier i złotą wstążkę. Pocałowała Toma w policzek i ruszyła do drzwi. Przechodząc pocałowała też Kitty, jakby mimochodem. A potem odeszła, wyprostowana, z brązowym koronkowym trenem płynącym po przetartym dywanie.

* * *

Tom i Kitty stojący po dwóch stronach pokoju uśmiechnęli się do siebie.

- Nie tylko Mabel wygląda dziś cudownie - powiedział Tom.

Kitty miała na sobie tak romantyczną i elegancką sukienkę, że wyglądała jak przeistoczona. Suknia była ze śliskiego jasnobłękitnego jedwabiu, ze spódnicą szeleszczącą przy każdym ruchu i głęboko wyciętym dekoltem, odsłaniającym jej delikatne ramiona i szyję. Włosy, czyste i lśniące, jakby jeszcze jaśniejsze niż zwykle, zwisały miękką kurtyną okalając jej twarz, w uszach lśniły perły, a nadgarstek lewej ręki okalał piękny zegarek.

- Skąd na Boga wytrzasnęłaś tę przepiękną kreację? Zrobisz w niej furorę.

- Jest bardzo stara. Dostałam ją, kiedy skończyłam osiemnaście lat i mama chciała mnie wprowadzać w wielki świat.

- Wejdz i zamknij drzwi. - Tom uśmiechnął się. - Jeszcze nie jestem gotowy, ale za moment będę.

Posłuchała, podeszła do łóżka i usiadła na tym samym miejscu, które niedawno zajmowała Mabel. Przyglądała się, jak wciąga na siebie smoking, a następnie wkłada w różne kieszenie pieniądze, klucze, chusteczkę.

- Co dałeś Mabel w prezencie urodzinowym? - zapytała.

- Obraz przedstawiający Kinton. Powiedziała, że zamierza go wziąć ze sobą.

- Gdzie zamierza go wziąć?

- Do małego domku w mieście. Opuszcza zamek.

Po chwili Kitty szepnęła:

- Podejrzewałam, że to planuje.

- Nie wiem, czy wolno mi było o tym mówić, czy nie. Nie wspominaj przy niej, że wiesz.

- Zdziwiałam, że wytrzymała - chodzi mi o mieszkanie tutaj - tak długo. Ja... cieszę się, że stąd odejdziesz.

- Ja też. Tak jak sama powiedziała, przyjście trzeba

opuścić w trakcie najlepszej zabawy. A poza tym Mabel boi się, że zachoruje albo zrobi się niedołączna i stanie się ciężarem dla swoich przyjaciół.

- Jak będzie stara i słaba - powiedziała Kitty - ja się nią zajmę.

- Tak - Tom skinął głową. - Wierzę, że tak właśnie będzie.

Gdzieś pod nimi wciąż rozbrzmiewała muzyka. Ale teraz mieszał się z nią odgłos podjeżdżających samochodów i gwar rozmów.

- Powinniśmy już zejść na dół - odezwał się Tom. - Musimy być tam jako moralna podpora Mabel.

- Dobrze - zgodziła się Kitty.

Podniosła się, wygładziła sukienkę tym samym gestem, co przedtem ciotka. Tom wziął ją pod rękę i razem opuścili pokój, a następnie poszli długim korytarzem aż do schodów.

Teraz muzykę słyhać było już bardzo wyraźnie. „Opowieści lasku wiedeńskiego”. Ramię w ramię ruszyli w dół schodami. Ich oczom ukazał się hol, oświetlony świecami i ogniem na kominku, a dodatkowo odbłyskami światła zalamującego się w kieliszkach do szampana ustawionych rzędem na stole.

Nagle ten właśnie moment wydał się Tomowi niesłychanie ważny, godny zapamiętania na zawsze. Zatrzymał się i przytrzymał Kitty.

- Poczekaj - powiedział.

Odwróciła się i spojrzała na niego:

- Dlaczego, co się stało?

- Taka chwila jak ta nigdy się już nie powtórzy. Wiesz o tym, prawda? Pozwólmy, by trwała.

- Co powinniśmy zrobić?

- Rozkoszujmy się nią.

Przysiadł na szerokim stopniu i przyciągnął dziewczynę do siebie. Usiadła, szeleszcząc jedwabiem i otoczyła ramionami kolana. Uśmiechała się, a on wiedział, że go rozumie.

Połączyło się w tej chwili wszystko, co mogło mu sprawić przyjemność, dając mieszankę doskonałą: czas, miejsce i dziewczyna.

Kitty, którą znał przez większą część swego życia, a jednak nigdy nie poznał do końca. Ona stanowiła część tego cudu, część tego wieczoru, część Kinton. Rozejrzał się wokół siebie, patrzył na malowany sufit, na niszczącą wspinałość łuków okiennych, doskonale proporcje schodów, na których razem siedzieli. Spojrzał jej w oczy i w tym momencie poczuł, że wypełnia go szczęście.

- Kiedy zamierzasz przeprowadzić się z przyczepy do domu? - zapytał.

Kitty roześmiała się.

- Co cię tak bawi? - spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Ty. Myślałam, że kiedy się odezwiesz, będzie to jakiś komplement lub coś ogromnie romantycznego.

- Czułe słówka zostawiam na resztę wieczoru. Teraz jest chwila na sprawy banalne.

- Niech będzie. Mówiłam ci już, że za jakieś dwa tygodnie.

- Zastanawiam się... gdybyś mogła poczekać miesiąc, mam jeszcze kilka dni wolnego. Planowałem wyjazd do Hiszpanii, ale chyba wolę przyjechać do Northumberland i nawet dopomóc ci przy przeprowadzce. To znaczy... jeśli tego chcesz.

Kitty już się nie śmiała. Patrzyła na niego bez mrugnięcia, jej oczy wydawały się ogromne i bardzo niebieskie.

- Tom, nie wolno ci litować się nade mną - powiedziała.

- Nie przyszło mi to do głowy. Mogę cię podziwiać, zażdrościć ci, nawet złościć się na ciebie. Ale litość nie ma z tym nic wspólnego.

- Nie uważasz, że znamy się już o wiele za długo?

- Nie sądzę, byśmy się znali wystarczająco.

- Mam Crispina.

- Wiem, że masz.

- Jeśli przyjedziesz, żeby mi pomóc - a nie mogę wymy-

ślić nic, co by mi sprawiło większą przyjemność - i na koniec zdecydujesz, że masz dość... chodzi mi o to, byś wiedział, że dam sobie sama radę... potrafię być niezależna. Sama wszystko potrafię zrobić...

- Wiesz co, Kitty? Płaczesz się w zeznaniach.

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz bardzo dobrze. - Ujął dłoń dziewczyny i siedział wpatrzony w nią. Myślał o Mabel i Kinton. O Kinton jako ruinie, a o Mabel razem z psami mieszkającej w małym domku z centralnym ogrzewaniem i najprawdopodobnie nie marznącej po raz pierwszy w życiu. Przypomniał sobie Kitty śpiącą w dzieciństwie na blankach zamku, ponieważ chciała pokazać, jak jest odważna i uparta, a potem pomyślał o jej synku, jak leży w łóżeczku w nowym domu i ogląda przez okno wschód słońca.

Dłoń Kitty była szorstka i miała połamane paznokcie, ale dla niego była to piękna dłoń. Podniósł ją do ust i pocałował wewnątrz, a potem zacisnął jej palce wokół tego miejsca.

- Trzymaj kciuki - powiedział.

- Za co?

- Za to, co się kończy - odparł z uśmiechem. - I za to, co się zaczyna.

Przełożyła Dorota Malinowska

Kwiaty w deszczu

Autobus jechał powoli, często się zatrzymując. Pokonywał już ostatnie wzniesienie dzielące nas od miasteczka. W powietrzu wisiała gęsta, mokra mgła. Od wschodu wiał lodowaty wiatr. Opuściliśmy Relkirk godzinę temu i zaraz potem pogoda gwałtownie się zmieniła. Wyglądało to tak, jakbyśmy z pochmurnego, ale suchego popołudnia wjechali w posępny, deszczowy wieczór.

- Driech - mruknął konduktor, pobierając opłatę od grubej wieśniaczki z torbami wypchanymi zakupami, prawdopodobnie zrobionymi właśnie w Relkirk. Szkoockie słowo „driech” wywołało we mnie wspomnienia. Czułam się tak, jakbym po latach wracała do domu.

Szyby w oknach zaparowały. Przetarłam palcem małe kółeczko i wyjrzałam przez nie z nadzieją. Ujrzałam skaliste ściany gór, niewyraźne kształty srebrnych brzoź i modrzewi. Tam dalej za zakrętem leżała, ukryta teraz w mgle, zagroda z zabudowaniami gospodarskimi, wreszcie rozpoznawałam okolicę. Wiedziałam już, w którym momencie powinniśmy wjechać po moście na główną ulicę miasteczka.

Miałam miejsce przy oknie.

- Przepraszam - powiedziałam do siedzącego obok pasażera. - Będę wysiadać na następnym przystanku.

- Proszę bardzo - dźwignął się, żeby mnie przepuścić. - Nie mamy dziś dobrej pogody - dodał.

- Niestety, jest dziś obrzydliwie - potwierdziłam.

Ruszyłam w stronę drzwi. Minęliśmy już most i po chwili byliśmy już w miasteczku. Autobus zatrzymał się opodal sklepu pani McLaren.

Effie McLaren

Sklep spożywczo-przemysłowy w Lachlan

Poczta

Przeczytałam napis na drzwiach. Zawsze, kiedy tu byłam, czytałam ten napis. Drzwi autobusu wreszcie się otworzyły. Podziękowałam konduktorowi i zeszłam po schodkach za jednym czy dwoma pasażerami, którzy też wysiadali. Łało jak z cebra.

- Ojej! Okropna pogoda! - stwierdziliśmy zgodnie.

Potem oni poszli swoją drogą, a ja zostałam tam, gdzie byłam, na chodniku przy przystanku. Czekałam, aż autobus odjedzie, aż umilknie w oddali dźwięk ciężko pracującego silnika. Jechał dalej i znowu pod górę, potem skręcił i zniknął z pola widzenia.

Teraz słychać było prawie tylko ciszę. Bulgoczącą, chichoczącą rzeczkę, beczenie niewidzialnej owcy, jęk wiatru tarמושącego sosny na rozciągającym się nade mną górskim zboczem. Wszystko umiłowane i takie samo jak wtedy, pięć lat temu. Nic się nie zmieniło.

* * *

Ja i moi trzej bracia przyjechaliśmy kiedyś do Lachlan na ferie wielkanocne z rodzicami. Miałam wtedy mniej więcej dziesięć lat. A potem stało się naszym zwyczajem, że przyjeżdżaliśmy tu co roku. Na stałe mieszkaliśmy w Edynburgu, ojciec był dyrektorem szkoły. Oboje rodzice uwielbiali łowić ryby i zawsze wynajmowaliśmy mały domek letniskowy od pani Farquhar, która mieszkała, jak to się mówiło, w Wielkim Domu.

To były wspaniałe czasy. Kiedy ojciec i matka godzinami przesiadywali w łódce na środku jeziora albo na rzece lub też stali z wędkami przy brzegu, my, dzieci, pozostawieni sami sobie, mieliśmy pełną swobodę, z której korzystali-

śmy, ile wlezie. Ganialiśmy się po porośłych wrzosem zboczach gór, pływaliliśmy w lodowatej wodzie, łowiliśmy pstrągi, a także - fachowo wyposażeni w plecaki, odbywaliśmy długie piesze wycieczki do odległych, pięknych zakątków. Uczestniczyliśmy też w życiu miasteczka. Ojciec grywał na fisharmonii w miejscowym kościele, matkę niejednokrotnie zapraszano do koła gospodyń, gdzie pokazywała paniom włoski ścieg i inne ciekawe wzory haftu artystycznego, a ja i mój brat braliśmy udział w organizowanych przez szkołę przedstawieniach i koncertach.

Największy urok jednakże tych przyjazdów do Lachlan stanowiła niezwykła wprost gościnność i serdeczność pani Farquhar. Nasza gospodyni była wdową, raczej w starszym wieku, i wyróżniała się tym, że naprawdę, autentycznie kochała ludzi. Co roku, zawsze, gościła u niej grupa przyjaciół, ich dzieci i wnuków, siostrzeńców, bratanków, a może i chrześniaków. W Wielkim Domu nieustannie rozbrzmiewał śmiech i wesołe rozmowy.

I jeszcze mieszkał z nią jej wnuk. Jedyne dziecko syna.

Od początku braliśmy także aktywny udział w życiu Wielkiego Domu, w każdym zajęciu, które tam zaplanowano. Tenis, spotkanie przy herbacie, a czasem piknik. Pamiętam, że drzwi Wielkiego Domu zawsze stały otworem, ogień wesoło trzaskał w kominku, płonął, jaśniał, zapraszał. Do tej pory, ilekroć widzę żonkile, od razu myśli moje wracają do Lachlan. Pamiętam, jak zrywaliśmy żonkile, przynosiliśmy do domu, wstawiali do wazonów i cały dom przesiąknięty był ich zapachem. Tego nie można zapomnieć.

Kiedy teraz niedawno powiedziałam matce przez telefon, że dostałam w Relkirk pracę na cały miesiąc, powiedziała od razu:

- Zastanawiam się, czy będziesz mogła wyskoczyć stamtąd do Lachlan.

- Na pewno dadzą mi jakiś dzień wolny. Muszą kiedyś to

f

zrobić, inaczej padnę i nie będą mieli ze mnie pożytku. Złapię autobus i pojadę do nich. Złożę wizytę pani Farquhar, na pewno się ucieszy.

- Tak... - głos matki nie brzmiał teraz zbyt pewnie.

- Dlaczego nie miałabym jej odwiedzić? Czy myślisz, że ona już nas nie pamięta?

- Kochanie, oczywiście, że pamięta i będzie szczęśliwa, jeśli cię znów zobaczy. Boję się czegoś innego... Coś mi się obilo o uszy, że miała zawał serca i nie zdołała już potem odzyskać zdrowia. Ale może teraz jest lepiej. W każdym razie najpierw do niej zadzwoń.

Nie zadzwoniłam. Od razu, jak tylko dali mi w pracy dzień wolny, pobiegłam na przystanek autobusowy w Relkirk i teraz byłam tutaj, stałam jak lunatyczka w ulewnym deszczu i już zdążyłam przemoknąć do suchej nitki.

W końcu weszłam na pocztę. Dzwonek na drzwiach za-brzęczał. Doleciał mnie znajomy zapach parafiny i kleju do znaczków pocztowych, zmieszany z aromatem goździków, pomarańczy, cukierków i innych przeróżnych słodkości.

* * *

Sklepik był pusty. Rzadko tu ktoś przychodził, czasami tylko pojawiali się jacyś klienci, którym potrzebne były znaczki pocztowe albo musieli kupić puszki z kompotem brzoskwińowym, czekoladę czy też igły i nici. Pani McLaren lubiła przesiadywać w małym pokoiku na zapleczu, za zasłoną z koralików, gdzie popijała herbatę i rozmawiała ze swoim kotem.

- Dobrze, dobrze, Tiddles - usłyszałam jej głos. - Zobaczmy, kto to może być.

Dobiegło moich uszu szuranie kapciami i za chwilę pani McLaren pokazała się w kwiecistym fartuszkach i brązowym berecie starannie naciągniętym aż na brwi. Mój brat, Roger, zawsze się upierał, że ona pod tym beretem nie ma włosów, że jest łysa jak Kojak.

- Jaka dzisiaj paskudna pogoda - powiedziała. - Czym mogę służyć szanownej pani?

- Dzień dobry, pani McLaren - odparłam.

Przeszyła mnie wzrokiem poprzez ladę, usiłując sobie przypomnieć, kim też mogę być. Zdjęłam wełnianą czapkę, uwalniając moje długie włosy, i od razu spostrzegłam błysk w jej oczach. Poznała mnie. Aż usta otworzyła z zachwytem, a ręce jej wykonały klasyczny gest zdumienia.

- Przecież to Lavinia Hunter! Co za niespodzianka! Moja droga, ty już jesteś dorosła. Ile to lat, odkąd przestaliście do nas przyjeżdżać?

- Mniej więcej pięć lat.

- Wszyscy stęskniliśmy się za wami.

- My tęsknimy także. Ale mój ojciec umarł i mama zdecydowała, że przeprowadzimy się do Gloucestershire, bliżej jej siostry. A moi bracia dorośli i rozproszyli się po świecie.

- Przykro mi z powodu ojca. To był wspaniały człowiek. Ale opowiedz mi o sobie. Czym się zajmujesz?

- Jestem pielęgniarką.

- O, to piękny zawód. Czy pracujesz w szpitalu?

- Nie. Poprzednio pracowałam w szpitalu. Teraz jestem prywatną pielęgniarką, pracuję u rodziny w Relkirk, mam umowę na miesiąc. Pomagam opiekować się dziećmi - niemowlak i dwoje trochę starszych. Wpadłabym odwiedzić was dużo wcześniej, ale nie tak łatwo wygospodarować trochę wolnego czasu.

- Tak, tak, rozumiem.

- Myślałam o tym, żeby zobaczyć się z panią Farquhar - powiedziałam niepewnie.

- Och, moja droga - westchnęła pani McLaren. Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Biedna pani Farquhar. Miała atak i teraz, jak wszystko na to wskazuje, jest umierająca. Dom też już jest nie ten sam, co wtedy, kiedy biegaliście tam wszyscy. Tylko starsza pani w pokoju na górze, cały czas w łóżku, i dwie pielęgniarki przy niej dzień i noc. Mary i Sandy Reekie są tam nadal, ale Mary powiedziała, że to

głupiego robota gotować tylko dla pielęgniarek, a nie dla starszej pani, która dobrze jeśli zje w ciągu dnia cały kubeczek mieszanki dla niemowląt...

- O, jak mi przykro. Czy pani sądzi, że w żadnym wypadku nie powinnam spróbować się z nią zobaczyć?

- A czemu nie? Może mieć akurat jeden z lepszych dni i poczuć się trochę silniejsza. Kto wie, może dobrze jej zrobi, jak zobaczy pogodną, młodą buzię.

- Czy jest przy niej ktoś z rodziny?

Bardzo przygnębiła mnie wiadomość o tym, że Wielki Dom jest teraz tak opuszczony.

- Trudno sobie wyobrazić, że tam jest teraz pusto - pani McLaren jakby odgadła moje myśli. - Ale pani Farquhar, jak twierdzi Mary, nie prosiła członków rodziny, żeby przyjeżdżali. Jediną osobą, którą chce widzieć, jest Rory, i nawet powiedziała o tym pastorowi, a on napisał do Rory'ego, ale Rory jest teraz w Ameryce i nikt nie wie, czy w ogóle kiedyś odpowie na ten list.

Rory. Wnuk pani Farquhar. Co miała na myśli pani McLaren, kiedy tyle razy wymówiła jego imię? Popatrzyłam na nią podejrzliwie, ale wyblakłe oczy właścicielki sklepu wyglądały niewinnie, to nie były kpiny ani też żadna aluzja. Wytłumaczyłam sobie, że mogła zupełnie się nie domyślić, jak szybko zabiło mi serce na dźwięk tego imienia. Rory Farquhar. Zawsze nazywałam go Rory, chociaż jego pełne imię brzmiało Ruaraidh.

Zakochałam się w Rorym pewnej słonecznej wiosny, kiedy miałam szesnaście lat, a on dwadzieścia dwa. Nigdy przedtem nie byłam zakochana, i to nie uczyniło mnie rozmarzoną, ale niezwykle wyostrzyło moje zmysły. Zatem rzeczy wcześniej zupełnie przeze mnie nie zauważane stały się nieprzytomnie piękne. Liście, drzewa, naczynia w zlewozmywaku, krzesła... wszystko to jaśniało jakimś nowym, nie znanym blaskiem, jakby dotknięte czarodziejską różdż-

ką, chociaż przedtem widziałam w tym tylko przyrodę czy też przedmioty codziennego użytku.

Organizowaliśmy mnóstwo pikników tej wiosny, pływanie w jeziorze, mecze tenisowe, ale najlepsze było słodkie próżnowanie, patrzenie na niego. Leżąc wygodnie na trawniku przed Wielkim Domem, obserwowałam Rory'ego. Razem chodziliśmy na farmę po mleko i pomagaliśmy żonie farmera karmić z butelki jagnię, które straciło matkę. Ostatniego dnia ferii pani Farquhar urządziła bal. Usunęliśmy z sali bilardowej wszystkie meble, puściliśmy muzykę i tańczyliśmy szkockie tańce. Rory włożył szkocki strój ludowy, który należał do jego ojca, i pokazywał mi, jak należy tańczyć, aż do utraty tchu. I na koniec tego pięknego wieczoru pocałował mnie. Nie miałam pewności, czy był to pocałunek wyrażający namiętne uczucie, czy tylko taki na pożegnanie, ponieważ następnego dnia Rory miał jechać do Londynu.

Potem żyłam w świecie marzeń, wyobrażając sobie, że dostaję od niego listy, że dzwoni do siebie, że on dochodzi do wniosku, że nie potrafi już żyć beze mnie. Niestety jednak była to tylko moja fantazja. Rory podjął pracę w Londynie, w firmie swojego ojca, i potem już nigdy, ani razu, nie przyjechał na ferie wielkanocne do Lachlan. Pani Farquhar powiedziała mi, że bardzo polubił wyprawy na narty i na to poświęca wszystkie wolne dni. Od razu wyobraziłam sobie dziewczyny w eleganckich narciarskich kombinezonach i poczułam obezwładniającą zazdrość.

Kiedyś ukradłam zdjęcie Rory'ego ze starego albumu, który znalazłam na półce. Nie musiałam odklejać ani niczego psuć; to była luźna fotografia, którą znalazłam pomiędzy zniszczonymi kartkami. Schowałam ją do kieszeni, a później, w domu, wkleiłam sobie do pamiętnika. I mam ją do tej pory, choć nigdy potem nie widziałam Rory'ego, a odłądł umarł mój ojciec, przestaliśmy jeździć do Lachlan i wtedy już nawet nikt mi nie opowiadał o Rorym.

A teraz, kiedy pani McLaren wypowiedziała jego imię, od razu stanął mi przed oczami. W szkockim stroju ludowym, z ciemnymi włosami i opaloną twarzą.

- Co on robi w Ameryce? - zapytałam.

- Och, jakieś biznesy czy coś takiego. Jego ojciec nie żyje, tak jak twój. Wiesz o tym?

- Nie, nie wiedziałam. A Rory już na pewno od dawna jest żonaty i ma tuzin dzieci - podpytałam właścicielkę sklepu.

- Nie. Rory jeszcze się nie ożenił.

* * *

Rozmawiałyśmy jeszcze chwilę. Potem kupiłam u niej czekoladę, powiedziałam „do widzenia” i wyszłam ze sklepu. Skierowałam kroki w stronę Wielkiego Domu. Odwinęłam srebrny papierek i odłamałam sobie kawałek czekolady. Dawniej, kiedy przyjeżdżaliśmy do Lachlan, lubiłam w sklepiku pani McLaren kupować czekoladę. Skosztowałam. Tak, tak samo pyszna jak wtedy.

Po prostu pójdę tam i zobaczę, powiedziałam sobie. Zadzwonię do drzwi i jeżeli otworzy mi pielęgniarka i powie, że nie mogę tam wejść, to trudno. Najwyżej nie wejść.

Ulicą naprzeciw mnie szła jakaś wieśniaczka niosąca koszyk z zakupami, w tweedowej kurtce i nałożonym na to bezrękawniku przeraźliwie zielonego koloru.

Jak już jestem tutaj, powinnam spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o pani Farquhar. Nie mogę tak po prostu wrócić do Relkirk nie zaglądając tam, myślałam.

Wieśniaczka zatrzymała się.

- Lavinia!

Też stanęłam. Stanowczo tego dnia ludzie mnie poznawali.

- Dzień dobry, pani Felham - powiedziałam.

To było do przewidzenia, że ją spotkam. Stella Felham, jedyna kobieta w miasteczku, której moja matka nie potrafiła polubić. Ona i jej mąż, dawniej prawnik, gdy przeszli

na emeryturę, wybudowali sobie dom w Lachlan i tu się sprowadzili. On był zamiłowanym rybakim, a kiedy pił, zawsze mówił „piję do ciebie” zamiast „na zdrowie”. Stella Felham z niespożytą energią zajmowała się dobroczynnością i sprowadzaniem ludzi na drogę cnoty. Wszyscy w Lachlan starali się być dla niej mili, ale co o niej myśleli, to już zupełnie inna sprawa.

- Co za niespodzianka! - zawołała. - Wprost trudno uwierzyć, że cię znowu tu widzę. Co robisz w tych stornach?

Powiedziałam jej to samo, co przedtem pani McLaren.

- Moja droga, musisz koniecznie do nas wpaść. Lionel zawsze tak miło o tobie mówił. Mój mąż bardzo się teraz nudzi...

- To... bardzo uprzejmie z pani strony, ale teraz właśnie idę odwiedzić panią Farquhar.

- Panią Farquhar! - jej głos podniósł się o oktawę. - Czy nikt ci nie powiedział? Ona jest umierająca.

Myślałam, że ją uderzę.

- Miała bardzo groźny atak parę miesięcy temu. I teraz, moja droga, pani Farquhar leży już tylko jak kłoda, dzień i noc są przy niej pielęgniarki, i jedyne, co ją czeka, to już tylko śmierć. Składanie jej wizyty to tylko marnowanie czasu. To przykre, każdy pamięta, jaką ona kiedyś była wspaniałą kobietą. A ten Rory jest teraz w Nowym Jorku i nie ma czasu do niej przyjechać. I pomyśleć, że przecież na pewno i tak odziedziczy dom...

Nie mogłabym słuchać nikogo mówiącego w ten sposób o Rorym, a już na pewno nie Stelli Felham.

- Przepraszam panią, ale muszę już iść - przerwałam jej. - Boję się, że potem mogę nie zdążyć na ostatni autobus do Relkirk.

- Rozumiem, moja droga. Gdybyś jednak wygospodarowała trochę czasu, wpadnij do nas koniecznie. Mój mąż...

* * *

Nie pasowało mi to zupełnie do Rory'ego, że siedzi w Nowym Jorku i nie przyjeżdża. Musiał istnieć jakiś powód, myślałam. Skręciłam w wąską alejkę, która prowadziła już prosto do furtki Wielkiego Domu. Pchnęłam furtkę, była otwarta. Dalej poszłam ścieżką na skróty przez ogród. Żonkile i narcyzy skuliły płatki, chroniąc się od deszczu. Z rozrzewnieniem patrzyłam na ich delikatne pąki. Nieco dalej rosły azalie i rododendron...

Doszłam do trawnika, na którym kiedyś lubiłam opalać się i patrzeć na Rory'ego.

Zadzwoiłam, a potem nie czekając, aż ktoś się pojawi, nacisnęłam klamkę. Było otwarte. Weszłam do środka.

Panowała cisza i niezwykle wprost porządek. Na stoliku w przedpokoju nie stały wazon z kwiatami, nie czekały psy, żadne dziecięce krzyki nie zakłócały ciszy. Pachniało środkami dezynfekcyjnymi - okropny zapach szpitala, który znałam za dobrze z mojej poprzedniej pracy. Weszłam do przedpokoju, zdjęłam wełnianą czapkę. Spojrzałam na schody i zawołałam najgłośniejszym, jak tylko mogłam:

- Czy jest tam kto?

Usłyszałam męskie, zdecydowane kroki, nie delikatne stąpanie pielęgniarki. To pewnie Sandy Reekie tak ciężko stąpa, pomyślałam. Czekałam, aż ktoś się pojawi.

Ktoś schodził do mnie po schodach.

- Kto tam? - usłyszałam.

Nasze oczy spotkały się. Zapadło milczenie. Potem, już dzisiaj trzeci raz, ktoś wypowiedział moje imię.

- Lavinia.

- Rory - szepnęłam.

Zszedł ze schodów, trzymając się poręczy. Podeszedł do mnie przywitać się. Pocałował mnie w policzek.

- Nie mogę uwierzyć - rzekł.

- Ja też nie mogę uwierzyć - odparłam. - Wszyscy mi mówią, że jesteś w Nowym Jorku.

- Przyleciałem parę dni temu.

- Jak się czuje twoja babcia?
 - Jest umierająca - powiedział. Ale brzmiało to ciepło i smutno, zupełnie inaczej niż gdy to mówiła Stella Felham.
 - Przyjechałam, żeby ją odwiedzić - wyjaśniłam.
 - Gdzie teraz mieszkasz? - zapytał.
- A potem zaprosił mnie do salonu.
- Wejdz - powiedział. - Ogrzejesz się przy ogniu.

* * *

To było miłe. Rory dołożył dREW do ognia. Zdjęłam mokrą pelerynę i zaczęłam ogrzewać nad ogniem obrzmiałe, zaczerwienione ręce.

- Opowiedz wszystko o sobie - poprosił.

Zaczęłam mówić i zanim jeszcze skończyłam wtajemniczać go we wszystkie moje rodzinne sprawy, poczułam, że zrobiło mi się naprawdę ciepło. Ogień trzaskał wesoło. Zegar stojący na kominku wybił godzinę czwartą. Rory zostawił mnie na chwilę i poszedł do kuchni nastawić wodę na herbatę. Wrócił z tacą, filiżankami i czajniczkiem, i jeszcze ze sporym kawałkiem przyprawionego imbirem piernika.

- A co z tobą? Opowiedziałam ci wszystko o mojej rodzinie. Teraz kolej na ciebie.

- Tak naprawdę to niewiele jest do opowiadania. Trochę pracowałem z ojcem, a kiedy umarł, wyjechałem do Ameryki i znalazłem pracę w jednym z biur handlowych. Akurat kiedy babcia tak ciężko zachorowała, byłem w San Francisco i nie mogłem odebrać wiadomości.

- Wiem, pastor napisał do ciebie list.

- W Lachlan, jak widzę, nic nie da się ukryć. Skąd wiesz?

- Od pani McLaren w sklepie. Potem też spotkałam panią Felham.

- Ta kobieta! - wykrzyknął. - Jest okropna. Wydzwania tutaj bez końca, poucza pielęgniarki, wtrąca się we wszystko, w sprawy, które zupełnie nie powinny jej obchodzić.

- Powiedziała mi, że pani Farquhar leży jak kłoda i nie ma żadnego powodu, żeby do niej przychodzić.

- Nie pozwoliliśmy jej, żeby tu przychodziła, i wścieka się, jeśli komuś innemu wolno.

- Ona naprawdę uważa, że robi wszystko dla dobra innych. Przynajmniej moja mama tak zawsze o niej mówiła. Opowiedz mi o Ameryce. Czym się tam zajmowałaś?

- Dobrze, zaraz. List czekał na mnie w Nowym Jorku i odebrałem go dopiero wtedy, kiedy wróciłem z San Francisco. Od razu pobiegłem na lotnisko.

- I teraz... jak ona umrze... co będzie z tym domem?

- Zapisała mi go i cieszę się z tego. Nie mam jednak pojęcia, co z tym zrobić.

- Przestanieś być biznesmenem światowej klasy. Wrócisz na wieś i zajmiesz się farmą.

- I z upływem lat coraz bardziej będę się upodabniał do Lionela Felhama.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Nie, tobie to na pewno nie grozi.

Znowu się uśmiechnął.

- Nowoczesne farmerstwo to bardzo ciekawy rodzaj biznesu. Musiałbym jednak zaczynać wszystko od początku, uczyć się od podstaw nowego zawodu. Znowu studia, nie miałbym na to czasu.

- Wiele osób tak robi. Mógłbyś pojechać na przykład do Cirencester. Tam organizują kursy przyspieszone dla dorosłych. Korzystają z tego ludzie, którzy chcą zmienić zawód, między innymi emerytowani wojskowi.

- Skąd wiesz o tych kursach?

- Moja mama mieszka zaledwie pięć mil od Cirencester.

Rory zaczął się śmiać. I od razu wyglądał tak młodo i bez troski, jak wtedy, kiedy ostatni raz go widziałam. Potem jednak spowaźniał.

- Być może rzeczywiście zamieszkać w tym domu. Przeżyliśmy tutaj tyle cudownych chwil. Pamiętasz, jak chodziliśmy po mleko i karmiliśmy z butelki malutką owcę?

- Pamiętam.

- I wtedy wieczorem, jak tańczyliśmy...

Pogrążyliśmy się we wspomnieniach, aż zegar wydzwonił piątą. Nie mogłam uwierzyć, że ta godzina tak szybko minęła. Odstawiłam pustą filiżankę po herbacie.

- Rory, muszę już iść. Inaczej nie zdążę na autobus.

- Nie mogę cię odwiedzić, bo pożyczyłem samochód pielęgniarce, a poza tym nie mogę teraz zostawić babci samej.

Zawahał się.

- Czy chcesz wejść na górę i ją zobaczyć?

Spojrzałam na niego.

- Nie chciałabym się zachowywać jak Stella Felham. Ja tylko pragnęłam jeszcze raz zobaczyć się z twoją babcią, porozmawiać z nią przez chwilę. Ale teraz po prostu chciałabym powiedzieć jej „do widzenia”.

Wziął mnie za rękę.

- Chodźmy.

* * *

Wyszliśmy z pokoju, potem na górę po schodach, trzymając się za ręce, i aż do końca korytarza. Drzwi były otwarte. Zajmowała tę dużą, jasną sypialnię od samego początku, odkąd przybyła do Lachlan jako panna młoda. Pokój zachował swój urok - marszczone firanki, srebrne szcztoki na toalecie, fotografie rodzinne na ścianach.

Podeszliśmy do jej łóżka. Zobaczyłam jej twarz - nadal pogodną i piękną. Zniszczone dłonie. Wzięłam ją za rękę. Była ciepła, czułam uparte pulsowanie życia. Pani Farquhar ubrana była w jasnoróżowy, wełniany kaftanik z jedwabną podszewką.

- Babciu - powiedział Rory.

Sądziłam, że śpi, ale otworzyła oczy i spojrzała na niego. Potem odwróciła się i zobaczyła mnie. Przez chwilę jej oczy były puste i niezgłębione, następnie powoli powróciły do życia. Uśmiech rozjaśnił jej twarz i cicho, ale zupełnie wyraźnie wypowiedziała moje imię.

- Lavinia.

Byliśmy tam bardzo krótko. Zamieniliśmy parę słów. Później pani Farquhar znowu zamknęła oczy. Schyliłam się szybko i pocałowałam ją. Potem rozluźniła palce i mogłam wysunąć rękę. Wstałam.

Powiedziałam „do widzenia”. Oczywiście po cichu. Rory objął mnie ramieniem i wyszliśmy, zostawiając ją samą.

* * *

Plakałam. Nie mogłam znaleźć chusteczki. Rory wyciągnął swoją z kieszeni i wytarł mi twarz. Wreszcie jakoś udało mi się powstrzymać łzy. Zeszliśmy razem, znalazłam moją pelerynę, ubrałam się. Włożyłam wełnianą czapkę.

- Dziękuję, że pozwoliłeś mi się z nią zobaczyć.

- Nie bądź smutna.

- Muszę już iść - powiedziałam. - Muszę zdążyć na autobus. Daj mi znać, jak się zdecydujesz, co dalej robić.

- Dobrze. Jak się zdecyduję.

Odprowadził mnie do drzwi. Było jeszcze chłodniej, nadal padał deszcz.

- Poradzisz sobie? - zapytał Rory.

- Oczywiście.

- Na pewno trafisz do przystanku?

Roześmiałam się.

- Oczywiście.

Wyciągnęłam rękę na pożegnanie.

- Cześć, Rory.

Ujął moją dłoń. Potem lekko przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

- Wierzę, że nie żegnamy się na zawsze. Trzymaj się, Lavinio. Szczęśliwej podróży.

Odwrociłam się i już po chwili biegłam przez trawnik na skróty. Przeszłam pod tunelem drzew, potem przez ogród. Azalie i żonkile wyprostowały się już po deszczu, uniosły główki - świeże pączki wyczekiwały niecierpliwie pierwszych ciepłych powiewów wiosny.

Zagrajmy w miłość

był ich prawdziwy początek życia razem. Miesiąc miodowy trwał nieco dłużej, ale już dobiegł końca i mieli to poza sobą. Tego ranka Julian znowu poszedł do pracy, do swego londyńskiego biura. A teraz właśnie wracał do domu do Putney.

Pomyślał, że jako stary małżonek powinien sam sobie otworzyć, i nawet wyjął już z kieszeni klucz do zatrasku, ale Amanda podbiegła i otworzyła drzwi, zanim zdążył włożyć go do zamka. Julian poczuł, że to naprawdę wspaniała sprawa, kiedy można wrócić do swojego własnego domu, zamknąć za sobą swoje własne drzwi i wziąć żonę w objęcia.

Kiedy Amanda, zgnieciona w uścisku, wreszcie mogła przemówić, powiedziała:

- Nawet nie zdjąłeś płaszcza.

- Nie miałem na to czasu.

Wciągnął w nozdrza dolatujący z kuchni przyjemny zapach. Amanda ugotowała coś smacznego. Powiódł wzrokiem ponad jej ramieniem i ujrzał, w małej wnęce, którą przeznaczyci na jadalnię, stół przygotowany do wspólnego obiadu. Elegancko ustawione szklanki, które ktoś im podarował w prezencie ślubnym, srebrne podstawki, które dostali od jego matki...

- Ale, kochanie...

Wyczuwał jej zębra, wąską talię, okrągłą linię pośladków.

- Cicho bądź - powiedział. - Mam czas tylko na najważniejsze rzeczy.

Następnego ranka w biurze Juliana zadzwonił telefon. To był Tommy Benham.

- Witaj znowu w pracy, Julianie. I co powiesz na partyjkę golfa? W sobotę w Wentworth, zgoda? Zaprosiłem jeszcze Rogera i Martina. Zaczynamy o dziesiątej.

Julian nie odpowiedział od razu.

Amanda, zanim jeszcze byli zaręczeni, wiedziała o Tommym i o jego pasji do golfa. Z filozoficznym spokojem zaakceptowała fakt, że soboty i czasami niedziele Julian spędzał razem z Tommym na polu golfowym. Ta jednak sobota była pierwszą w ich prawdziwym życiu we dwoje i Amanda na pewno wolałaby, żeby Julian w pierwszym prawdziwym tygodniu nie umawiał się z kolegami na golfa.

- Ja... nie jestem pewien, czy przyjdę.

Tommy oburzył się.

- Co to znaczy: nie jestem pewien. I co z tego, że teraz masz żonę? Musisz nadal być sobą. Nie możesz zmieniać swoich upodobań i stylu życia tylko dlatego, że się ożeniłeś. Poza tym ona zawsze wiedziała, że lubisz grać w golfa, i nigdy nie miała nic przeciwko temu.

To wydało mu się sensownym argumentem.

- Może jeszcze powinienem porozmawiać z Amandą.

- Tu nie ma o czym dyskutować. Przedstaw jej to jako rzecz już postanowioną. Nie możesz o wszystko pytać się żony, nie jesteś pantoflarzem.

- Tak, ale...

- Zatem do zobaczenia.

I Tommy odłożył słuchawkę.

* * *

Tym razem, kiedy Julian wracał z pracy do domu, zatrzymał się koło kwaciarni i kupił żonie kwiaty.

Spodobała jej się i nie będzie się gniewać, powiedział sobie z zadowoloną miną, dumny, że okazał się taki chytry.

Amanda od razu zorientuje się, że coś jest nie w porządku, i będzie podejrzewać Bóg wie co, na przykład flirt z jedną z maszynistek, pomyślał i nie był już taki pewny siebie.

To śmieszne, co ja tutaj wyprawiam, tłumaczył się sam przed sobą. Przecież Amanda wie, że grywam w golfa w weekendy. Mam taki zwyczaj, odpowiadało jej to przed ślubem, to i teraz nie powinna mieć żadnych pretensji. Tommy ma rację. Ślub oczywiście oznacza czasami pójście na kompromis, ale na pewno nie całkowitą zmianę obyczajów czy też zainteresowań.

Tylko kto tu będzie musiał iść na kompromis, ja czy ona, pomyślał z niepokojem. I nie odpowiedział sobie na to pytanie.

Przecież nie zamierzał oszukiwać. Znalazł Amandę pracującą w ogrodzie, usmarowaną ziemią, z włosami na twarzy. Kopała grządki, a gdy go z daleka zobaczyła, uśmiechnęła się.

Ukrył kwiaty, trzymając je jedną ręką za plecami. Podszedł do niej, uklonił się głęboko i z miną wytrawnego kuglarza wyczarował dla niej bukiet kwiatów.

- Kupiłem je - powiedział szczerze. - Kupiłem, bo czuję się trochę nie w porządku. Tommy zadzwonił do mnie dziś rano i zgodziłem się zagrać z nim w sobotę w golfa. I przez to dokuczają mi wyrzuty sumienia.

Wtuliła twarz w bukiet kwiatów. Teraz ona spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem.

- Wyrzuty sumienia gnębią cię zupełnie niepotrzebnie.

- Zatem nie masz nic przeciwko temu?

- Chyba nie możesz mi powiedzieć, że pierwszy raz ci się zdarza, że nie masz dla mnie czasu, bo musisz z kolegami zagrać w golfa.

Poczuł gwałtowny napływ uczuć. Wziął ją w ramiona i całował namiętnie.

Sobota była przepięknym dniem. Wenworth leżało skąpane w słońcu, darń na polu golfowym okazała się delikat-

na jak aksamit. Grali obaj z Tommym niemal zupełnie bezbłędnie, nie psując żadnego pchnięcia.

Gdy już wracał do domu, czuł, że jego umysł pełen jest dobrych, szczerych myśli. Przyszło mu do głowy, że mogłyby wieczorem wybrać się z Amandą do restauracji na obiad, ale kiedy zobaczył, że przygotowała już pyszną musakę, wyjął z barku butelkę wina i zostali w domu. Amanda włożyła cytrynowe wdzianko, które kupił jej w Nowym Jorku podczas miodowego miesiąca, a włosy okrywały jej ramiona jak jedwabny płaszcz.

- Czy zaparzyć ci kawę? - zapytała.

Wyciągnął rękę i dotknął jej puszystych włosów.

- Później.

Grał w golfa w następną sobotę i potem jeszcze w kolejną. Aż zdarzyło się, że Tommy'emu coś wypadło i przełożył spotkanie na niedzielę. Julian zgodził się na to bez większych oporów.

- W tym tygodniu nie będę grał w sobotę, tylko w niedzielę - poinformował Amandę, kiedy wrócił do domu.

- W niedzielę?

- Tak.

Nalał sobie drinka, wziął wieczorne wydanie gazety i wygodnie rozparł się w fotelu.

- Dlaczego w niedzielę?

Pochłonięty cedułą kursów akcji, nie od razu wyczuł pewne napięcie, jakie pojawiło się w jej głosie.

- Po prostu Tommy'emu coś wypadło i w sobotę nie może.

- Mieliliśmy pojechać w niedzielę do moich rodziców.

- Co takiego? Och, przepraszam. Sądzę jednak, że powinni to zrozumieć. Zadzwoń do nich i powiedz, że przyjdziemy w przyszłym tygodniu.

Pomyślał, że Amanda nie może przecież mieć o coś takiego pretensji, i powrócił do lektury kursów giełdowych. I już nie wracali do tego tematu.

Ta niedziela okazała się niewypałem. Padało prawie bez przerwy. Tommy miał kaca po sobotnim pijaństwie i gra toczyła się w taki sposób, że Julian przysięgał sobie, że już nigdy więcej golfa, wszystko, tylko nie to. Ogarnęła go chandra i wrócił do domu w wyjątkowo podłym nastroju. Humor mu się nie poprawił, kiedy się okazało, że w domu nikogo nie ma.

Snuł się po pokojach zupełnie bez celu. W końcu poszedł na górę wziąć kąpiel. Kiedy już zdążył się namydlić, wróciła Amanda.

- Gdzie byłaś? - zapytał ze złością.

- Mówiłam ci, że rodzice zapraszali nas na dzisiaj.

- I jak się tam dostałaś? Przecież ja wziąłem samochód.

- Pojechałam kolejką, a jeden sympatyczny znajomy podrzucił mnie z powrotem.

- Wróciłem do domu i nie wiedziałem, gdzie jesteś - rzekł z wyrzutem.

- Ale teraz już wiesz.

Pocałowała go, ale jakby bez entuzjazmu.

- I nie musisz mówić, jaki miałaś dzień. Wiem, że okropny

Zdziwił się.

- Skąd wiesz?

- Nie masz w oczach tych wesołych iskierek co zawsze i nie przejawiasz żadnych oznak radości.

- Co na obiad?

- Jajecznicą.

- Jajecznicą? Umieram z głodu. Miałem tylko kanapki na drugie śniadanie.

- Ale ja jadłam u rodziców pyszny niedzielny obiad i wcale nie jestem głodna - powiedziała zamykając za sobą drzwi.

* * *

Pierwsza kłótnia, pomyślał Julian. Może nawet nie kłótnia, tylko jakieś ochłodzenie stosunków. To jednak wystar-

czyło, by czuł się przygnębiony i trochę nie w porządku, więc następnego dnia, wracając do domu, znowu kupił żonie kwiaty. Był miły dla Amandy, jak tylko potrafił, i wieczorem zaprosił ją na późny obiad do restauracji.

Znowu wszystko było w porządku. Potem zadzwonił Tommy, by umówić się na golfa na sobotę i Julian zgodził się na to z radością.

Kiedy wrócił wieczorem z pracy, znalazł Amandę w łazience, usadowioną wysoko na drabinie, malującą sufit na biało.

- Na Boga, bądź ostrożna - zawołał.

- Oczywiście, kochanie - schyliła się, by dać mu całusa.

- Prawda, że teraz to lepiej wygląda?

Wspólnie patrzyli na sufit.

- I myślę, że do tych kremowych ścian będzie pasował zielony dywanik - powiedziała z namysłem.

- Dywanik?

- To tylko brzmi tak strasznie - zaśmiała się. - Możemy kupić bardzo tanio. Na High Street robią w sobotę posezonną wyprzedaż.

Odwróciła się i znowu zaczęła malować sufit. Zapadło milczenie. Julian zastanawiał się, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

- Nie mogę w sobotę - rzekł w końcu. - Umówiłem się na golfa.

- Sądziłam, że będziesz grał w niedzielę.

- W tym tygodniu tak się złożyło, że w sobotę.

Znowu cisza.

- Rozumiem - stwierdziła po chwili Amanda.

Mało odzywała się do niego tego wieczoru. A jeśli już coś musiała powiedzieć, robiła to z wyszukaną uprzejmością. Po kolacji, gdy usiedli razem w salonie, Amanda włączyła telewizor.

- Amanda... - zaczął Julian.

- Przepraszam cię bardzo, ale chciałabym obejrzeć ten program.

- Nie możesz teraz oglądać telewizji - zaprotestował. - Chciałbym porozmawiać.

- Przepraszam, ale akurat interesuje mnie ten program.

- Dobrze, to ja tobie i tak powiem, co myślę. Nie mam zamiaru stać się jednym z tych pantoflarzy, którzy w sobotę rano idą z żoną na zakupy i koszą trawę w niedzielę po południu. Czy to dla ciebie jasne?

- Rozumiem. Mam sama robić zakupy i kosić trawę.

- Możesz robić, co chcesz. Widzimy się codziennie...

- Jak sądzisz, co powinnam robić, kiedy cały czas jesteś w biurze?

- Nic nie musisz robić. Miałaś dobrą pracę, ale rzuciłaś ją, bo stwierdziłaś, że wolisz być kurą domową.

- Niedokładnie tak było. Poza tym nie mam zamiaru spędzić reszty życia dostosowując się do twoich zachcianek. Ten piekielny golf gotów do reszty zatruć mi życie.

- Co w takim razie proponujesz?

- Nieważne, co ja robię, nie mam ochoty zajmować się wszystkim sama. To również twój dom i twoje obowiązki.

Tym razem to była już prawdziwa kłótnia, gorzka i nie pozbawiona złości. Rano atmosfera nie zmieniła się. Wychodząc do pracy, chciał ją pocałować na „do widzenia”, ale ze złością odwróciła głowę.

Ten długi, zimny i nieprzyjemny dzień zdawał się ciągnąć bez końca. Wreszcie Julian doszedł do wniosku, że potrzebuje chociaż chwili spokoju i że warto by było z kimś porozmawiać, z kimś, kto potrafiłby go zrozumieć. Z kimś starszym i mądrzejszym, komu mógłby zaufać.

Jedna osoba na pewno nadawała się do tego i Julian postanowił wpaść do niej, wracając z pracy. To była jego matka chrzestna.

- Julian! - ucieszyła się na jego widok. - Jaka miła niespodzianka! Wejdz.

Spojrzał na nią z uznaniem. Mimo że przekroczyła sześćdziesiątkę, jak zawsze wyglądała ładnie i elegancko. Była

przyjaciółką matki i chociaż nie istniały pomiędzy nimi żadne więzy krwi, zwracał się do niej „ciociu Noro”. Nora Stockforth.

* * *

Opowiedział jej niemal wszystko. O miesiącu miodowym w Nowym Jorku, o ich nowym, małym domku.

- I jak tam Amanda?

- W porządku - mruknął.

Zapadła kłopotliwa cisza. Ciotka Nora wstała, by nalać kawę. Kiedy siadała z powrotem, spojrzał na nią i podchwycił jej wzrok.

- To nie brzmi tak, jakby naprawdę było w porządku - powiedziała łagodnie.

- Wszystko dobrze... To znaczy... Ona właśnie...

I potem już mógł wyrzucić z siebie wszystkie bolesne sprawy. Opowiedział o Tommym i o cotygodniowych meczach golfa. I że Amanda wie o wszystkim i w zasadzie nie ma nic przeciwko temu. Ale...

- Ale to jej się nie podoba.

- To śmieszne, to tylko jeden dzień w tygodniu. I wcale nie o to chodzi, że ona chce robić coś szczególnego, tylko właśnie twierdzi, że nie chce robić wszystkiego sama.

- I na pewno chcesz, żebym orzekła, kto ma rację - domyśliła się ciotka Nora.

Julian zmarszczył czoło.

- Co masz na myśli, ciociu?

- Nigdy nie lubiłam opowiadać się za którąkolwiek ze stron. Sądzę jednak, że dobrze się stało, że przyszedłeś z tym do mnie. Czasami nawet samo opowiedzenie o swoich sprawach drugiej osobie pomaga spojrzeć obiektywnie na kłopoty i zobaczyć wszystko we właściwych proporcjach.

- I sądzisz, ciociu, że zatraciłem obiektywizm i poczucie proporcji?

- No, może nie całkiem. Myślę jednak, że musisz naprawdę spróbować spojrzeć z dystansem na pewne sprawy. Zawsze uważałam, że młode małżeństwo trochę przypomni-

na niemowlaka, który musi być pieśczoney i kochany i któremu na każdym kroku grozi niebezpieczeństwo. I każde z was powinno myśleć nie tylko o sobie, ale i o swoim partnerze. Teraz kształtujecie swoją przyszłość. Od tego, co robicie teraz, zależy, jak będzie kiedyś wyglądało wasze wspólne życie. Zatem, kiedy nadejdzie kryzys, a to zdarza się w każdym małżeństwie, zawsze będzie coś miłego we wspomnieniach, coś, co będzie trzymać was razem, pomoże przetrwać trudne chwile.

- Myślisz, ciociu, że jestem egoistą?

- Jak już mówiłam, nie chcę cię osądzać.

- I myślisz, ciociu, że jej pretensje mogą być słuszne?

Ciotka zaśmiała się.

- Uważam, że dopóki ona skarży się i narzeka, nie masz powodów do obaw. Kiedy przestanie mieć pretensje, to dopiero wtedy może być prawdziwy problem.

Odstawił pustą szklanekę.

- Jaki problem?

- Myślę, że sam się musisz nad tym zastanowić. I nie chcę cię wyrzucać, ale wracaj już do domu, do Amandy. Na pewno się denerwuje, że cię jeszcze nie ma, i boi się, że mógł ci się zdarzyć wypadek.

Wstali oboje.

- I wpadaj do mnie częściej, Julian - powiedziała. - A następnym razem koniecznie weź z sobą Amandę.

Kiedy dojechał do domu, ciągle jeszcze zastanawiał się nad tym wszystkim, usiłował coś więcej z tego zrozumieć.

Amanda otworzyła, zanim jeszcze zdążył znaleźć klucze. Stali naprzeciw siebie oboje z poważnym wyrazem twarzy.

Potem ona się uśmiechnęła.

- Dzień dobry.

To mu się spodobało. Wszedł do środka.

- Kochanie, przepraszam za wczorajszy wieczór - powiedział.

- Och, Julianie, ja też przepraszam. Czy miałeś miły dzień?

- Nie, okropny. Ale teraz już dobrze. Wróciłem troszkę później, bo wpadłem po drodze odwiedzić ciotkę Norę. Przesyła ci pozdrowienia.

Jakiś czas później Amanda zapytała:

- Czy będę mogła jutro wziąć samochód?

- Oczywiście. A dokąd się wybierasz?

- Nic ważnego - powiedziała nie patrząc mu w oczy. - Tak sobie tylko pomyślałam, że mógłby mi być potrzebny.

Następnego dnia po południu, kiedy wrócił do domu, Amanda siedziała w salonie oglądając telewizję, ubrana wyjątkowo elegancko.

- Co słysząc? - zapytał. I czekał, aż teraz ona będzie chciała się dowiedzieć, jak minął dzień.

Ona jednak powiedziała tylko:

- Wszystko dobrze.

- Chcesz się czegoś napić?

- Nie, dziękuję.

Wydawała się bardzo zainteresowana programem telewizyjnym, więc ją zostawił w salonie i sam poszedł do kuchni, napić się piwa. Otworzył lodówkę i nagle, aż zamarł z wrażeń, przypomniały mu się słowa ciotki Nory. „Kiedy przestanie mieć pretensje, to dopiero wtedy może być problem”.

To oczywiście, że Amanda przestała narzekać. Nie ma do niego żadnych pretensji, siedzi sobie w salonie i spokojnie ogląda telewizję. Coś się w niej zmieniło. I dlaczego była taka wystrojona?

Postanowił dowiedzieć się, o co tutaj chodzi.

- Jak ci idzie malowanie łazienki? - zapytał.

- Niestety nie miałam na to dzisiaj czasu.

- Ciągle jeszcze zależy ci na tym dywaniku? Mógłbym zadzwonić do Tommy'ego i powiedzieć, żeby znalazł sobie kogoś innego na sobotnią partyjkę golfa.

Amanda zaśmiała się.

- Naprawdę nie ma żadnego powodu, żebyś musiał zmieniać swoje plany.

- Ale...

- Wydaje mi się, że będę zajęta w sobotę - powiedziała, nie doceniając jego poświęcenia.

Spojrzała na zegarek.

- O której godzinie będziesz jadł obiad?

Poczuł, że wcale nie ma ochoty na jedzenie. Żołądek zacisnął mu się nerwowo. Będzie zajęta w sobotę? Co ona miała na myśli? Umówiła się z kimś? Z mężczyzną?

To jednak zupełnie niepodobne do Amandy.

Ale właściwie dlaczego nie? Była młodzianka, atrakcyjna. Zanim udało mu się ją zdobyć, naprawdę nie mogła narzekać na brak wielbicieli.

- Julianie, pytałam, o której chcesz obiad.

Spojrzał na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Czuł, że słowa, z niewiadomych powodów, trudno przechodzą mu przez gardło.

- Obojętne, kiedy będziesz mogła.

Marzył o tym, że coś go uratuje, grypa, ból brzucha, poważne przeziębienie. Że znajdzie jakiś pretekst, żeby nie jechać w sobotę do Wentworth na golfa. Niestety, czuł się zdrowy jak rydz. Kiedy wychodził z domu, Amanda jeszcze spała, chociaż na ogół wstawała dużo wcześniej.

Grał jak ostatnia ciamajda. W końcu Tommy zapytał:

- Czy coś się stało?

- Nic, zupełnie. Wszystko w porządku.

- Nie wiem, czy w porządku. Przegraliśmy do siedmiu.

* * *

Przegrali z kretesem i Tommy nie był z tego zadowolony. I na pewno nie ucieszył się, kiedy zaraz potem Julian oznajmił mu, że już nie będzie grać i wraca do domu.

- Coś dzieje się z tobą niedobrego - zauważył Tommy.

- Co masz na myśli?

- Po prostu wydaje mi się, że robi się z ciebie typowy mąż. Musisz się jej ostro postawić, Julian.

- Głupi idiota - myślał Julian, jadąc już do domu. - Dla-

czego mam nie być typowym mężem? A kim mam być, jeśli nie typowym mężem? Miss piękności?

Ale stracił całą swoją buńczuczność, kiedy podjeżdżał wysadzaną drzewami ulicą do ich małego domku. Wszystkie jego plany wzięły w łeb. Amandy nie było w domu.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta. Gdzie też ona mogła się podziewać? Może zostawiła jakąś wiadomość. Rozejrzał się, ale nic takiego nie znalazł.

W domu panowała nieprzyjemna cisza, zakłócana jedynie przez turkotanie lodówki. Pachniało politurą.

Nagle wpadło mu do głowy, że mogła odejść na zawsze. I aż ciarki go przeszły po plecach na tę myśl. Jakże pusty stałby się ich mały domek bez Amandy. Bez jej śmiechu. Amanda nie będzie kopać grządek w ogródku, nie będą rozmawiać. Nigdy jej więcej nie ujrzy. Koniec miłości. Koniec wszystkiego.

Torbę ze sprzętem golfowym rzucił na podłogę zaraz przy wejściu. Potem przeszedł jeszcze parę kroków i usiadł na schodach, na najniższym stopniu, jakby w domu nie było żadnego fotela ani krzesła.

Zaczął się zastanawiać. Tamtej niedzieli, kiedy była u rodziców na obiedzie i nic mu wcześniej o tym nie powiedziała, ktoś ją odwiózł do domu. Julian jej o to nie pytał, ale przecież wiedział, że to musiał być Guy Hanthorpe.

Guy był jednym z dawnych przyjaciół Amandy, znali się od dziecka. Rodzice Amandy i Guya mieszkali w sąsiednich domach. On został niedawno maklerem giełdowym - elegancki, dystyngowany człowiek sukcesu.

Krępy, ciemnowłosa Julian nie darzył szczególną sympatią wysokiego, przystojnego Guya.

To zupełnie możliwe, że Amanda i Guy cały czas spotykali się po kryjomu, odkąd Julian przywiózł Amandę z Nowego Jorku, z podróży poślubnej.

I siedział teraz na schodach snując różne ponure domysły, gdy dobiegł jego uszu warkot silnika. Jakieś auto prze-

jeździło ulicą i zatrzymało się koło ich domu. Usłyszał trzaskanie drzwiczek, czyjeś kroki na ścieżce.

Zerwał się ze schodów i pobiegł do drzwi.

To była Amanda. Amanda i Guy.

- Kochanie, co się stało, że tak wcześnie wróciłeś? - zapytała Amanda ze zdziwieniem.

Julian nie powiedział. Po prostu stał i patrzył na Guya, świadom bezsilnego gniewu, ściskającego go za gardło z siłą imadła. Potem zaczął sobie wyobrażać, że uderza Guya. Mało brakowało, a by to zrobił naprawdę. Widział oczyma wyobraźni, jak jego prawa ręka unosi się i powoli wymierza cios w przystojną twarz Guya. Oglądał wymyśloną przez siebie scenę, jakby replay z jakiegoś brutalnego filmu. Widział, jak Guy przewraca się, i jeszcze Julianowi było nie dość. Chciał bić i kopać leżącego. Z ust ofiary chlusnęła krew, głowa Guya bezwładnie opadła na ziemię...

- Dzień dobry, Julianie - zawołał Guy. I Julian aż się zdziwił, że ta brutalna scena nie zdarzyła się naprawdę.

- Gdzie byłeś? - zwrócił się z pytaniem do swojej żony.

-U mamy. Guy też, zupełnie przypadkowo, odwiedził na wsi swoich rodziców i był tak uprzejmy, że podwiózł mnie do domu.

Julian nie odpowiedział.

- Czy długo jeszcze zamierzasz trzymać nas przed drzwiami? - zdenerwowała się Amanda. - Jest raczej chłodno i znowu zaczyna padać.

- Tak, proszę, wejdźcie.

Odsunął się z przejścia.

- Niestety nie będę mógł zostać - powiedział Guy, spoglądając na zegarek. - Jestem umówiony na wieczór i muszę jeszcze wstąpić do domu, żeby się przebrać. Do widzenia, Amando.

Chmknął ją w policzek. Przyjaźnie skinął ręką Julianowi. I zaraz potem odjechał.

Amanda zdążyła jeszcze zawołać:

- Do widzenia. Dzięki za podwiezienie.

Stała w przedpokoju i patrzyła na torbę ze sprzętem golfowym rzuconą na podłodze przy schodach. Na nie ciągnięte zasłony. Na Juliana.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Nic - odrzekł z odrobiną goryczy. - Zupełnie nic. Po prostu pomyślałem sobie, że możesz tu już nigdy nie wrócić.

- Nigdy nie wrócić? Co ci przyszło do głowy?

- Sądziłem, że byłaś z Guyem.

- Byłam z nim.

- Miałem na myśli, że... cały dzień.

Roześmiała się, ale zaraz potem spoważniała.

- Julian, przecież ci mówiłam, że jadę do mamy.

- Dziś rano mi tego nie mówiłaś. Nie wiedziałem, gdzie jesteś. I co robiłaś tego dnia, kiedy przyszedłszy do domu, zastałem cię taką wystrojoną i wyperfumowaną?

- Jeżeli zamierzasz dalej rozmawiać ze mną w ten sposób, to nic w ogóle ci nie powiem.

- O, tak, powiesz mi, i to szybko! - krzyknął.

Po tym nieprzyjemnym wybuchu zapadło milczenie. Potem Amanda powiedziała cichym głosem:

- Mam wrażenie, że oboje powinniśmy uspokoić się i zacząć wszystko od nowa.

Julian głęboko zaczerpnął powietrza.

- Dobrze. Ty zaczynasz.

- Tak - powiedziała. - Musiałam wyjść z domu na cały dzień. Potrzebowałam samochodu, ponieważ chciałam pojechać do lekarza. Ciągle jeszcze jestem zameldowana u rodziców, więc nie mogłam tego załatwić w Londynie. I postanowiłam ubrać się elegancko - mówiła dalej. - Nie cierpię tych poplamionych farbą dżinsów, a dla mojej mamy to bardzo ważne, żebym dbała o swój wygląd. I dzisiaj także byłam u lekarza, ponieważ on musiał zobaczyć mnie znowu, żeby mieć pewność.

Może to jakaś śmiertelna choroba, pomyślał z przerażeniem.

- Żeby mieć pewność czego? - zapytał.

- Ty wzięłaś samochód - mówiła - więc musiałam pojechać pociągiem, a Guy był tak miły, że znalazł trochę czasu i przywiózł mnie do domu. I po tym wszystkim ty stanęłaś w drzwiach z tym groźnym spojrzeniem. Było mi strasznie wstyd.

- Amanda? I co powiedział ten doktor?

- No przecież... że będę miała dziecko.

- Dziecko? - aż zabrakło mu słów. - Przecież dopiero niedawno się pobraliśmy.

- Jesteśmy małżeństwem już od czterech miesięcy - przypomniała mu. - Nasz miodowy miesiąc, jak wiesz, nieco się przedłużył.

- Ale nigdy nie myśleliśmy...

- Wiem, że nie myśleliśmy... - to zabrzmiało trochę, jakby była bliska łez. - To się jednak stało i jeśli ośmielasz się teraz mówić takim nieprzyjemnym tonem...

- Dziecko - powtórzył. Tym razem z namysłem. - Będziemy mieli dziecko? Och, moja najdroższa! - krzyknął. - Jesteś najwspanialszą dziewczyną na świecie.

- Nie gniewasz się? - zapytała niepewnie.

- Gniewać się? Coś ty! Jestem wzruszony, szczęśliwy... Nigdy w życiu tak się nie czułem.

- Czy nasz mały domek będzie dość duży dla nas trojga?

- Oczywiście, że tak.

- Nie chciałabym się przeprowadzać... nasz mały domek...

- Nie martw się, kochana. Nie przeprowadzimy się nigdy. Zostaniemy tu na zawsze i spłodzimy dwa tuziny dzieci.

- Nie mówiłam ci o tym, co robię, bo wołałam powiedzieć, jak już sama będę pewna - wyjaśniła Amanda. - Dlatego musiałam z tym trochę poczekać.

- Już nic nie mów. Nic się nie liczy oprócz tego.

I naprawdę od tego momentu wszystko inne przestało być ważne. Tego wieczoru Julian zrobił kolację i kiedy je-

dli, siedząc przy kominku, Amanda oparła nogi o sofę, ponieważ on powiedział, że tak będzie jej wygodniej, a przyszłe matki szczególnie muszą dbać o siebie.

Kiedy w końcu nadeszła pora, żeby pójść spać, wziął swoją żonę pod rękę i delikatnie wprowadził na schody.

Torba ze sprzętem golfowym nadal leżała tam, gdzie ją porzucił, tylko delikatnie przesunął ją nogą, żeby nie zagrażała przejścia. Teraz będzie miał dużo czasu, żeby położyć ją na miejsce.

Christabel

Pani Lowyer obudziła się o przyzwoitej porze, o ósmej trzydzieści. Dokładnie mówiąc, obudził ją dobiegający przez otwarte okno hałas, jaki czyniła na polu jęczmienia mechaniczna żniwiarka. Lubiła jednakże ten dźwięk, tak jak i kochała tę porę roku, złociste słońce późnego lata, ciężkie grona czerwonej jarzębiny i pierwszy, cierpki smak jeżyn. Wiele lat temu właśnie we wrześniu brała ślub i jej jedyny syn urodził się rok później w tym samym miesiącu, a teraz jego córka ma zamiar wziąć ślub w tym tygodniu. Pani Lowyer leżała w łóżku i spoglądała przez okno na jasne, lekko zachmurzone niebo. Nigdy nie potrafiła spać z zasłoniętym oknem. Pomyślała teraz, że kawałki błękitu wynurzające się spod wolno płynących obłoków przypominają jej kolorem i kształtem jajka rudzika.

Po pewnym czasie zdecydowała się wstać. Włożyła kapcie, narzuciła szlafrok i podeszła do okna, by dokładniej przyjrzeć się światu. Okno sypialni miała od podwórka. Widziała ogród, płot, a potem wielkie, złote pole jęczmienia. W oddali stary, duży dom, w którym dawniej mieszkała. Po trzydziestu latach, kiedy jej syn dorósł i ożenił się, pani Lowyer przeniosła się do małego, przytulnego domku, pozostawiając tamten wielki młodemu małżeństwu.

Kombajn hucząc i zgrzytając sunął przez pole jęczmienia, niby wielkie purpurowe monstrum wyżerające sobie

drogę w wysokich aż do pasa złotych kłosach. Znajdował się za daleko, aby mogła dojrzeć kierowcę, wiedziała jednak, że to był Sam Crichtan. Chłopak pracował jako zarządca, prowadził farmę, sporadycznie tylko korzystając z cudzej pomocy. Można powiedzieć, że w pracy nie ufał nikomu oprócz siebie, tak bardzo był precyzyjny i zarazem zaangażowany w to, co robił. Pani Lowyer domyślała się, że tego dnia prawdopodobnie pracował już od wschodu słońca i, jak go znała, wiedziała, że nie spocznie, dopóki nie zrobi się aż tak ciemno, że nic nie będzie widać. Zawsze, przez całe siedem dni tygodnia, Sam pracował niemal bez wytchnienia.

Pani Lowyer westchnęła. Miała już sześćdziesiąt siedem lat i czuła się zbyt stara, by wybiec teraz i uścisnąć mu dłoń. Westchnęła jednak nie tylko dlatego, były ku temu jeszcze jakieś inne, mgliste powody, coś, co plątało jej się po głowie i nie dawało spokoju.

Przymknęła okno, umyła się, ubrała i zeszła na dół, żeby swoją jamniczkę, Lucy, wyprowadzić na spacer. Potem zapaliła gaz, napełniła wodą czajnik i zaczęła przygotowywać śniadanie.

* * *

O godzinie dziesiątej wyszła do ogrodu z sekatorem, by odciąć kilka uschniętych główek róż, a potem wyrwać parę chwastów i podeprzeć palikiem kępę stokrotek, która rozrosła się bujnie, trochę nie w tę stronę, co potrzeba.

Kombajn, skosiwszy znowu szmat pola, kolejny raz zmienił kierunek i podjeżdżał teraz do jej płotu. Odłożyła na ziemię, niedaleko kępy stokrotek, sekator, paliki i kłębek szpagatu i podeszła do ogrodzenia, żeby pomachać Samowi, jak będzie tędy przejeżdżał. I on wtedy, zamiast po prostu kiwnąć jej ręką, zatrzymał potężny kombajn, otworzył drzwiczki kabiny i wysiadł, schodząc w dół po wysokich stopniach maszyny. Podeszedł do niej przez rżysko, aż zeszywniały ze zmęczenia, spocony.

- Chciałam po prostu ci pomachać - powiedziała. - Nie chciałam przerywać ci pracy.

- Przepraszam, sądziłem, że zamierza mnie pani zaprosić na filiżankę herbaty - uśmiechnął się. - Nie zdążyłem przygotować sobie nic do picia i czuję, że gardło mam suche jak piasek na pustyni.

- Oczywiście - ucieszyła się. - Z przyjemnością zaproszę cię na herbatę.

Pomyślała, że zrobi mu również coś do jedzenia. Po takiej ciężkiej pracy musi być bardzo głodny.

- Tylko jak przejdiesz przez ten płot? - zaniepokoiła się.

- Och, to nic trudnego - zaśmiał się.

Opierając się ręką o ogrodzenie, zręcznie przeskoczył na drugą stronę.

- Zdumiewające, ile to człowiek potrafi, jeśli zności się go filiżanką herbaty - powiedział.

Zaśmiała się. Zawsze lubiła Sama. Od dziesięciu lat pracował na farmie w Shadwell. Przez ten czas mogła obserwować, jak samozaparciem i ciężką, mozolną pracą obrócił zaniedbane, popadające w ruinę gospodarstwo w nowoczesną, zdolną do życia farmę. Pola uprawne znów stały się płodne, naprawiono płoty, wyremontowano budynki gospodarcze. A profity - wiedziała, że na początku musiały być skąpe - każdy zarobiony grosz inwestowano ponownie. Pani Lowyer nie pamiętała, żeby Sam kiedykolwiek pozwolił sobie na urlop czy choćby parę dni leniuchowania. Nawet na samym początku, kiedy jeszcze miał dwóch mężczyzn do pomocy. Teraz pracował bez żadnych pomocników, stosując nowoczesne metody i dysponując drogim, dobrym sprzętem mechanicznym. W sumie prawie cały czas radził sobie zupełnie sam z tym wszystkim. Pani Lowyer dziwiła się, że jeszcze nie tylko nie padł z przemęczenia, ale nawet nie stał się zgorzkniały czy też opryskliwy. Jednakże praca ponad siły odbiła się niewątpliwie na jego wyglądzie. Wychudł straszliwie i trudno było uwierzyć, że ma zaledwie

trzydzieści dwa lata. Czasami był tak zmęczony, że bała się, że się przewróci albo zaśnie na stojąco.

- Wejdz i usiądź choćby na minutkę - poprosiła.

- Nie mogę dłużej niż dziesięć minut - powiedział. - Całe pole musi być skończone przed zmrokiem. Na jutro nie zapowiadają dobrej pogody, a poza tym mam jeszcze inny powód. Paul chce użyć tego pola jako parkingu, zarówno dla dzisiejszych gości, jak i dla tych, którzy przyjadą na wesele. Zamierza zbudować wielką rampę ponad płotem, żeby goście mogli prosto z parkingu przechodzić do olbrzymiego namiotu, w którym rozstawi weselne stoły.

Doszli do drzwi i Sam zatrzymał się na chwilę, żeby oczyścić zabłocone buty. Zdjął je i zobaczyła, że ma dziurawe skarpetki, ale udała, że tego nie widzi.

Zaprowadziła go do swojej malutkiej kuchni.

Ściągnął pobrudzoną smarem kurtkę i powiesił ją na krześle. Potem usiadł i westchnął z ulgą. Musiał być nie-
ludzko zmęczony.

- O której dzisiaj wstałeś? - zapytała.

- O szóstej.

- To pewnie czujesz się teraz jak po całym dniu pracy.

Nie pytając go, czy jest głodny, postawiła na ogniu patelnię. Otworzyła lodówkę. Wyjęła bekon, jajka i kiełbasę.

Sam rozejrzał się wokół.

- Bardzo ładnie urządzone kuchnia, chociaż taka mała.

- Dobra dla jednej osoby, ale jak przyjdzie więcej gości, robi się ciasno.

Sam oparł się wygodnie, po czym wyjął z kieszeni fajkę. Pani Lowyer znalazła popielniczkę i postawiła przy nim na stole. Bacon zaczął skwierczeć na patelni.

- Czy od razu zgodziła się pani przeprowadzić do tego malutkiego domku, wtedy kiedy Paul postanowił się ożenić? - niespodziewanie zapytał Sam.

- Tak. Ten domek, choć nieduży, dla mnie jest w sam raz. Martwiło mnie tylko, że nie mogłam wziąć z sobą wszystkich moich mebli, boby się nie zmieściły. Ale wytłu-

maczyłam sobie, że nie warto się przejmować. Zostały w Shadwell i Felicity na pewno dba o nie lepiej, niż ja bym to robiła. Ona nieraz zawstydzą mnie, gdy widzę, jak to, za co się bierze, musi być zawsze dopracowane w każdym szczególe. Na przykład wesele Christabel. Zaproszenia rozesłane, każdy dokładnie wie, co i kiedy ma robić. Nawet menu już jest ustalone.

Zręcznie wbiła jajko na patelnię. Potem drugie. Znała Sama. Wiedziała, ile potrafi zjeść. Chociaż mimo swego niezwykłego apetytu ani trochę nie przybierał na wadze.

Nie odezwał się po tym, co powiedziała. Aby podtrzymać rozmowę, zapytała:

- Kiedy rozstawiają stoły?

- Wtorek lub środa. Zależnie od pogody.

- Czy będziesz im pomagał?

- Nie. Zaoferowałem się z pomocą, ale zatrudnili jakąś agencję odpowiedzialną za całość. Felicity uważa, że trzeba będzie przestawić meble, i w tym na pewno będę przydatny. To są stare, dobre meble, ale wagę swoją mają, i owszem.

- Czy wybierasz się dzisiaj na bal?

Znowu nie odpowiedział. Pani Lowyer spojrzała na niego. Odłożył fajkę i opuścił głowę.

- Pytałam o coś, prawda?

- Tak, ale nie wiem, co odpowiedzieć. Zastanowię się.

- Musisz przyjść.

- Dlaczego?

- Christabel byłoby przykro, gdyby na jej balu zabrakło ciebie.

- Nawet by nie zauważyła.

- Nie bądź śmieszny. Oczywiście, że by zauważyła. I sprawiłoby jej to przykrość. Poza tym jeszcze nie znasz Nigela. Po to jest ten bal, żeby wszyscy mogli go poznać, zanim wejdzie do rodziny. Nigel specjalnie na tę okazję przyjechał z Londynu. Grzeczność wymaga, byśmy przyszli na bal go poznać.

Postawiła przed Samem talerz z jajecznicą na bekonie. I zaraz potem kubek z gorącą herbatą.

- Co to jest? - zdziwił się, ale i ucieszył. - Drugie śniadanie?

- Jestem pewna, że nie zdążyłeś zjeść pierwszego - przysunęła sobie krzeselko i usiadła koło niego.

- Ma pani rację - przyznał.

Z apetytem zabrał się do jedzenia.

- Tak być nie może - stwierdziła. - Żaden mężczyzna nie powinien robić wszystkiego sam, szczególnie kiedy tak ciężko pracuje na farmie.

- Jakoś sobie radzę - uśmiechnął się.

- To musi być jednak uciążliwe...

- Kilka razy w tygodniu Aggie Watson przychodzi mi do pomocy.

- Tak, zamiecie podłogę i obierze garnuszek ziemniaków. To nie o to chodzi, Sam. Potrzebna ci jest prawdziwa gospodyni. Albo żona. Sądzę, że przyszła pora, żebyś się ożenił.

- Nie potrzebuję gospodyni - powiedział.

Pani Lowyer westchnęła.

- I nie ma żadnej takiej dziewczyny, z którą chciałbyś się ożenić?

Po dłuższym milczeniu Sam powiedział:

- Nie.

- Żadnej oprócz Christabel - stwierdziła pani Lowyer. Wypowiedziała te słowa szybko, zanim zdążyła się nad tym zastanowić. Póki nie straciła odwagi, by poruszyć tę sprawę. Ale to trzeba było zrobić. Wesele Christabel nie powinno przecież zostać w żaden sposób zakłócone.

- Skąd pani to przyszło do głowy?

Wiedziała, że o to zapyta.

- Zawsze o tym wiedziałam.

- Przecież to mała dziewczynka.

- Była małą dziewczynką, kiedy ją poznałeś. Teraz ma dwadzieścia lat.

Ich spojrzenia spotkały się. Oczy Sama były jasne jak zimowe niebo. Migotały w nich wesole iskierki, kiedy się czymś cieszył, teraz jednak były zimne, przygaszone.

- Ona wychodzi za mąż w sobotę - powiedział i zabrał się do jedzenia.

To wyglądało, jakby nie miał ochoty na dalsze poruszanie tego tematu. Pani Lowyer wiedziała jednak, że nie czas teraz na konwenanse.

- Myślę, że zawsze ją kochałeś. I dla niej zawsze byłeś kimś ważnym. Pamiętam, jak pomagałeś jej, kiedy dostała swojego pierwszego kuczka. I jak cały czas plątała ci się pod nogami, próbując razem z tobą robić różne rzeczy na farmie, podtrzymywała sztachety, kiedy reperowałeś płot...

- Zgubiła wtedy młotek - przypomniał Sam.

- Nigdy nie patrzyła na innych chłopców, których tyłu kręciło się wokół. Kiedy po skończeniu szkoły pojechała do Londynu, wzięła z sobą twoją fotografię. Wiesz o tym?

- Świat się zmienia - mruknął Sam.

- To znaczy: ty się zmieniłeś czy ona?

- Oboje, jak sądzę. Mówiłem już. Ona była małą dziewczynką. Ja bardzo młody. Oboje dorośliśmy. Potem pojechała do Londynu....

- Spotkała Nigela - dokończyła pani Lowyer.

- Właśnie, spotkała Nigela. I mają się pobrać.

- Myślisz, że dobrze wybrała?

- Nie znam go.

- Miły, bardzo przystojny młody człowiek. Christabel musiałaby być głupia, żeby nie zwrócić na niego uwagi.

- Tak, ona nigdy nie była głupia.

- Tak, ale ty na pewno nie robisz teraz mądrze.

- Dlaczego?

- Ponieważ to najzupełniej oczywiste, że jesteś w niej zakochany. Zawsze ją kochałeś i nigdy nie zdecydowałeś się prosić jej o rękę.

- Nie mogłem - powiedział Sam.

- Dlaczego, na Boga?

- Z wielu powodów. Choćby to, że nie mam jej nic do zaoferowania. Nawet farma, na której pracuję, nie należy do mnie. Mój mały domek nie ma nawet centralnego ogrzewania. Dziewczyna musi mieć pieniądze, dostawać różne rzeczy. Nigdy nic nie mogłem jej dać.

- Czy pytałeś ją kiedyś, czy to dla niej ważne?

- Nie.

- Ale...

Sam odstawił pusty talerz. Znowu pochylił głowę.

- Proszę, dajmy już temu spokój - powiedział.

- Och, Sam.

Przez chwilę poczuła, że ogarnia ją wzruszenie. Nie płakała już od dawna. Teraz jednak z pewnym trudem przyszło jej zwalczyć łzy.

- W każdym razie jest już za późno, żeby cokolwiek mógł na to poradzić - powiedział.

Wiedziała, że ma słuszność.

- Dobrze. Nie mówmy o tym więcej. Ale przyjdź na ten bal. Będą tańce, dobre jedzenie. Przyjdź koniecznie.

- Czy potrafi pani tańczyć te nowoczesne rzeczy? - zapytał.

- Nie wiem. Ale jeżeli ktoś poprosi mnie do tańca, będę musiała spróbować.

* * *

Przed południem pani Lowyer uporała się ze wszystkimi codziennymi obowiązkami. Po obiedzie wzięła samochód z garażu i pojechała do miasta. Wstąpiła do jedynej w tej okolicy zakładu fryzjerskiego. Przeczytała raz jeszcze napis na szyldzie „Huntleys z Mayfair”. Panna Pickering nigdy w życiu nawet nie przejeżdżała koło Mayfair, ale uznała, że taka nazwa brzmi zachęcająco.

Starsza pani od razu wpadła w ręce jednej z dziewcząt uczących się fryzjerstwa. Ta umyła jej włosy w zimnej wodzie, splukała we wrzątku, nałożyła lokówki, potem na to

jakiś plastik, później suszyła strumieniem gorącego powietrza, którego nie dało rady przełączyć na zimne.

Pani Lowyer z zaczerwienioną twarzą i kompletnie wyczerpana wróciła do domu. Zrobiła sobie herbatę i postanowiła się położyć. Chciała przespać się kilka godzin przed wieczornym przyjęciem. Ale gdy tylko zdążyła wyprowadzić jamniczkę Lucy na spacer i wstawiła wodę na herbatę, rozległo się pukanie do drzwi.

- Babciu? - zawołał jakiś głos. To była Christabel.

- Dzień dobry, kochanie - powiedziała pani Lowyer i pocałowała ją.

- Ojej, jak ty wyglądasz, babciu. Panna Pickering, jak widzę, tym razem przeszła samą siebie. Czy masz może placzek ze śliwkami?

Otworzyła sobie sama szafkę, wyciągnęła stamtąd biskopty w czekoladzie i zaczęła jeść. Uwielbiała słodczyce. Wszystkie te najbardziej niezdrowe rzeczy, jak tabliczki czekolady, chipsy i lody. Ale nie tyła od tego ani też nie szkodziło jej to na cerę. Tego zaś dnia wydawała się szczuplejsza niż zwykle. Ubrana w stare dzinsy, pocerowany na łokciach obwisły sweterek i kowbojskie buty, włosy koloru coś pomiędzy orzechowym a czekoladowym uczesane w dwa kucyki, twarz nie skażona makijażem. Wyglądała najwyżej na piętnaście lat i pani Lowyer pomyślała, że trudno uwierzyć, że taka młodzianka dziewczyna już w sobotę wychodzi za mąż.

- Czy Nigel już przyjechał? - zapytała.

- Tak, ale je teraz obiad. Wyjechał z Londynu już o czwartej rano.

- Dlaczego nie przyszedł z tobą?

- Omawia z rodzicami różne sprawy, polowania na gołębie i to, ile osób z jego rodziny będzie na naszym weselu. Czy nie widziałaś dzisiaj Sama? - zapytała nieoczekiwanie.

- Myślę, że jeszcze kosi to ogromne pole jęczmienia.

- Szukałam go. Ale u niego w domu nie było nikogo. Nawet Aggie.

- A po co ci teraz Sam?
- Chciałam mu podziękować za prezent, jaki mi przysłał.

Usiadła na krześle przy stole, podobnie jak Sam tego rana.

- Co dostałaś od niego?
- Laskę.
- Co takiego?
- Wiesz, on kiedyś rzeźbił takie laski. Nie robił tego już dawno, biedny, bo ciągle nie ma czasu, tylko tę jedną dla mnie. Wyrzeźbił piękne kwiaty i kłosa zboża i wszystko jest wypolerowane i fantastyczne. I taki srebrny kawałek z wyrytym moim imieniem. Czy nie myślisz, że to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek dostałam?

- Tak, kochanie, to na pewno wspaniały prezent.

Przypomniała sobie, jak Sam się skarżył, że nigdy nie mógł jej nic dać. No, tak, ale laska dla dziewczyny, która właśnie wychodzi za mąż i będzie mieszkać w Londynie...

- To takie osobiste. Chodzi mi o to, że on własnoręcznie to dla mnie zrobił. Mam nadzieję, że przyjdzie dzisiaj na bal. Po całym dniu pracy na pewno będzie zmęczony.

- Oczywiście, że przyjdzie. Tak mówił. Był tu rano u mnie. Piliśmy herbatę.

- Mama kazała zsunąć wszystkie meble w jadalni, nakryła to potem białym obrusem i wyszedł z tego ogromniasty stół - pochwaliła się Christabel. - I przygotowaliśmy mnóstwo smakołyków. Nie wyobrażasz sobie, ile tego jest.

- Felicity jest w swoim żywiole - zaśmiała się pani Lowyer.

Znalazła resztkę placka ze śliwkami, pokroiła i położyła przed Christabel na talerzyku. I nalała herbatę. Jej wnuczka miała tu prawie od urodzenia własny kubek, z którego zawsze piła. Niebieski w białe paseczki.

- I będziemy mieć doskonałą muzykę dyskotekową. Tata chciał zmusić Nigela, żeby to były stare przeboje sprzed lat.

- To znaczy, że jestem zaproszona do was na wieczór na dyskotekę - uśmiechnęła się babcia.

- Na pewno potrafisz to tańczyć. To nic trudnego.

- A nie mogę po prostu siedzieć i przyglądać się, jak młodzi tańczą?

- Oj, babciu, musisz być nowoczesna. Ale, wiesz co? Znajdziemy dla ciebie jakieś wiedeńskie walce, żebyś mogła przy tym tańczyć z pułkownikiem Foxtonem.

- Och, naprawdę, Christabel...

- Przecież wiesz, że on jest w tobie zakochany do szaleństwa. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie chcesz wyjść za niego za mąż.

- Nie wytrzymałabym, gdyby mi przyszło mieszkać w tym jego zimnym domu ze smolonej sosny i kolorowego szkła.

- To może on mógłby mieszkać tutaj.

- Tu jest za ciasno.

- Myślę, że jesteś dla niego okrutna. - Christabel podpytywała babcie o pułkownika, odkąd ten zaprosił starszą panią po raz pierwszy na herbatę i z dużym zapałem pokazywał kolekcję fotografii, z czasów gdy był w Indiach jako młody oficer. - On jest akurat w odpowiednim wieku dla ciebie.

- O, na pewno nie. Gdybym szukała kogoś w odpowiednim wieku, musiałabym poślubić stuletniego staruszka. Pułkownik jest za młody.

- Dlaczego aż stuletniego?

- Bo najlepiej dla państwa młodych, żeby kobieta była dwa razy młodsza niż mężczyzna, plus jeszcze siedem lat. Na przykład, jeśli pan młody ma dwadzieścia lat, to panna młoda dziesięć plus siedem, czyli siedemnaście. A kiedy dziewczyna ma sześćdziesiąt siedem lat, jak na przykład ja, to on musiałby mieć... - pani Lowyer nie była taka mocna w arytmetyce - ... sto dwadzieścia lat.

Christabel spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Babciu, ja mam dwadzieścia lat, a Nigel dwadzieścia trzy. On jest dla mnie za młody. Czy to prawda?

- Nie, sądzę, że wiek nie ma tutaj żadnego znaczenia. To tylko żarcik, i to nie na najwyższym poziomie. Najważniejsze, żeby wybrać właściwego człowieka, którego naprawdę będzie się lubić.

- A dlaczego nie mówisz, że trzeba go kochać?

- Bo już zupełnie nie mam siły na myślenie o miłości. Muszę iść na górę i odpocząć przed tą imprezą. Wizyta u panny Pickering była bardzo wyczerpująca. O której godzinie powinnam zjawić się u was?

- O ósmej. Czy chcesz, żeby ktoś przyjechał po ciebie?

- Nie, dziękuję, z przyjemnością przejdę się piechotą.

* * *

Dokładnie za pięć ósma pani Lowyer włożyła swoją najlepszą suknię, uszytą z szafirowego aksamitu, narzuciła na ramiona kaszmirowy szal, powiedziała psu „dobranoc”, zgasiła wszystkie światła i wyszła. Ścieżynką przed domem, posypaną żwirem, a potem aleją poszła do dużego domu, w którym kiedyś mieszkała. Sierp księżycy wypłynął na niebo i w jego srebrnym blasku gałęzie starych potężnych buków wznosiły się ku niebu jak stare zabytkowe katedry.

Na parkingu przed domem już stało kilkanaście samochodów.

Pani Lowyer weszła po kamiennych schodkach, drzwi były otwarte, i już wkrótce mogła się przyłączyć do innych gości.

- O, pani Lowyer, dzień dobry, jak miło panią znowu widzieć. Proszę zobaczyć, jak Felicity to wszystko ślicznie zorganizowała. Nawet potrafiła załatwić dobrą pogodę. Chyba jeszcze się nie zdarzyło, żeby padał deszcz, kiedy Felicity wyprawia bal.

- Miejmy nadzieję, że i w sobotę, w dniu wesela, dopisze jej szczęście.

Korytarz był pełen gości. Pani Lowyer ucałowała serdecznie na powitanie swojego syna i jego elegancką żonę.

Potem poszła na górę, żeby zostawić tam szal. Położyła go u Felicity w pokoju, na łóżku. Potem podeszła do toaletki, żeby się upewnić, czy jej nowa fryzura nadal jest bez zarzutu. To lustro kiedyś stało na jej własnej toalecie. Pani Lowyer odziedziczyła je po swojej matce. Pamiętała swój obraz, jaki niejednokrotnie widywała w tym lustrze. Była wtedy młoda, szczupła, najczęściej ostrzyżona na chłopczycę. Teraz ujrzała wyłaniające się spod starannie zrobionego makijażu zmarszczki, zwiotczałą szyję, posiwiałe włosy. Ręce poprawiające teraz fryzurę również należały do starej kobiety. Jestem babcią, powiedziała sobie, być może niedługo zostanę prababcią. Nie wydawało jej się to straszne. Już się zdążyła nauczyć, że każdy wiek ma swoje dobre strony.

- Przyłapałam cię, jak stroisz się przed lustrem - usłyszała miły głosik.

Odwróciła wzrok od swojego odbicia i zobaczyła stojącą w drzwiach Christabel. Dziewczyna śmiała się do swojej babci, oczy jej błyszczały z rozbawienia.

- Wcale się nie stroję. Tylko myślę sobie, że to dobrze, że nie jestem już młoda i nie muszę się bać, że jakiś mężczyzna poprosi mnie do tańca. Ani tego, że mój mąż będzie tańczył z dziewczynami ładniejszymi ode mnie.

- Zgaduję, że tylko tak mówisz. Na pewno nie musiałaś się bać o coś takiego. A wyglądasz wspaniale.

- Och, kochanie, to ja właśnie miałam tobie powiedzieć, że wyglądasz prześlicznie. Czy to nowa sukienka?

Sukienka była biała, z dość głębokim dekoltem, z szeroką spódnicą.

- Tak, zupełnie nowiutka! - zawołała Christabel, okręcając się kilka razy.

Tym razem miała rozpuszczone włosy, romantycznie opadające na ramiona.

- Gdzie kupiłaś taką ładną sukienkę?

- W Londynie. Szykowałyśmy z mamą moją wyprawę ślubną. Zobaczyłam tę sukienkę i powiedziałam, że bardzo

chcę ją mieć. Należy do mojej ślubnej wyprawy, chociaż ubrałam się w nią już teraz.

Pani Lowyer pocałowała ją w policzek.

- Wyglądasz prześlicznie - powtórzyła.

Usłyszały, że ktoś na korytarzu wołał Christabel. Podeszła do drzwi. To był Nigel.

- I po co chcesz wchodzić do babskiej garderoby - zażartowała. - Podglądasz, jak się stroimy.

Zaśmiał się, ale tak jakby pomyślał, że nie był to specjalnie udany dowcip.

- Szukałem cię. Twoja matka czeka na ciebie i prosiła, żebym cię znalazł.

- Babcia i ja odbywamy tutaj naradę rodzinną - wyjaśniła.

Wszedł do pokoju.

- Dzień dobry, pani Lowyer - powiedział uprzejmie.

- Nigel, jak to miło znowu cię tutaj widzieć.

Podeszła do niego i lekko cmoknęła w policzek na przywitanie.

Z ciemnymi włosami, w eleganckim, klasycznym garniturze wyglądał na naprawdę poważnego młodego człowieka.

- Przykro mi, że Christabel i ja kazałyśmy na siebie czekać. Już schodzimy na dół.

* * *

Po kolacji, kiedy młodzi poszli już do drugiej sali tańczyć w rytm dyskotekowych melodii, wreszcie pojawił się Sam Crichtan. Pani Lowyer stała właśnie w rogu pokoju, rozmawiając z pułkownikiem Foxtonem. Poczowała ulgę, że młody człowiek jednak dotrzymał słowa.

Stwierdziła z cichą satysfakcją, że w wizytowym stroju jest mu do twarzy. Zauważyła, że Sam, ze swoją szczupłą, opaloną twarzą, starannie uczesanymi włosami i w dobrze skrojonym garniturze, wyglądał lepiej niż dobrze, a nawet dystyngowanie.

- ... to taka ciekawa rzecz - mówił pułkownik Foxton. - Bardzo zabawna sprawa. Niektórzy dostają pozwolenie, a ja, jak chciałem w domku ogrodnika przebić w dachu okienko....

- Przepraszam na chwilę, mój drogi - przerwała mu. - Mam ważną wiadomość dla Sama, którą muszę mu przekazać, zanim zniknie mi z oczu.

- Co takiego? Oj, tak, przepraszam, bardzo chciałem ci o tym powiedzieć.

- Z przyjemnością posłucham później o tych zabawnych problemach z domkiem ogrodnika. Musisz zaraz, jak tylko wrócę, dokończyć mi tę historię.

Przeszła przez pokój.

- Sam?

- Dobry wieczór, pani Lowyer.

- Cieszę się, że cię widzę. Czy dostałeś już coś do jedzenia?

- Niedawno przyszedłem. Nie dałem rady wcześniej.

- Tak właśnie sobie pomyślałam, że nie miałeś czasu. I zanim zrobisz cokolwiek innego, musisz się napić i skosztować potraw przygotowanych przez Felicity. Łosoś i pieczeń cielęca na zimno są wprost wyśmienite.

Zaprowadziła go do jadalni, naląła pełną szklankę whisky i postawiła przed nim talerz suto napełniony jedzeniem.

- Widziałeś się już z Christabel?

- Nie, przecież dopiero przyszedłem.

- Po południu też się nie widzieliście?

- Nie.

- Szukała cię. Chciała podziękować za laskę.

- Boję się, że pani myśli, że to niezbyt mądry prezent.

- Owszem - stwierdziła pani Lowyer, która nie lubiła niczego owijać w bawełnę. - Ale za to zupełnie wyjątkowy. Christabel nie tylko była zachwycona, ale nawet wzruszona. Co powiesz na pieczone ziemniaki? Nałożyć ci kilka?

- Nie powiedziała jej pani, o czym rozmawialiśmy rano?

- Nie. A powinnam?
- Wolałbym, żeby o tym nie wiedziała.
- Dobrze, w takim razie nic jej nie będę mówiła.

Przez otwarte drzwi drugiego pokoju, aktualnie sali bałowej, widziała Christabel i Nigela. Obejmował ją w tańcu. Jej włosy błyszcząły w blasku świec.

Sam też spojrział w tamtą stronę.

- Nigel to bardzo sympatyczny młody człowiek - powiedziała. - Christabel ma szczęście, że trafiła na kogoś takiego.

Nigel pochylił się, cmoknął dziewczynę w czubek głowy. Chyba ktoś powiedział coś zabawnego, bo wszyscy się roześmieli.

Sam popatrzył przez chwilę, a potem znowu zajął się jeżdzeniem.

- Felicity robi wspaniałe majonezy - stwierdził z powagą.

* * *

Potem syn zaprowadził ją do sali, w której tańczyli młodzi. Pani Lowyer widziała Christabel tańczącą z Samem. Wydawało się, że wszyscy inni tańczą osobno, tylko oni dwoje tak bardzo złączeni są ze sobą, tylko oni stanowią prawdziwą parę.

Pani Lowyer miała nadzieję, że jej syn nie zwrócił na to uwagi.

- Okropny hałas - powiedziała tylko. - Ta dzisiejsza młodzież...

Wychodząc obejrzała się za siebie.

Potem poszła do domu. Wyślizgnęła się niepostrzeżenie, nie mówiąc nikomu „dobranoc”. Otuliła się szalem i poszła aleją. Słyszała dźwięki muzyki, wesołe głosy. Wrzesień. Jej ulubiony miesiąc.

To straszliwy błąd. Ona zamierza poślubić niewłaściwego człowieka, pomyślała.

Z przyjemnością wracała do domu, marząc o odpoczynku. Wyjęła Lucy z koszyka, poszła z psem na krótki spacer po ogrodzie. Ugotowała mleko. Nalała sobie do szklanki

i wypięła. Poszła na górę, powoli przebrała się... Tak bardzo chciała się wreszcie wyspać.

* * *

Była dopiero czwarta nad ranem, kiedy pani Lowyer usłyszała... Nie, to nie był deszcz dudniący o parapet okna, to chyba turkot kamyków, jakby ktoś pędził po ścieżce prowadzącej do jej małego domku. Najpierw pomyślała, że to jej się zdawało, ale dźwięk powtórzył się. Potem usłyszała:

- Babciu?

Wstała z łóżka, sięgnęła po leżący na krześle szlafrok, włożyła go, starannie zawiązała pasek. Podeszła do otwartego okna. W ogrodzie mignęło coś białego. Jak duch albo zjawą.

- Babciu?

- Christabel, co ty tutaj robisz?

- Chciałam z tobą porozmawiać.

Pani Lowyer zeszła na dół, zapaliła światło. Potem otworzyła drzwi i Christabel mogła już wejść, trzęsąc się z zimna w cienkiej, białej sukience.

- Jak tam bal?

- Właściwie już się kończy. Chciałam z tobą porozmawiać. Wszyscy myślą, że już poszłam spać.

- Gdzie jest Nigel?

- Je drugą kolację.

- A Sam?

- Już poszedł do domu.

Zapanowało milczenie. Pani Lowyer popatrzyła uważnie wnuczce w oczy, jasne i załzawione.

- Chodźmy na górę - powiedziała.

Weszły do jej pokoju - małej, przytulnej sypialni. Usiadły na łóżku. Pani Lowyer wzięła pierzynę i obie mogły się przykryć. Starsza pani czuła, jak chłodna była skóra wnuczki.

- Boję się - szepnęła Christabel.

- Czego?

- Wszystkiego. Tego, że będę mężatką. Jakby mnie schwymano w sidła, jakby zatrzaśnięto za mną jakieś drzwi.

- Wyjście za mąż można właściwie tak określić - rzekła pani Lowyer. - Tak, to może być zatrzaśnięcie w pułapce. Cała sprawa polega na tym, żeby być uwięzioną razem z odpowiednią osobą.

- Och, babciu! Dlaczego to wszystko jest takie trudne?

- Tak to już w życiu bywa - stwierdziła pani Lowyer. Otoczyła wnuczkę ramieniem. - Niełatwo urodzić się, potem są problemy wieku dorastania, własne dzieci okazują się często problemem. Osiągnięcie sędziwego wieku też jest straszne.

- Wydaje mi się, że... nie chcę wychodzić za mąż za Nigela.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Nie kochasz go?

- Kochałam. Bardzo. Byłam naprawdę bardzo zakochana. Ale... nie wiem. Nie chcę mieszkać w Londynie. Nie lubię tych małych mieszkanek w blokach. Przypominają pudełka. I jeszcze jedno... Nie tak bardzo podobają mi się jego przyjaciele. Czuję, że nie mam z nimi nic wspólnego. Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie? Czy to jest ważne?

- Tak - rzekła pani Lowyer. - To może być ważne.

- Czy cierpię na typowe zdenerwowanie przed zamążpójściem?

- Niekoniecznie.

- Myślisz, babciu, że tym razem to nie tylko to?

Pani Lowyer, zamiast odpowiedzieć, zapytała:

- Gdzie byłaś z Samem?

- W ogrodzie. Siedzieliśmy pod drzewem. To było całkiem niewinne.

- I co potem? Powiedział ci dobranoc i poszedł do domu?

- Tak.

- On cię kocha. Wiesz o tym, prawda?

- Zawsze miałam nadzieję, że mi to powie, ale nigdy tego nie zrobił.

- Bo bał się, że jest za biedny i nic ci nie może zaoferować. On jest bardzo ambitny, dumny.

- To dlaczego mi tego nie powiedział?

- Och, Christabel, zastanów się.

- Ja bym się wcale nie bała biedy. I nie miałabym nic przeciwko temu, żeby mu pomagać na farmie. I mogłabym mieszkać w tym malutkim, nie ogrzewanym domku. Zrobiłabym tak, że byłoby tam miło i wygodnie. Nic by mi nie przeszkadzało, gdybym mogła być razem z Samem.

- No to musisz go przekonać.

- Ależ, babciu, przecież wesele... wszystko przygotowane, prezenty, zaproszenia... To wszystko kosztowało tak dużo i...

- To zawsze jeszcze można odwołać - stwierdziła pani Lowyer. - Ostatnia rzecz, jakiej chcieliby dla ciebie twoi rodzice, to żebyś poślubiła mężczyznę, którego tak naprawdę nie kochasz. Jeżeli wybierasz Sama, musisz pójść i mu o tym powiedzieć. Powiedzieć właśnie to, co teraz mi mówiłaś. Że nie przeszkadza ci ani bieda, ani mieszkanie w tym uroczym, malutkim domku farmerskim. Niech wie, że jest jedynym mężczyzną twojego życia, kimś, kogo naprawdę kochasz.

- Ty, babciu, zawsze o tym wiedziałaś, prawda?

- Tak.

- Jak to odkryłaś?

- Jestem już stara, doświadczona i wiele w życiu widziałam.

- Kiedy powinnam mu o tym powiedzieć?

- Zaraz. Od razu pojedź do jego domu. Możesz wziąć mój samochód, żebyś nie musiała moczyć nóg. Pożyczę ci też wełniany bezrękawnik, żebyś nie zmarzła. Jeżeli jeszcze będzie spał, to go obudź, wyciągnij go z łóżka. Po prostu powiedz mu. Bądź z nim szczerą. I najważniejsze, nie oszukuj sama siebie.

- Ale... mama, tato... Nie wiem, jak im spojrzę w oczy... jestem taka głupia...

- Ja im powiem.

- A Nigel?

- Również poinformuję Nigela. On jest młody, to będzie bardzo bolesne, ale odcierpi to jakoś i potem na pewno ułoży sobie życie. Nie mogłoby być nic gorszego dla niego niż taki ślub na siłę, jedynie z poczucia obowiązku.

Ucałowała wnuczkę, patrząc na nią ze współczuciem i z miłością.

- Teraz idź już, kochana. I...

- Tak, babciu.

- I przekaz Samowi moje najserdeczniejsze pozdrowienia.

* * *

Usłyszała warkot silnika. Christabel odjeżdżała wiejską drogą pokrytą koleinami, prowadzącą do domku, w którym mieszkał Sam. Zegar wskazywał piątą rano. Co będzie potem?

- Co ja narobiłam, na Boga, co z tego wyniknie? - zapytała się w duchu pani Lowyer. Była jednak zadowolona, że załatwiła tę sprawę. Miała już za sobą niepokój, chwile wahania. Teraz już nie można było się wycofać.

Zawsze wiedziała, że Sam i Christabel kochają się. Uważała jednak, że nie powinna się wtrącać i że ta sprawa w ogóle jej nie dotyczy. Teraz dopiero... chyba los chciał, żeby się tym zajęła. Podjęła decyzję, słuszną lub nie, ale nie było już od niej odwrotu.

Leżała bezsennie do ósmej trzydzieści. Potem wstała, włożyła szlafrok i poszła zamknąć okno. Spojrzała na złote pole pszenicy, na niebo pokryte ciężką warstwą chmur. Wiedziała, że Sam i Christabel pasowali do siebie tak bardzo, jakby byli dla siebie stworzeni.

Pomyślała teraz o Paulu, Felicity. O Nigelu. Westchnęła.

Ubrała się i zeszła na dół. Powiedziała Lucy „dzień dobry”, wyprowadziła ją do ogrodu na spacer. Później przy-

Christabel

rządziła sobie śniadanie, napiła się kawy. Następnie włożyła płaszcz i biorąc ze sobą Lucy, wyszła z domu. Padał drobny kapuśniaczek. Pani Lowyer szła ścieżką posypaną żwirami, potem przez furtkę i dalej aleją prowadzącą do dużego domu, w którym kiedyś mieszkała. Obok niej biegła mała jamniczka.

Jeżynobranie

Nocny pociąg wyruszył z Euston, zmierzając na północ. Claudia, przebrana już w koszulę nocną i szlafrok, podciągnęła story i siadła na brzegu górnego łóżka w wagonie sypialnym. Patrzyła przez okno, jak oddalały się światła miasta, jasne plamy latarni rozjaśniających uliczny mrok, mieszkania, w których już dawno pozapalano lampy. To był deszczowy wieczór, Claudia obserwowała chmury - poplamione brązem przez milion ulicznych latarni. Zauważyła po pewnym czasie, że chmury przesunęły się i wypłynął na niebo księżyc w pełni, okrągły i lśniący jak wypolerowana srebrna waza.

Zgasiła lampkę, położyła się na łóżku, na prześcieradle - gładkim, naciągniętym jak w szpitalu, przykryła się szorstką, bawełnianą kołdrą. Leżąc obserwowała księżyc. Stukot kół pociągu rytmicznie kołysał ją do snu. Przypomniała sobie przez chwilę o innej podróży, którą planowała jeszcze niedawno. Potem pomyślała o dniu jutrzejszym. Czowała lekkie podniecenie. Jakby to, co teraz robiła, stało się pozytywnym działaniem, a nie tylko ucieczką przed łzami.

Było to oparciem dla jej dumy, pozwalającym pozostać z podniesioną głową i odsunąć niepewność daleko poza granice świadomości. Te wątpliwości nadal istniały, ale musiały pozostać tam na uboczu. Potrzebowała przekonania, że poszła właściwą drogą.

Była bezgranicznie zmęczona. Księżyc świecił jaskrawo. Odwróciła się na drugi bok, żeby nie raził jej w oczy. Wcisnęła twarz w poduszkę i niespodziewanie zapadła w sen.

* * *

W Inverness, gdzie wysiadła, klimat był tak odmienny, jakby pociąg wywiózł ją nie tylko kilkaset kilometrów na północ, ale w inny świat.

Była sobota, wrzesień. Opuściła Londyn ciepłego, jakby czerwcowego wieczoru, a przybyła do świata, gdzie bezchmurne niebo otaczało zmarzniętą ziemię i oślepiało porannym brzaskiem. Szczypał mrozek i liście na drzewach już się jesiennie złociły. Miała godzinę lub dwie czekania na lokalny pociąg, żeby pojechać jeszcze dalej na północ. Wypełniła ten czas idąc do najbliższego hotelu i jedząc śniadanie. Potem znowu przyszła na stację. Kiosk był już otwarty. Kupiła jakiś kolorowy magazyn i poszła na drugą stronę, na peron, gdzie krótki, podmiejski pociąg czekał już, częściowo wypełniony pasażerami.

Znalazła miejsce przy oknie, upchnęła swój bagaż na półce.

- Dzień dobry - powiedziała do siedzącej naprzeciw niej kobiety.

I były już od razu dobrymi znajomymi. Kobieta miała przyjemną, życzliwą twarz. Była ubrana w tweedowy płaszcz z broszką w klapie, kapelusz o intensywnym zielonym kolorze. Podczas gdy Claudia podróżowała z eleganckimi torbami podróżnymi, jej nowa znajoma była objuczona kilkunastoma reklamówkami i czymś, co wyglądało na plastikowy pojemnik na jedzenie, przydatny na piknikach.

Kobieta spojrzała na nią. Claudia uśmiechnęła się życzliwie.

- O, jaki chłodny poranek - powiedziała tamta. - Musiałam długo czekać na autobus. Stopy zmarzły mi na kość.

- Tak, ale jest przyjemnie.

- Tak, proszę pani, dobrze i przyjemnie. Zawsze mówię, że wszystko jest lepsze niż deszcz.

Zrobił się przeciąg, usłyszały trzaśnięcie drzwi.

- No i już jedziemy. Ruszył dokładnie o czasie - powiedziała kobieta. - Daleko pani jedzie?

Claudia zaczęła już czytać kolorowy magazyn, który kupiła na stacji. Zrezygnowana, odłożyła czasopismo i włączyła się do konwersacji.

- Lossdale.

- Ja też tam wysiadam. Byłam teraz na dole u mojej siostry. Na zakupach, wie pani. Oni mają wspaniałą supermarket. Kupiłam koszulę dla męża. Przenocowałam u siostry i teraz wracam. Czy zamierza pani zostać w Lossdale?

Nie była wścibska ani natrętna, po prostu ciekawa. Claudia odpowiedziała jej, że prawdopodobnie na tydzień. I potem, ponieważ było oczywiste, że tamta ją o to zapyta, dodała:

- Jadę do Inverloss, do mojej kuzynki, Jennifer Drysdale.

- Jennifer, och, znam ją doskonale - ucieszyła się tamta.

- Spotykamy się czasami w kole gospodyń. Wyszywamy teraz obrusy dla kościoła. Śmieszne, ale nic mi nie wspomniała o pani przyjeździe.

- Zdecydowałam się w ostatniej chwili.

- Czy to może pierwsza pani wizyta?

- Nie, kiedyś przyjeżdżałam tutaj na wakacje. Jak byłam mała. Jeszcze wtedy żyli rodzice Jennifer, jeszcze wtedy farma należała do nich.

- Mieszka pani na południu?

- Tak, w Londynie.

- Tak właśnie sobie myślałam. To widać po pani ubraaniu.

Pociąg przejechał przez most, pod nimi płynął kamienisty, rwący potok, tocząc wodę z dalekich zachodnich gór aż do morza. Claudia spojrzała na walczące z silnym nurtem małe łódeczki, na domy z ogrodami wychodzącymi na wodę.

- Całą noc jechałam, na szczęście kupiłam bilet na sy-
pialny - powiedziała.

- To długa podróż, ale zawsze lepiej i bezpieczniej po-
ciągiem - stwierdziła kobieta. - Mój mąż rzadko wyjeżdża
samochodem na autostradę. Tylko wtedy, kiedy naprawdę
musi. Mówi, że samochody tak pędzą, że za każdym razem
cudem udaje mu się uniknąć śmierci. On ma już taką natu-
rę, że lubi robić wszystko powoli i spokojnie.

Claudia zaśmiała się.

- Jaki jest jego zawód?

- Jest pasterzem. Nie interesuje go nic oprócz owiec.
Owce są dla niego najważniejsze. Mam nadzieję, że będzie
pamiętał, żeby wyjść po mnie na stację. Zostawiłam wiado-
mość na kuchence, żeby mu o tym przypomnieć. Ale to nie
takie pewne, że będzie pamiętał.

Nie skarżyła się. Śmiała się ze słabostek swojego męża,
choć mogły sprawiać pewien kłopot. Był dla niej w tym
pewien urok, coś, co wzmacniało więź rodzinną.

- Czy Jennifer wyjdzie po panią?

- Mówiła, że tak.

- Jest bardzo zapracowana. Wie pani, farma, zwierzęta,
dzieci... Bardzo sympatyczne dzieciaki.

- Widziałam tylko ich fotografie. Ostatni raz byłam w In-
verloss dwadzieścia lat temu. Jennifer jeszcze wtedy nie
myślała o zamążpójściu.

- Dobrze trafiła. Dostał jej się porządny człowiek, Ron-
nie. Nieważne, że pochodzi z południa, ale jest dobrym far-
merem. Doskonale radzi sobie z tak wielkim gospodar-
stwem.

Rozmowa urwała się. Claudia wyglądała teraz przez
okno. Byli już w górach, wjechali w niemal bezludny teren.
Z rzadka rozsiane pojedyncze farmy, gdzieniegdzie stada
owiec. Przez ogromne, wyludnione, zielone połacie prze-
pływały górskie potoki. Słońce wzniosło się już wysoko, do-
chodziło południe i długie cienie wczesnego poranka wy-
datnie uległy skróceniu.

Towarzyszka Claudii otworzyła swój pojemnik na jedzenie, wlała herbatę do plastikowego kubeczka i zaczęła jeść kanapkę z szynką.

Mijały kolejne malutkie stacyjki, podróż dobiegała końca. Claudia zaczęła już liczyć przystanki, jak to kiedyś miała w zwyczaju. Jeszcze trzy... dwa... już tylko jeden... Nadszedł kres tej długiej drogi. Pociąg jechał wzdłuż brzegu morza...

Żona pasterza zamknęła pojemnik, strząsnęła z podołka okruszki chleba. Potem gmerała w swoim przestronnym bagażu, poszukując biletu.

Pociąg zwolnił. „Lossdale” - Claudia przeczytała napis za oknem.

Obie kobiety objuczone każda swoim bagażem schodziły na peron. Pasterz już tam był. Z psem. Nie zapomniał. Witął żonę, czyniąc przy tym dużo niepotrzebnego zamieszania. Wziął bagaż i ruszył w stronę swojego samochodu. Kobieta podążyła za nim. Odwróciła się jeszcze na chwilę, żeby pomachać Claudii.

- Proszę się dobrze rozejrzeć. Ona na pewno gdzieś tu jest.

Ani śladu Jennifer. Pociąg odjechał i Claudia została sama. Stała bezradnie na peronie z elegancką torbą podróżną i uznała, że nie mogło jej spotkać nic gorszego, niż to, że nikt nie czeka na nią na końcu tej podróży.

Postanowiła nie wpadać w panikę. Nie ma przecież pośpiechu, żadnej ważnej narady, na którą musiałyby przybyć punktualnie. Jennifer powinna zaraz nadejść.

- Claudia!

Męski głos. Zaskoczona odwróciła się. Spojrzała na człowieka, który przed chwilą wypowiedział jej imię, prosto pod słońce, musiała przysłonić dłonią oczy. Ujrzała go wreszcie, wychodzącego ze słonecznego blasku, i wtedy zdziwiła się jeszcze bardziej.

To był Magnus Ballater, ostatni człowiek, którego spodziewała się tutaj spotkać. Pamiętała go, rzecz jasna, do-

skonale, ale od dawna nie myślała o nim, nie zajmowała się jego osobą. Magnus w czarnych sztruksowych spodniach i w luźnym swetrze w jakieś wzory, wyższy i jeszcze potężniej zbudowany, niż pamiętała. Z niemodną fryzurą - długimi ciemnymi włosami ułożonymi zupełnie bez sensu. I jak zwykle z uśmiechem na słonecznej, pogodnej twarzy.

- Claudia!

Zagapiła się tak bardzo, że aż musiała się roześmiać.

- Magnus, wielkie nieba, co ty tutaj robisz!

- Przyszedłem po ciebie na stację. Jennifer musiała zostać w Inverloss, coś z bojlerem, miała jakieś kłopoty. Zadzwoiła do mnie i poprosiła, żebym jej pomógł i wyszedł po ciebie. Czy dostanę całusa? - popatrzył na nią pytająco.

Claudia wspięła się na palce, taki był wysoki, i cmoknęła jego chłodny policzek.

- Nie wiedziałam, że przebywasz w tych stronach.

- Och, tak, teraz jestem tutaj tubylcem. Czy to twój bagaż? - sięgnął po torby podróżne - Chodź ze mną.

Podążyła za nim, prawie biegnąc, by dotrzymać mu kroku. Przeszli przez furtkę na parking przy stacji, gdzie stało wielkie, bardzo już zniszczone auto. W samochodzie czekał na nich pies. Wyglądał przez tylną szybę, pozostawiając na niej mokre ślady. Magnus otworzył bagażnik i wrzucił tam torby Claudii. Potem obszedł pojazd dookoła, żeby otworzyć przed Claudią drzwi. Wsiadła, samochód pachniał psem i wyglądał wewnątrz jakby nie był sprzątnięty od wielu miesięcy, ale Magnus nie przeproszał za to, usadowił się koło niej, zatrzasnął drzwi i włączył silnik. Żwir prysnął spod tylnych kół, ruszyli.

Zapamiętała go jako człowieka, który nigdy nie marnował czasu.

- Ale co tutaj robisz? - zapytała.

- Prowadzę firmę tekstylną po ojcu.

- Przecież zawsze zarzekałeś się, że nie będziesz tego robić. Staraleś się być niezależnym człowiekiem, który idzie własną drogą.

- Trochę tak właśnie było. Pracowałem w Yorkshire. Potem wyjechałem do Niemiec na kilka lat, a skończyłem w Nowym Jorku w przemyśle odzieżowym. Potem otrzymałem wiadomość o śmierci ojca i o tym, że przedsiębiorstwo popada w ruinę i że ktoś ma zamiar to sprzedać. I przyjechałem tutaj.

Czuła dawną więź między nimi - stara przyjaźń nie wygasła.

- I wyprowadziłeś firmę z kryzysu? - zapytała. Może nawet było to proste stwierdzenie faktu, nie pytanie. Na Magnusie można było polegać.

- Próbowałem, jak mogłem. Zlikwidowaliśmy deficyt, podwoiliśmy moce produkcyjne i jesteśmy dobrej myśli. Dostaliśmy kilka dobrych zamówień. Musisz przyjść i to zobaczyć. Ciekaw jestem, czy spodoba ci się nasz produkt finalny.

- A co to jest?

- Tweedy, ale dużo delikatniejsze, niż produkował mój ojciec. Drobniejsze prążki, mniejszy ciężar. I na pewno ciekawe kolory.

- A skąd pochodzą ważniejsze zamówienia?

- Z całego świata.

- To wspaniałe. Gdzie teraz mieszkasz?

- W starym domu ojca.

Stary dom pana Ballatera. Claudia pamiętała ten budynek, postawiony wysoko na wzgórzu, ponad miastem. Obok był też wielki ogród i kort tenisowy. Spędziła tam wiele pogodnych, letnich dni. O rok starszy od nich Magnus, Jennifer i ona należeli do tej samej paczki młodych ludzi. Bawili się razem wyśmienicie. Ostatniego roku, kiedy Claudia spędzała tam wakacje, Magnus był już studentem pierwszego roku, specjalizował się w przemyśle włókienniczym.

To były wyjątkowe wakacje z wielu powodów, a zwłaszcza ze względu na pogodę. Upały, ani kropli deszczu. Wieczorami długo jeszcze było widno, jak to na północy. Chodzili na dalekie spacerunki nad brzegiem rzeki lub też

spędzali wiele godzin na łapaniu pstrągów i łososi. Życie towarzyskie było kolejnym powodem, dla którego te wakacje były naprawdę cudowne. Dorastali wtedy, pełni radości, ciekawi świata, organizowali nie kończące się pikniki i mecze w golfa, i rozgrywki tenisowe, szkockie tańce i barbecue na plaży o północy... Ale może najważniejszy ze wszystkiego był właśnie Magnus. Młody człowiek, który nigdy nie był znudzony ani zmęczony, zawsze tryskał radością i wszystkich wokół napawał optymizmem. Przy nim było wiadomo, że następny dzień będzie udany, ciekawy i wspinały.

- A teraz powiedz mi o sobie - poprosił. - Jennifer mówiła, że przez całe dwadzieścia lat tutaj nie przyjeżdżałaś. Jak to możliwe, że aż tak długo się nie widziałyście?

- To nie całkiem tak. Byłyśmy ze sobą w kontakcie. Pisywałyśmy listy, telefonowałyśmy do siebie. I zawsze jak Jennifer jeździła do Londynu, na zakupy albo do teatru, wstępowała do mnie...

- Ale dwadzieścia lat to kawał czasu.

Uśmiechnął się do niej, potem znowu skierował wzrok na krętą drogę. Wyjechali już z miasteczka.

- Dlaczego nie przyjeżdżałaś? Czy byłaś aż tak zapracowana?

- Podobnie jak ty. Studiowałam w szkole handlowej. Zdoebrałam doświadczenie. Prowadzę swój własny biznes.

- Jennifer trochę opowiadała mi o tym. Gdzie masz firmę?

- W Londynie. Na King's Road. Sklep i niewielka pracownia. Mnóstwo roboty, czasami stanowczo zbyt dużo.

- I kto się teraz tym zajmuje?

- Mam pracownika, któremu mogę ufać.

- Wygląda na to, że odniosłaś sukces.

- Można to i tak nazwać - powiedziała z namysłem.

- Czy wyszłaś za mąż?

- Sądzę, że Jennifer już ci powiedziała.

- Oczywiście, ale nie mogłem uwierzyć.

Poczuła, że jej kobieca duma została znieważona.

- Myślisz, że wszystko, na co mnie stać, to dom, mąż i niańczenie dzieci.

- Nie - powiedział spokojnie Magnus. - Nic takiego nie przyszło mi do głowy. Po prostu zdumiewa mnie, że tak piękna dziewczyna jakoś się uchowała bez tego.

Mówił w sposób tak naturalny, tak sensownie, że zawstydziała się swojego wybuchu.

- Robię, co chcę - wyjaśniła. - Jestem niezależna.

Pomyślała o Gilesie. Magnus nie miał jednak z tym nic wspólnego, a poza tym obiecała sobie nie zastanawiać się teraz nad Gilesem.

- Czy to ci odpowiada? - zapytał.

- Tak, zmuszona jestem powiedzieć, że tak - zaśmiała się. Potem skierowała rozmowę na inny temat.

- A co z tobą? Masz żonę i dzieci?

- Jeszcze nie. Nadal jestem wolny.

- Dlaczego?

- Nigdy jakoś nie mogłem zebrać się na odwagę, żeby dopilnować tych spraw. Zawsze było tyle innych rzeczy do zrobienia.

Odwrócił się w jej stronę, jego niebieskie oczy błyszczały z rozbawienia.

- Ciągłe jesteśmy wolni jak ptaki - powiedział.

Nic nie odrzekała, wiedziała jednak, jak bardzo się mylił. Szczególnie w jej wypadku na pewno tak nie było. Możliwe, że Magnus, który był zawsze niezwykle atrakcyjnym mężczyzną, nie chciał się w pełni angażować w związek z jakąś kobietą. Ona wręcz przeciwnie, marzyła o założeniu rodziny, o ślubie. Niestety nie ułożyło się. Odkąd poznała Gilesa, osiem lat temu, rozgoryczonego nieudanym małżeństwem i niedawnym rozwodem, trwała w tym związku, prawdę powiedziawszy, bez szans na przyszłość.

Inverloss leżało z dala od szosy. Skręcili w pokrytą koleinami drogę gruntową, przejechali obok bukowo-dębowego lasku. Claudia stwierdziła z zadowoleniem, że prawie nic

tutaj się nie zmieniło. Przybył jakiś budynek gospodarczy, zbudowano nową zagrodę dla bydła. I to wszystko. Reszta zupełnie jak za dawnych lat.

Podjechali pod dom, na mały placzyk wysypany żwirem. Magnus nacisnął na klakson i zanim Claudia zdążyła otworzyć drzwi, na jej powitanie wybiegła Jennifer. Psy pędziły za nią, deptając jej po piętach.

Jennifer trzymała na ręku dziecko, teraz postawiła je na ziemi i rzuciła się obściskować Claudię. Wszystkie psy, również ten należący do Magnusa, zaczęły szczeleć. Dziecko rozplakało się i Jennifer znowu wzięła je na ręce. Patrzący na Claudię z wyrzutem.

- Ach, Jennifer.

- Przepraszam, że nie mogłam przyjechać po ciebie na stację, ale Ronnie był akurat na rybach i przyszedł człowiek do bojlera. Czekaliśmy na niego od kilku dni, a on musiał właśnie w sobotę...

Jennifer była w dżinsach i koszulce. Twarz jej świadczyła o dobrym zdrowiu. Kręcone włosy miękko opadały na ramiona. Nadal wyglądała jak nastolatka. Nic się nie zmieniła.

- Nie ma sprawy - uśmiechnęła się Claudia. - Najważniejsze, że już tutaj jestem.

- Magnus, ty masz świętą cierpliwość - rzekła Jennifer. - Zostań z nami na obiad. Potem będziemy rwać jeżyny. Zawsze któryś piękny dzień o tej porze roku ogłaszamy świętem jeżyn. I zdecydowaliśmy, że to będzie dziś. Jane i Rory pojechali teraz na wycieczkę na kucach, ale niedługo powinni być z powrotem.

Dzień jeżyn obchodzili od dawna, jak tylko Claudia sięgała pamięcią. Tradycyjna wyprawa po owoce, których musiało potem starczyć na cały rok, na soki i dżemy.

- Pojedziemy jak zwykle na Creagan Hill? - zapytała.

- Oczywiście, gdzieżby indziej. Chodź z nami, Magnus, każda para rąk do pracy jest dla nas bardzo cenna.

- Mam jeszcze parę spraw na mieście, ale potem chętnie

skorzystam z zaproszenia. To nie potrwa długo. O której obiad?

- Koło pierwszej.
- Powinienem zdążyć na czas.

* * *

Jennifer, trzymając dziecko na rękę, poprowadziła Claudię do domu na pięterko. W środku też prawie nic się nie zmieniło, jakieś dziecięce rysunki na ścianach, parę plamk na dywanie.

- Czyż nie wspaniale, że Magnus jest znowu w Lossdale? Jak za dobrych starych czasów - mówiła Jennifer. - On i Ronnie zaprzyjaźnili się. Magnus dokonuje cudów w firmie ojca. Czy byłaś zdziwiona, kiedy go zobaczyłaś?

Claudia szła za Jennifer niosąc bagaże. Weszły do jasnego, zalanego słońcem pokoju.

- To zawsze był twój pokój - przypomniała Jennifer.

Claudia postawiła torby i usiadła na krześle.

- Prawda, że ładne kapy na łóżka? - mówiła Jennifer. - Znalazłam je na strychu. Na pewno chcesz się umyć i przebrać po podróży. Nie mogę się doczekać, aż poznasz Ronniego. Nie mogę uwierzyć, że go jeszcze nie znasz. Ani moich dzieci, Jane i Rory'ego. Najmłodszy - wskazała na dziecko trzymane na rękę - nazywa się Geordie.

Usiadła z dzieckiem na łóżku.

- Zobacz, jakie kochane maleństwo.

- Bałam się, że wszystko się tutaj pozmieniało - powiedziała Claudia. - Tymczasem jest tu jak dawniej. Nawet ty wyglądasz nadal jak dwadzieścia lat temu. Czas się ciebie nie ima.

- Za to ty się zmieniłaś - przyznała otwarcie Jennifer. - Strasznie wychudłaś.

- Przez to londyńskie życie. Mimo wszystko nie jesteśmy już nastolatkami. Obie mamy po trzydzieści siedem lat.

- Wcale nie mówiłam, że wyglądasz staro. Tylko jesteś

okropnie chuda. I ten makijaż i eleganckie rzeczy trochę nie pasują do wsi - stwierdziła Jennifer. - Powiedz, dlaczego tak nagle zdecydowałaś się tutaj przyjechać? - zapytała. - I nic nie chciałaś mówić. Co się stało?

Nigdy nie miały przed sobą sekretów. Claudia pochyliła głowę i zaczęła odpinać żakiet.

- Chodzi o Gilesa? Prawda?

Claudia poczuła ulgę, że Jennifer wreszcie wypowiedziała to imię.

Jennifer wiedziała o Gilesie. Z listów, a poza tym miała okazję go poznać, jak kiedyś była w Londynie. To było mniej więcej rok po jego rozwodzie. Giles zaprosił je obie na obiad.

- Czy on ma zamiar ożenić się z tobą? - zapytała Jennifer.

Claudia odrzekła wtedy ze śmiechem, że takie rzeczy zupełnie mu nie w głowie, że są po prostu dobrymi przyjaciółmi.

Giles. Przystojny, bogaty, czarujący i straszliwie snobistyczny. Byli kochankami, zachowując jednocześnie swoją niezależność. Wyjeżdżali razem na weekendy i urlopy, bywali razem w towarzystwie. Nigdy jednak nie planowali małżeństwa.

Niestety, praca Gilesa wymagała częstych wyjazdów. Biznesmen, handel zagraniczny, chodziło tu o tego rodzaju rzeczy. Większość czasu spędzał w Nowym Jorku, gdzie miał drugie mieszkanie. Często się zdarzało, że przebywał tam nawet kilka miesięcy. Nigdy nie wiedziała, kiedy można się spodziewać jego powrotu.

- Wróciłem - mówił do niej po prostu. I znowu byli razem. Tak jakby nigdy w życiu się nie rozstawali. Wspólne imprezy w domu Gilesa, które Claudia tak bardzo lubiła organizować, wspólni przyjaciele, obiady we włoskiej restauracji, urokliwe noce na wielkim wygodnym łóżku Gilesa.

Życie nabierało przy nim jasnych barw, znikwały wszystkie problemy. Claudia nie mogła bez niego żyć. Marzyła o tym, że któregoś dnia powie jej, że chciałby być z nią na

zawsze, że jemu też jest bez niej tak bardzo źle. Kiedyś nawet zaplanowała sobie, że to się zdarzy już następnego poranka. A on zadzwonił do niej wtedy, już znad Atlantyku, z pokładu samolotu, że przykro mu, ale musi wrócić do Nowego Jorku w ważnych sprawach służbowych.

Jennifer spojrzała pytająco.

- Tak, chodzi o Gilesa - przyznała Claudia. - Mieliliśmy jechać razem ze wspólnymi znajomymi do Hiszpanii. Już był zarezerwowany hotel, bilety na pociąg i w ostatniej chwili okazało się, że trzeba to wszystko odwołać, bo Gilesa coś zatrzymało w Nowym Jorku.

- Jak długo był tam tym razem?

- Kilka miesięcy. Trzy dni temu miał wrócić.

- Rozumiem.

- To nie wina Gilesa - Claudia próbowała jeszcze go bronić. - On jest straszliwie zapracowany.

- I co? Pisywał do ciebie stamtąd listy?

- Telefonował. Czasami. Ma mało czasu.

- Wygląda na to, że jesteś w nim zakochana. Czy chcesz wyjść za niego za mąż?

- Ja... - Claudia szukała właściwych słów. - Tak. Tak, ja chciałabym wyjść za niego, mieć dom i dzieci. Wszyscy myślą, że jestem ponad to, że bardziej interesuje mnie kariera zawodowa. Ale ja kocham dzieci i boję się, że niedługo będę na to za stara.

- Czy masz pewność, że jesteś dla niego kimś ważnym, a nie po prostu jego londyńską panienką? - zapytała Jennifer z właściwą sobie szczerością.

- Nie wiem - przyznała Claudia. - To jest zupełnie możliwe.

- Nie ufasz mu?

- Staram się nie myśleć o zaufaniu.

- Wiesz, Claudia, zaufanie jest bardzo ważne. Uważaj, żebyś przez niego nie zmarnowała sobie życia.

- Nie potrafiłabym od niego odejść. Byliśmy ze sobą tak długo. Stał się częścią mojego życia. Za długo go kochałam.

- Tak. Jestem pewna, że za długo. Zerwij z nim.

- Nie mogę.

Zapanowało kłopotliwe milczenie, przerwane niespodziewanie przez trzaski drzwi i tupot dziecięcych nóg.

- Mamo! Wróciliśmy! Umieramy z głodu! Mamo! Co jest do jedzenia?

Jennifer westchnęła. Wstała, wzięła dziecko na ręce.

- Muszę przygotować obiad - powiedziała. - Jeszcze będziemy miały okazję spokojnie porozmawiać.

Jennifer wyszła z pokoju. Claudia umyła się, przebrała po podróży, uczesała się. Potem usłyszała warkot silnika i wyjrzała przez okno. Zobaczyła Magnusa wracającego z miasteczka. Spojrzał w górę. Pomachała mu ręką.

- Czy już idziesz na obiad? - zapytał.

- Tak, zaraz tam będę.

* * *

Wzgórze Creagan Hill leżało mniej więcej trzy mile od Inverloss. U podnóża rozciągały się płaskie, dochodzące do brzegu morza, pola i łąki, na których pasły się krowy. Wąziutka ścieżka biegła okrążając pola i prowadziła na kamiennisty szczyt góry, poprzez zarośla i wrzosowisko. Tu właśnie, przy tej ścieżce, rosły jeżyny.

Dzieci Jennifer były zachwycone tą wyprawą.

- Przyjeżdżamy tutaj co roku - tłumaczyła Jane. - I zawsze robimy konkurs, kto zbierze najwięcej jeżyn. W zeszłym roku ja dostałam nagrodę.

- Bo wzięłaś moje jeżyny - stwierdził Rory. Był raczej spokojnym dzieckiem, oczy i włosy niewątpliwie odziedziczył po matce.

- Wzięłam, bo mi je dałeś.

- Bo napełniłem całe wiadro i już nie miałem miejsca na więcej.

- Sądzę, że dzisiaj może tak się zdarzyć, że wszyscy dostaną nagrodę - przerwał Magnus.

- Nawet Geordie?

- A czemu nie?
- Bo on tylko przeszkadza, płacze się nam pod nogami i tylko je, a nie zbiera.
- Rzeczywiście, Geordie może się zmęczyć i nam trochę przeszkadzać. Mam pomysł: pojedźmy dwoma samochodami. Jeśli mały będzie miał dość, zabiorę go do domu, a wy wróćcie z Magnusem.
- Ja chcę jechać z Magnusem. Jego samochodem - powiedziała Jane.
- Ja też - stwierdził Rory.
- Jennifer westchnęła.
- Dobrze, szybko włóżcie talerze do zmywarki i wychodzimy.

* * *

Tak więc Claudia znowu siedziała obok Magnusa w jego samochodzie. Na tylnym siedzeniu Jane i Rory, a zepchnięty przez nich pies miał bardzo niezadowoloną minę.

Jennifer z najmłodszym jechała przed nimi. Posuwali się w iście żółwim tempie i Magnus też musiał jechać dużo wolniej niż rano z Claudią.

Pogoda nadal dopisywała. Claudia patrzyła z przyjemnością na rysujące się przed nią znajome kształty gór, na błyszczące w promieniach słońca morze.

Zjechali z głównej szosy i zapuścili się w płataninę polnych, wąskich drózek. Skręcili jeszcze raz i nagle wyrosło przed nimi Creagan Hill.

Jane i Rory chichotali na tylnym siedzeniu, wyraźnie zadowoleni z wyprawy.

Claudia otworzyła okno, ciesząc się wiatrem niosącym zapach morskich traw i wodorostów. Pomyślała z zadowoleniem, że dobrze się stało, że tutaj przyjechała.

Zaparkowali wreszcie samochód i ostro wzięli się do roboty.

Wiadra napełniały się powoli, ale systematycznie. Usta, języki, dłonie i nawet ubrania nosiły ciemne ślady owoców.

Koło czwartej Geordie wyraźnie miał już dość. Jennifer zdecydowała, że najwyższy czas wziąć go do domu.

- Taki był grzeczniutki - mówiła - tak grzecznie siedział i nie przeszkadzał, jak starsi pracowali, kochane maleństwo.

Ucałowała dziecko i wniosła do samochodu.

- Przygotuję coś do jedzenia - powiedziała. - Magnus, przyjdź także, z przyjemnością cię nakarmię.

- Już mnie karmiłaś dzisiaj - zaśmiał się.

- Chętnie zrobię to jeszcze raz. Poza tym Ronnie na pewno będzie chciał pokazać ci, co dzisiaj złowił.

- Kto jedzie ze mną? - zawołała.

Jane i Rory zdecydowali, że też pojedą razem z matką. O tej porze w telewizji było coś, na czym im zależało.

- A co z wami? - zapytała Jennifer.

Claudia włożyła do bagażnika Jennifer pełne wiadro nzbieranych przez siebie jeżyn.

- Taki piękny dzień - powiedziała. - Nie chciałabym zmarnować ani chwili.

Spojrzała pytająco na Magnusa.

- Może wzięlibyśmy psa na spacer? Okropnie nudził się przez ten czas.

- Dobry pomysł - zgodził się Magnus. - Moglibyśmy wejść aż na sam szczyt. Stamtąd, jak pamiętasz, jest wspaniały widok na całą okolicę.

Poczuła, że właśnie o tym marzyła całe popołudnie.

- Tak, wejdźmy na szczyt - zawołała.

* * *

Jennifer odjeżdżała, dzieci machały im przez okno z taką gorliwością, jakby już nigdy nie mieli się zobaczyć.

- Chodźmy! - zawołała Claudia. - Nie traćmy czasu.

Pies, zachwycony, że w końcu ktoś zwrócił uwagę i na niego, biegał i węszył, szukając królików i machając z radości ogonem.

Claudia czuła wiatr na policzkach i była wdzięczna losowi za chłód świeżego powietrza, za tę wąską ścieżkę wiodą-

cą na szczyt, za zapach wrzosów i cały ten przepiękny spacer. Świeże powietrze napełniło jej płuca, czuła, jak krew szybciej płynie w jej żyłach.

W połowie drogi napotkali bijące malutkie źródelko. Claudia przyklękła, nabrała w ręce wody i napiła się.

Rozejrzała się.

- Nie miałam pojęcia, że jesteśmy aż tak wysoko - powiedziała.

- Nie musimy wchodzić wyżej - przypomniał jej. - Stąd jest najwspanialszy widok.

Miał rację. Było tak pięknie, aż dech zapierało w piersi. W dole błyszczało morze, góry wznosiły się ku niebu, a nieco bliżej pod nimi widać było malutkie z tej odległości domki, farmy, pola i łąki.

I ta cisza. Tylko wiatr gwizdał w szczelinach skał.

- Czy myślisz, że mogłabyś tutaj mieszkać na stałe? - zapytał.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ale Jennifer jest tutaj taka szczęśliwa. Kocha swoją farmę, męża, dzieci... Tylko jakoś nigdy nie myślałam, że i mnie mógłby przypaść w udziale podobny los.

- Życie często okazuje się niespodzianką. Dziwne, że mogliśmy się spotkać tutaj, w połowie drogi na Creagan... Zastanawiam się, czy w ogóle zdawałaś sobie sprawę, jak bardzo byłem w tobie zakochany.

Claudia odwróciła się w jego stronę całkowicie zaskoczona.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Więc nie miałaś o tym pojęcia - uśmiechnął się.

- Miałam wtedy zaledwie siedemnaście lat.

- Byłaś tak piękna, że nie miałem odwagi ci tego powiedzieć. Byliśmy oboje bardzo młodzi, nasze życie dopiero się zaczynało. Miałem twoją fotografię. Pokazywałem ją kolegom i mówiłem, że to moja pierwsza miłość. Powinienem być właściwie powiedzieć „pierwsza i jedyna”.

- Dlaczego mówisz mi to teraz?

- Ponieważ jestem już dość stary, żebym mógł powiedzieć to zupełnie spokojnie, bez fałszywej ambicji.

Claudia opuściła oczy, nie chcąc, by wyczytał w nich jej myśli. Ona też była dość stara, ciągle trzymana w niepewności przez Gilesa. Pomyślała, że powinna jednak skończyć z tamą znajomością. Giles, który przez parę chwil potrafił być cudowny, a potem znikał na tak długo, w sumie nie był wart, żeby miała poświęcić dla niego swoje życie. Pomyślała, że dobrze by było, gdyby mogła to wszystko opowiedzieć Magnusowi, zrzucić ciężar z serca. Nie wiedziała jednak, jak Magnus przyjąłby takie zwierzenia.

Nie, pomyślała. To mogłoby zepsuć przyjaźń. Szczególnie po tym, co powiedział jej przed chwilą.

- Tak - mruknęła. - Fałszywa ambicja zawsze może wiele zepsuć.

- Myślę, że powinniśmy już wracać - powiedział Magnus. - Jennifer na pewno już czeka na nas z kolacją.

* * *

Potem znowu wszystko było w porządku. Podał jej rękę, żeby pomóc przejść, gwizdnął na psa, zeszli w stronę samochodu i znów pełni byli planów na nadchodzący wieczór.

- Muszę kupić wino dla Ronniego. Nie obrazisz się, jeśli zatrzymam się w mieście na chwilę i wpadnę do sklepu? I muszę kupić pokarm dla psa...

W złotym świetle latarni główna ulica Inverloss tętniła życiem. Sklepy ciągle jeszcze były otwarte, rzeźnik, zieleśniak. Włoska kawiarenka zapraszała barwnym neonem. Magnus okrążył kawiarenkę i zatrzymał się przy sklepie spożywczym.

- To nie potrwa długo.

Zniknął w drzwiach sklepu. Claudia przez chwilę jeszcze wyglądała przez okno, potem sięgnęła po gazetę, którą kupiła na stacji i ciągle jeszcze nie miała okazji przeczytać. Popatrzyła z lekkim roztargnieniem na tytuły, na foto-

grafie, ogłoszenia... I nagle...w rubryce towarzyskiej zobaczyła zdjęcie Gilesa.

Ani specjalnie duże, ani dobrze zrobione, niemniej od razu przykuło jej uwagę. Stał obok dziewczyny, którą... trzymał w objęciach. Ona miała długie, gęste włosy, sukienkę z głębokim dekoltem, a w ręku trzymała bukiet kwiatów. On śmiał się, obnażając zęby. Wyglądał na tym zdjęciu nie najlepiej, jakby trochę za gruby, niezgrabny.

Podpis pod zdjęciem brzmiał następująco: *Giles Savours ze swoją młodą narzeczoną, patrz str. 4, rubryka towarzyska.*

To nie może być prawda, taka była jej pierwsza myśl. To jakaś straszna pomyłka.

Poczuła, że jest jej strasznie zimno, że wszystko ma zdrewniałe jakby z mrozu...

To nie może być prawda, pomyślała.

Strona czwarta.

Zapowiedź ślubu i taka informacja:

Giles Savours, lat 44, oraz Debbie Peyton, lat 22, postanowili połączyć się węzłem małżeńskim. Filigranowa Debbie, 148 cm wzrostu, poznała Gilesa zaledwie trzy miesiące temu... Giles, aczkolwiek niezmiernie zapracowany, będzie musiał znaleźć czas...

... Po rozwodzie Gilesa z lady Priscillą Rolands przyjaciele byli pewni, że Giles nigdy już...

Nie mogła czytać dłużej. Było za ciemno i wszystkie litery rozmazywały jej się przed oczami. Giles żonaty. Pomyślała o tym, jak gładko zawsze potrafił przeproszać. Jak mówił teraz niedawno zza Atlantyku:

„Przepraszam, wiesz, coś takiego się wydarzyło, że nie będę mógł szybko wyrwać się z Nowego Jorku. Nie mogę pojechać do Hiszpanii. Jestem pewien, że potrafisz to zrozumieć, zawsze umiałaś zrozumieć takie sprawy. Z pewnością możesz pojechać tam beze mnie... na pewno będziesz się wspaniale bawić... tak, oczywiście... jak tylko będę mógł... ”

I potrafił powiedzieć tylko, że nie będzie miał czasu. Zabrakło mu odwagi, żeby powiedzieć, że żeni się z inną kobietą, tak młodą, że mogłaby być jego córką. Tchórz.

Tak, on teraz był żonaty. Opuścił Claudię na zawsze.

Ciągle czuła drętwotę i zimno. Pomyślała: jestem sparaliżowana z szoku. Siedziała w samochodzie Magnusa, czekając na swoją reakcję, świadoma, że zaraz stanie się z nią coś strasznego, że zemdleje albo będzie wyć z bólu, ale nic takiego się nie zdarzyło.

Zamiast tego miała dziwne wrażenie, że doświadczała zupełnie nieoczekiwanych emocji - ulgi i nawet pewnego rodzaju wdzięczności. Czuła, że to ostatnia, a zarazem najlepsza rzecz, jaką mógł dla niej zrobić Giles. Przeciąć ich więzy, na co ona sama tak długo nie potrafiła się zdobyć.

Wrócił Magnus.

Cisnął papierowe opakowanie z żarciem dla psa na tylne siedzenie i usiadł za kierownicą, umieszczając wielką torbę z zakupami na podłodze pomiędzy nimi. Claudia słyszała stuknięcie butelek. Potem trzask zamykanych drzwi.

- Kupiłem butelkę wina i dla dzieci słodczyce. Przypomniało mi się w porę, że obiecałem im wszystkim nagrody za jeżynowy konkurs.

Claudia nie rozumiała z tego, co mówił. Nie odwróciła się do niego, ale czuła na swojej twarzy jego wzrok.

- Claudia?... Czy coś się stało?

Trwało dobrą chwilę, zanim mogła przecząco pokręcić głową.

- Coś złego?

Spojrzała na gazetę. Delikatnie wyciągnął rękę i wziął od niej pismo.

- Co to jest?

- Mój znajomy...

- Czy coś mu się stało?

Oczywiście obawiał się najgorszego.

- Nie, nie umarł, ani nic z tych rzeczy. Po prostu ożenił się.

- Mówisz o tym mężczyźnie? Giles Savours?

Claudia skinęła głową.

- Twój stary przyjaciel?

- Tak.

- Twój... kochanek?

- Tak.

- Od dawna byliście razem?

- Osiem lat.

Zapadła cisza, w czasie której Magnus czytał to, co Claudia już знаła.

Potem złożył ze złością gazetę i rzucił na podłogę. Upadła gdzieś koło torby z zakupami.

- Czy chcesz mi o tym powiedzieć? - zapytał.

- Tu nie ma nic do powiedzenia i wszystko to zajęłoby zbyt dużo czasu... Może nie teraz. Ale jestem tu właśnie z powodu Gilesa. Mieliśmy jechać razem do Hiszpanii i on odwołał to w ostatniej chwili. Nie powiedział mi dlaczego, tylko że coś mu wypadło.

- Nie wiedziałaś o tamtej dziewczynie?

- Nie, nic o niej nie mówił. Sądzę, że to ja po prostu nie chciałam nic o niej wiedzieć. Nie mogłabym myśleć o nikim. Byłabym wtedy okropnie zazdrosna, a nie ma nic gorszego niż zazdrosna kobieta, baba pełna pretensji do mężczyzny, zepsułabym wtedy wszystko. Lepiej było nie wiedzieć.

- To nie był najlepszy związek - powiedział. - Zasługujesz na coś lepszego.

- To była moja wina, że nie miałam wystarczająco dużo godności, żeby jasno postawić sprawę, żeby wymagać dla siebie szacunku... Ale współczuję mu. Tak mało miał odwagi, że nawet nie potrafił powiedzieć mi o ślubie...

- Ja mu nie współczuję, to jest obrzydliwe.

- Nie wiem. Chyba po prostu jedno z nas musiało z tym skończyć. Sądzę, że od dawna się na to zanosilo... I wiesz co, to przecież ja zostałam porzucona, a mam wrażenie, jakbym uwolniła się od czegoś męczącego, nieprzyjemnego...

Ujął jej dłoń. Wtedy po raz pierwszy odwróciła ku niemu oczy. I wtedy ją pocałował.

- To był ważny dzień - powiedział. - Może pierwszy dzień całej szczęśliwej reszty życia.

- Cieszę się, że byłeś przy mnie i że mogłam ci o tym opowiedzieć - szepnęła.

- Ja też się cieszę.

Potem uruchomił silnik i Claudia uśmiechnęła się. Jak cudownie mieć koło siebie takiego człowieka.

Czerwona sukienka

Miesiąc po pogrzebie doktora Halidaya Jenkins, stary ogrodnik z porytą bruzdami twarzą, przyszedł do Abigail powiedzieć, że odchodzi.

Abigail od pewnego czasu była już na to przygotowana. Jenkins już dawno przekroczył siedemdziesiątkę. Pracował jako ogrodnik u jej ojca ponad czterdzieści lat. Fakt, że spodziewała się jego odejścia, nie mógł jakoś złagodzić ogarniającego ją przerażenia.

Myślała o tym, że teraz nie ma zupełnie nikogo, kto zajęłby się tym pięknym, olbrzymim ogrodem. Przerażała ją wizja siebie samej, niezamężnej, nie wdrożonej do tego typu robót, jak strzyże trawniki, kopie ziemniaki, sieje kwiaty i piele grządki. Wiedziała, czym to się może skończyć. Doskonale mogła sobie wyobrazić zdziczały ogród, pełzające po rabatach krzewy jeżyn, pokrzywy, perz i krzyżownik powoli wdzierające się na grządki i zagłuszające wszystkie delikatniejsze rośliny. Wpadła w panikę. Do licha, jak sobie bez niego poradzę, pomyślała.

- I co ja teraz powinnam zrobić? - zapytała głośno.

- Może... - zaczął Jenkins po długiej przerwie na prze-myślenie sprawy. - Może... mogłaby pani znaleźć kogoś na moje miejsce.

- Myślę, że będę musiała kogoś poszukać - czuła się przeraźliwie niekompetentna w tej sprawie. - Wie pan, jak trudno będzie znaleźć odpowiednią osobę - powiedziała,

ale nie miała już nadziei. - Chyba że zna pan kogoś, kto mógłby pana zastąpić.

Jenkins pokręcił przecząco głową. Zrobił to z godnością, powoli przesuwając podbródek w lewo, a potem w prawo; jak stary koń dręczony przez muchy.

- To będzie trudne. Nie chciałbym oczywiście zostawić pani tutaj samej, ale tak jakoś, gdy zabrakło doktora, nie mam serca tutaj pracować. Dbaliśmy o ten ogród wspólnymi siłami: on i ja. Stary jestem, dokuczają mi reumatyzm. Już od dwóch lat zamierzałem odejść, nie mogłem jednak zostawić doktora samego z tak dużym ogrodem.

Wyglądał na bardziej udręczonego niż kiedykolwiek przedtem. Serce Abigail drgnęło współczuciem. Położyła rękę na ramieniu starego ogrodnika.

- Oczywiście, powinien pan odpocząć. Pracował pan przez całe życie bez wytchnienia. Nadszedł czas, żeby zajął się pan czymś lżejszym. Serdecznie panu dziękuję za wieloletnią pracę dla naszej rodziny. Nie chodzi tylko o ogród. Był pan przyjacielem rodziny tak długo...

Jenkins wymamrotał coś zażenowany i odszedł.

Pracował potem jeszcze miesiąc, bo taki ustalili termin wymówienia, i odjechał aleją, kołyszając się na starym rowe-rze. To oznaczało koniec epoki. Co gorsza, Abigail nie znalazła nikogo na jego miejsce.

- Najlepiej będzie dać ogłoszenie w okienku na poczcie - zasugerowała pani Midgeley. I razem z Abigail napisały parę słów na małej karteczce. Wszystko, co z tego wynikło, to nie budzący za grosz zaufania chłopak na motocyklu. Wyglądał tak podejrzanie, że Abigail nie pozwoliła mu nawet wejść do kuchni. Zbyt przestraszona, żeby powiedzieć, że on jej się nie podoba, skłamała, że już właśnie kogoś znalazła. Odwrócił się ze złością, rzucił kilka wulgarnych słów, jakby chciał jej udowodnić, że jest tak prymitywny, iż miała rację, nie chcąc go zatrudnić, i oddalił się, pozostawiając za sobą smugę spalin.

- Dlaczego nie skontaktujesz się z jakąś agencją ogrodn-

niczą? - zapytała Yvonne, przyjaciółka Abigail, żona Maurice'a, który dojeżdżał do pracy do miasta. Yvonne stanowczo wolała konie niż ogród. Spędzała czas przewożąc dzieci na kucykach od stajni do zagajnika i z powrotem. Jeżeli nie robiła tego, to sprzątała stajnie, czyściła, czesała i karmiła zwierzęta i organizowała dla nich paszę na zimę. - Maurice zawarł umowę z agencją i raz w tygodniu ktoś tam od nich przychodzi i naprawdę nie mogę powiedzieć, że-
bym miała jakikolwiek problem z chwastami.

Ale ogród Yvonne był nieduży - trawnik, kilka starych buków i żonkile. Zawsze był dobrze utrzymany. Nie wytrzymał na pewno porównania z przepięknym ogrodem Abigail, najwspanialszą rzeczą zapisaną jej w testamencie przez ojca. Nie chciała, żeby raz na tydzień wpadał do niej zespół krzepkich facetów z agencji, którzy coś tam może by i potrafili zrobić, a potem wzięliby pieniądze i sobie poszli. Potrzebowała kogoś, kto naprawdę włożyłby w tę pracę całe serce.

- Na pewno pomogłoby, gdyby pani była w stanie zaofiarować pracownikowi mieszkanie - stwierdziła pani Brewer, która dwa razy na tydzień przychodziła do Abigail sprzątać.

- Niestety nie mam letniego domku ani nawet miejsca, w którym mogłabym go zbudować - odparła Abigail. Nawet gdyby miała plac pod budowę, i tak nie zawracałaby sobie głowy czymś takim.

- To by robiło zasadniczą różnicę, gdyby pani miała domek - upierała się pani Brewer. Powtarzała to jeszcze wiele razy, ale oczywiście to w niczym nie pomogło.

* * *

Przez sześć kolejnych tygodni Abigail sama troszczyła się o ogród. Pogoda dopisała i to jeszcze pogorszyło sprawę. Abigail pracowała codziennie aż do zmroku, a robota zdawała się nie mieć końca. Widziała, że mimo jej ciężkiej pracy ogród zaczynał podupadać. Rozsiały się chwasty,

wpełzło na grządki ptasie ziele i perz. Niedaleko znajdował się las, a to powodowało, że jeszcze trudniej było walczyć z chwastami. Opadłe liście przydużyły lawendę. Ogródek warzywny, dawniej oczko w głowie Jenkinsa, leżał teraz odłogiem. Nie było komu poprawić bruzd ani posiać warzyw.

- Może powinnam dać sobie spokój z warzywami i po prostu posiać tu trawę - powiedziała do pani Brewer.

Kobieta oburzyła się.

- To wołałoby o pomstę do nieba. Toć wie pani, ile lat trwało przygotowanie szparagami. I proszę pomyśleć o pasternaku, który przynosił Jenkins. Pani naprawdę potrafiła to gotować.

Silny podmuch wiatru otworzył gwałtownie furtkę, wyrywając ją z zawiasów. Koniecznie trzeba było podciąć powój montana, ale Abigail bała się wchodzić tak wysoko na drabinę. Czowała, że powinna była już w poprzednim tygodniu zamówić torf pod azalie. I zastanawiała się, gdzie w mieście naprawiają kosiarki spalinowe.

Któregoś dnia, wybrawszy się rano do sklepu, spotkała Yvonne.

- Moja droga, zaczynasz wyglądać na przemęczoną - stwierdziła przyjaciółka. - Nie powiesz chyba, że sama zajmujesz się ogrodem?

- A co mi zostało?

- Życie jest zbyt krótkie, żeby tracić czas na takie rzeczy. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Twój ojciec i Jenkins to były unikaty. A ty powinnaś żyć normalnie i mieć trochę czasu dla siebie.

- Tak, masz rację - rzekła Abigail.

Wracając do domu z koszykiem pełnym zakupów zastanawiała się, co teraz powinna zrobić. Pomyślała, że ma już czterdzieści lat i znowu poczuła się tym faktem przygnębiona. Co się stało z marzeniami z dzieciństwa? Wygasły, przeminęły. Pracowała w Londynie, po śmierci matki wróciła do Brookleigh opiekować się ojcem. Znalazła robotę w lo-

kalnej bibliotece. Sześć miesięcy temu ojciec dostał ataku i zmuszona była zrezygnować z tej pracy.

A teraz ojciec już nie żył, a ona miała czterdzieści lat. Abigail pomyślała, że przecież wcale nie czuje się stara, że ciągle jej się wydaje, że nadal ma osiemnaście. I co teraz? Czy powinna przestać chodzić w dżinsach i kupić sobie kilka eleganckich sukienek? A może rzadziej wychodzić na słońce i uważać na zdrowie? Spróbować dokonać w życiu czegoś naprawdę wielkiego czy tak żyć z dnia na dzień jeszcze dziesięć albo dwadzieścia lat?

Takie myśli chodziły jej po głowie, gdy wracała do domu. Kiedy minęła już wybujałą kocierpkę i dochodziła do furtki, nagle wzrok jej padł na leżący na trawie rower. Stary, zniszczony, pomalowany na niebiesko rower, z archaicznym typem siodełka, które wyglądało na wyjątkowo niewygodne. Czyj to mógł być rower?

Nie było nikogo w polu widzenia. Abigail okrążyła dom i wtedy ktoś wyszedł z jej ogrodu.

- Dzień dobry.

Tak ją zdumiało nieoczekiwane pojawienie się tego człowieka, że przez dłuższą chwilę mogła mu się jedynie przyglądać. Miał niezwykle dużo włosów na głowie. Na czubku głowy robiony na drutach beret z czerwonym chwaścikiem. Długa, kudłata broda, luźny, obszerny sweter sięgający niemal do kolan. Do tego poplamione spodnie i niemodne, sznurowane buty.

Podszedł do niej.

- To mój rower.

Zauważyła jeszcze, że to zupełnie młody człowiek i że ledwie widoczne, zasłonięte włosami oczy mają kolor nieba.

- Rozumiem - rzekła Abigail.

- Słyszałem, że potrzebuje pani ogrodnika.

Postanowiła zagrać na zwłokę.

- Kto panu o tym powiedział?

- Moja żona poszła na pocztę i ta kobieta jej mówiła. Przyglądali się sobie.
- Szukam pracy - wyjaśnił.
- Jest pan nowy w tej okolicy. Nie myślę się, prawda?
- Tak. Przyjechaliśmy z Yorkshire.
- Od jak dawna mieszkacie tutaj?
- Mniej więcej od dwóch miesięcy. Wprowadziliśmy się do domku myśliwskiego.
- Domek myśliwski? - w głosie Abigail zabrzmiało przeżalenie. - Sądziłam, że dawno już przeznaczono go do rozbioru.

Mężczyzna uśmiechnął się. Równe, białe zęby zaśliznęły ponad brunatną brodą.

- Ma pani rację. Ale dzięki temu udało nam się zdobyć dach nad głową.

- Co was przywiodło do Brookleigh?

- Jestem artystą - wyjaśnił. Oparł się o framugę kuchennego okna, ręce trzymał w kieszeniach. - Przez pięć lat uczyłem rysunku w szkole średniej w Leeds, ale doszedłem do wniosku, że nigdy nie osiągnę sukcesów malarzkich, jeśli nie rzucę tej posady. Postanowiłem pójść na całość i zająć się wyłącznie malarstwem. Omówiłem tę sprawę z Poppy - to jest moja żona - i zdecydowaliśmy, że warto podjąć próbę. I przyjechaliśmy tutaj, bo chciałem być blisko Londynu. Mam jednak dzieci, które muszą coś jeść, dlatego potrzebna mi jakaś praca dorywcza.

Było coś rozbijającego w jego zachowaniu. Może oczy koloru nieba, może dziwny wygląd. Po chwili Abigail zapytała:

- Czy zna się pan choć trochę na ogrodnictwie?

- Tak, jestem dobrym ogrodnikiem. Ojciec miał kawałek ziemi, kiedy byłem mały. Razem zajmowaliśmy się ogrodem.

- Tu jest bardzo dużo do zrobienia.

- Zauważyłem - powiedział spokojnie. - Zdążyłem trochę się tu rozejrzeć, jak pani nie było. Trzeba podciąć to

pnące przy wejściu, a poza tym zająć się porządnie ogródkiem warzywnym. To są dwie najważniejsze rzeczy, że nie wspomnę już o innych.

- Tak, to jest ogromny ogród i wymaga ogromnego wkładu pracy.

- Ale jest tak piękny, że szkoda by było, gdyby miał się zmarnować.

- Tak - rzekła Abigail i poczuła do nieznajomego szczerą sympatię.

Przez chwilę milczeli, potem on zapytał:

- Czy dostanę tę robotę?

- Jak dużo czasu mógłby pan na to poświęcić?

- Przychodziłbym do pani trzy razy w tygodniu.

- To trochę mało jak na tak duży ogród.

Uśmiechnął się.

- Muszę mieć czas na malowanie. Ale przez trzy dni potrafię zrobić rzeczywiście sporo.

Abigail wahała się jeszcze tylko przez moment.

- W porządku. Umowa stoi. Czy mógłby pan zacząć od poniedziałku?

- Oczywiście. O ósmej rano będę tutaj.

Podniósł rower z trawnika, przełożył nogę ponad niewygodnym siodełkiem...

- Nie wiem, jak pan się nazywa? - przypomniało się Abigail.

- Tammy - odparł. - Tammy Hoadey.

Nacisnął mocno na pedały i odjechał z dyndającym na wietrze chwaścikiem od beretu.

* * *

Gdy ludzie w miasteczku usłyszeli, że zatrudniła Tammy'ego, od razu zaczęły się plotki. Wszyscy oburzali się, że to nikt z miejscowych. Pochodził z dalekiej północy i nikt o nim nic nie wiedział. Wprowadzili się do takiej rudery, która w każdej chwili może runąć. A jego żona wygląda jak Cyganka. Czy Abigail w ogóle wie, na co się zdecydowała?

Abigail zapewniła miasteczko, że jest świadoma tego, co robi.

Najbardziej zgorziona była pani Brewer.

- Ani trochę nie przypomina Jenkinsa. Drugie śniadanie je zawsze na powietrzu i nie o jakiejś określonej godzinie, tylko wtedy, kiedy mu przyjdzie do głowy.

Abigail dużo wcześniej zauważyła, że Tammy bardzo różni się od Jenkinsa, ale nie czyniła żadnych uwag. Przede wszystkim niektóre zwyczaje starego ogrodnika nigdy nie przypadły jej do gustu. Jenkins lubił przesiadywać na odwróconym do góry dnem wiadrze, w ociekającej wilgocią szopie. Tam jadał posiłki i przeglądał gazetę. Nie widziała żadnego powodu, dlaczego od Tammy'ego miałyby oczekiwać czegoś podobnego. Jeżeli człowiek pracuje w ogrodzie, ma prawo lubić świeże powietrze, cieszyć się słońcem.

Powiedziała o tym pani Brewer ze swoją zwykłą szczerością, ale pani Brewer nadal nie lubiła Tammy'ego, podejrzewając go o Bóg wie co.

Minęły dwa miesiące. Furtka została naprawiona. Rabaty kwiatowe oczyszczone z liści. Trawa urosła i Tammy doprowadził ją do porządku, sprawnie posługując się kosiarką. Podwiązał powój, przyciął nadmiernie wybujały rododendron. Przez cały czas, kiedy pracował, gwizdał różne melodie. Arie i kantaty, z trylami i arpeggiami. Dzieła Mozarta, Vivaldiego. Melodie gwizdane przez młodego ogrodnika mieszały się ze śpiewem ptaków i Abigail czuła się tak, jakby miała swoją własną orkiestrę.

I potem niespodziewanie przyszedł do Abigail w środku lipca i oznajmił, że będzie musiał wyjechać na dwa miesiące. Przykro jej się zrobiło i rozłościła się na niego.

- Przecież, Tammy, nie możesz mnie tak porzucać bez ostrzeżenia. Teraz będzie mnóstwo roboty. Trzeba skosić trawę, zbierać owoce...

- Poradzisz sobie - powiedział spokojnie.

- Ale dlaczego odchodzisz?

- Wynająłem się do zbioru ziemniaków. Za to bardzo do-

brze płacą. Muszę oprawić wszystkie moje obrazy, a to będzie straszliwy wydatek. Potem dam je na jakąś wystawę.

- Czy to będzie twoja pierwsza wystawa? - zaciekawiła się.

- Brałem udział w czymś takim w Leeds. Miałem kilka obrazów - rzekł i dodał bez fałszywej skromności: - Ale zaraz potem wszystkie zostały sprzedane.

- Nadal sądzę, że to nie w porządku, że mnie zostawiasz.

- Wrócę - obiecał. - We wrześniu.

* * *

Oczywiście nic nie mogła na to poradzić. Tammy odszedł dokładnie w samym środku lata, kiedy znalezienie kogoś na jego miejsce okazało się zupełnie niemożliwe. W tym krytycznym momencie nie było żadnej nadziei na zatrudnienie kogokolwiek innego. W dodatku, gdy minęła jej pierwsza złość, doszła do wniosku, że nie zależy jej na innym ogrodniku. Nikt nie pracowałby lepiej niż Tammy Hoadey, poza tym - co najważniejsze - bardzo go polubiła. Dwa miesiące bez niego jakoś w końcu przeleciały. Zaczęła oczekiwać powrotu młodego ogrodnika.

Rzeczywiście wrócił. Nie zmieniony, nadal dziwacznie ubrany, chudy, ale jak zwykle pełen uroku.

Gwizdząc zabrał się do grabienia pierwszych opadłych liści. Tym razem był to koncert gitarowy Rodriga.

Abigail, w dżinsach i starej czerwonej bluzie, wyszła, żeby mu pomóc.

Rozpalili ognisko, dym szedł wysoko do nieba. Ich oczy spotkały się.

- Bardzo dobrze ci w czerwonym - powiedział. - Dawniej nie wkładałaś nic w tym kolorze.

- To tylko stara bluza.

- Bardzo dobry kolor.

Wzięła sobie do serca ten komplement. Następnego dnia rano wybrała się po zakupy. Obok sklepu chemicznego znajdował się niedawno otwarty, nieduży butik. W oknie

wystawowym wisiała sukienka. Jedwabna, bardzo prosty fason.

Weszła do sklepu, przymierzyła sukienkę i zaraz potem ją kupiła.

Nie przyznała się Yvonne, jaki był powód tego zakupu.

- Czerwona? - dziwiła się Yvonne. - Przecież ty nigdy nic nie nosisz w tym kolorze.

Abigail przygryzła wargę.

- Czy sądzisz, że to zbyt jaskrawy kolor i że jestem na to za stara?

- No, coś ty! Skądże znowu! Dziwię się, bo to nie pasuje do twojego spokojnego charakteru. Ale dobrze, że kupiłaś. Bardzo się cieszę. Nie możesz zawsze chodzić w takich ponurych rzeczach. Nawiasem mówiąc, mam starą ciotkę, dawno po osiemdziesiątce, która nawet na pogrzeby chodzi w szafirowym kapeluszu z piórami.

- Zupełnie jak ja w czerwonej sukience - zawołała Abigail.

- Nie, nie, skądże znowu!

Zaczęły się śmiać, prawie bez powodu, jak dwie nastolatki.

- Dobrze, że ją kupiłaś - stwierdziła Yvonne. - Niedługo będziemy urządzić przyjęcie. Musisz koniecznie przyjść w tej sukience.

* * *

Niestety, w październiku nie słyszała już pełnego uroku gwizdania. Tammy przychodził do pracy milczący i czymś zmartwiony. Abigail, trochę się bojąc, że wtrąca się w nie swoje sprawy, zebrała się jednak na odwagę i zapytała, co się stało. Powiedział, że Poppy zostawiła go. Zabrała dzieci i pojechała do Leeds do swojej matki.

Abigail zdenerwowała się. Popatrzyła bezradnie na grządkę z ogórkami.

- Całkiem cię zostawiła?

- Nie, nie całkiem. Powiedziała, że tylko na trochę je-

dzie do matki. Ma już po uszy mieszkania w tym walącym się domku i nie mogą jej za to winić. Poza tym martwiła się o dzieci. Najmłodsze bardzo kaszało w nocy. Mówiła, że to przez tę wilgoć.

- I co chcesz teraz robić?

- Nie mogę wrócić do Leeds. Nie mogę teraz mieszkać w mieście. Nie po tym wszystkim.

Wskazał na ogród, na złote liście dębu, na ognisko.

- Ale twoja żona. I dzieci...

- Ona wróci - powiedział bez przekonania. Abigail spojrzała na niego ze współczuciem. A gdy nadeszła pora obiadu, przyniosła mu talerz zupy.

- Jeżeli twoja żona wyjechała, to muszę bardziej dbać o ciebie.

Uśmiechnął się z wdzięcznością i przyjął od niej jedzenie.

Potem, mimo wszystko, Poppy wróciła do Brookleigh z dziećmi, ale Tammy nadal pracował po cichu. Abigail pomyślała sobie, że jeśli nie gwizdał, to znaczy, że nie udało mu się rozwiązać swoich problemów. Zdecydowała jednak, że to sprawa wyłącznie pomiędzy Tammym a Poppy, mężem i żoną, że to jej nie dotyczy i nie będzie się wtrącać.

Jednakże trzymanie się na uboczu okazało się niemożliwe. Już po tygodniu Tammy podszedł do niej i powiedział, że chciałby ją prosić o przysługę. Chodziło o to, żeby Abigail kupiła jeden z jego obrazów.

- Nigdy nie widziałam żadnego z twoich obrazów - powiedziała.

- Przywiozłem jeden, jest na rowerze w bagażniku.

Zanim zdołała ochłonąć ze zdziwienia, Tammy odszedł i powrócił z wielką paczką owiniętą w pomięty, brązowy papier, obwiązaną sznurkiem. Rozpakował i podał Abigail do obejrzenia.

Zobaczyła posrebrzaną ramę, jasne kolory, jakaś procesja dziwacznych postaci, a wszystkie do góry nogami. To było coś zupełnie odmiennego od tych wszystkich obrazów,

które kupował doktor Haliday. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Zarumieniła się.

Tammy patrzył na nią w milczeniu.

- Ile chcesz za to? - zapytała.

- Sto pięćdziesiąt funtów.

- Sto pięćdziesiąt funtów? Tammy, nie jestem przygotowana na taki wydatek.

- A pięćdziesiąt funtów?

- Hm... tak, zgoda, ale...

W końcu musiała mu powiedzieć tę brutalną prawdę.

- ...To nie jest mój ulubiony rodzaj sztuki. Nigdy przedtem nie kupowałam czegoś takiego - dokończyła.

To go na szczęście nie załamało.

- Może w takim razie mogłabyś mi pożyczyć pięćdziesiąt funtów. Obraz zostałby u ciebie do czasu, jak będę mógł ci oddać.

- Zgaduję, że nie zarobiłeś aż tak dużo na wykopkach.

- Wszystko poszło na oprawienie obrazów. I były urodziny naszego najmłodszego. Poppy ma już zupełnie tego dosyć. Powiedziała, że jeśli obrazy nie zaczną wreszcie przynosić zysku, to tym razem na dobre wyniesie się do swojej matki. Nie mogę jej za to winić. Nielekko jej ze mną.

Abigail jeszcze raz spojrzała na obraz. Podobały jej się jasne kolory.

- Wezmę ten obraz.

Wzięła dziwny nabytek i poszła do swojego pokoju po pieniądze. Pomyślała sobie, że jest to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła.

- Nigdy nie zdołam ci się odwdzięczyć.

- Mam nadzieję, że mogę ci zaufać - powiedziała.

* * *

Mniej więcej w porze obiadowej zadzwoniła Yvonne.

- Wpadnij, kochana, robimy przyjęcie dziś wieczorem. Przepraszam, że zawiadamiam w ostatniej chwili, ale sama się dopiero o tym dowiedziałam. Maurice dzwonił z Londy-

nu, że przyjedzie razem ze swoim przyjacielem, który będzie u nas nocował, i pomyślałam, że byłoby miło, żebyś też wpadła.

Abigail nie miała ochoty na żadne przyjęcia. Nie była w odpowiednim nastroju. Problemy Tammy'ego zupełnie wyprowadziły ją z równowagi. Mruknęła coś niechętnie.

- Przepraszam jeszcze raz, że zawiadamiam w ostatniej chwili, ale nie wygłupiaj się - powiedziała Yvonne. - Wkładaj swoją nową sukienkę i przychodź.

Abigail jednak ubrała się w coś innego. Tamta sukienka czekała na coś odświętnego, nie wiadomo na co. Abigail włożyła starą, brązową garsonkę, w której Yvonne widziała ją już wiele razy. Uczesała się, zrobiła makijaż i zeszła na dół. W przedpokoju, na stoliku przy telefonie leżał obraz Tammy'ego. Było w nim coś patetycznego, jak wołanie o pomoc. Przypomniała sobie, co mówił, że musi mieć wystawę. Jeśli ludzie nie będą mogli zobaczyć jego obrazów, to nie ma żadnych szans, żeby je sprzedać. Ludzie muszą wiedzieć, że te obrazy istnieją, pomyślała. I nagle zaświtał jej w głowie pomysł - weźmie ten obraz do Yvonne, może będą chcieli powiesić go u siebie. Wtedy każdy, kto by do nich przychodził, mógłby to obejrzeć, może się komuś spodoba i będzie chciał kupić.

Potem pomyślała, że to złudna nadzieja. Yvonne i Maurice nigdy nie byli mecenasami sztuki, ale i tak warto spróbować.

Włożyła płaszcz, starannie zapięła guziki, wzięła pod pachę obraz i wyszła.

* * *

Przyjaciela Maurice'a nazywał się Martin York. Był niezwykle wysoki, dużo wyższy od Maurice'a i okropnie gruby. Przyjechał z Glasgow, jak opowiadał Abigail, w sprawach służbowych, i oczywiście zamówił pokój w hotelu w Londynie. Maurice przekonał go jednak, że lepiej będzie, jeśli przenocuje u nich.

- Urocze, małe miasteczko - powiedział. - Czy pani też mieszka tutaj?

- Tak, od urodzenia.

- Ma piękny dom i ogromny, wspaniały ogród - wtrącił Maurice i zaraz zapytał ją: - A jak tam twój nowy ogrodnik?

- On wcale nie jest nowy - zaprotestowała. - Znam go już kilka miesięcy. A poza tym... naprawdę on jest artystą malarzem.

Przypomniała sobie, że wzięła z sobą jego obraz.

- Zobaczcie, kupiłam jedną rzecz od niego, może też was zainteresuje.

Yvonne wychyliła głowę z kuchni.

- Ja nigdy w życiu nie kupiłam żadnego obrazu - pochwaliła się.

- Z przyjemnością obejrzymy - stwierdził Maurice, który był bardzo uprzejmy i przyzwyczał się już do tego, że nieraz musiał tuszować nadmiernie szczere uwagi żony.

Abigail przyniosła obraz. Przyglądali się w milczeniu. Abigail zauważyła, że denerwuje się, że bardzo jej zależy, żeby przychylnie ocenili dzieło Tammy'ego, drobne postaci, jasne kolory...

- To wszystko jest do góry nogami - przerwała milczenie Yvonne.

- Wiem o tym.

- Kochana, czy ty naprawdę kupiłaś to od Tammy'ego Hoadeya?

- Tak - skłamała Abigail.

- I ile wylądził za to od ciebie?

- Yvonne! - Maurice oburzył się na żonę. Pytanie wydało mu się stanowczo nazbyt obcesowe.

- Abigail nie jest taka, żeby się na mnie gniewać - stwierdziła Yvonne.

- Pięćdziesiąt funtów - powiedziała Abigail.

- Przecież mogłaś kupić za te pieniądze coś naprawdę dobrego.

- To jest dobre - rzekła z naciskiem Abigail.

Przez dłuższy czas Martin York nic nie mówił. Zdjął okulary, potem znowu włożył. Dokładnie przyglądał się obrazowi.

- I jak się panu podoba?

Znowu zdjął okulary.

- Lubię ten rodzaj malarstwa - powiedział. - Sądzę, że będzie pani zadowolona z tego zakupu.

- Z pewnością - uśmiechnęła się.

- Czy mogłaby pani powtórzyć nazwisko malarza?

- Tammy Hoadey - powiedziała.

W tym momencie Maurice zaczął dolewać wszystkim wina, a Yvonne doszła do wniosku, że pora opowiedzieć o swoim nowym kucu. O Tammym już nikt nie wspominał. I Abigail pomyślała z żalem, że tym razem nie udało jej się pomóc Tammy'emu.

* * *

W poniedziałek Tammy nie przyszedł do pracy. Kiedy już minął cały tydzień, a Tammy nadal się nie pokazywał, Abigail zaczęła dyskretnie o niego wypytywać. Okazało się, że przez ten czas nikt nie widział ani malarza, ani jego rodziny. Abigail wzięła samochód i pojechała do starego domku myśliwskiego. Nikogo tam nie było. Zamknięte drzwi, w oknach opuszczone zasłony, na trawniku porzucona dziecięca zabawka - plastikowy traktor bez jednego kółka.

To było oczywiste. Tammy pojechał do Leeds z żoną i dziećmi. I pomyślała, że już nigdy w życiu nie zobaczy tych pieniędzy. Tak, zaufała mu. I straciła pięćdziesiąt funtów.

Wróciła do domu, rozpakowała obraz i przyniosła go do salonu. Przyjrzała mu się jeszcze raz. Pomyślała, że ci ludzie do góry nogami przypominają jej stare hollywoodzkie komedie muzyczne - ludzi tańczących na suficie. I poczuła się tak, jakby jacyś mili ludzie przyszli do niej w gości.

Martin York miał rację, była zadowolona z tego zakupu. Tammy odjechał, ale zostało po nim coś bardzo cennego.

* * *

Minął miesiąc. Nadeszły chłodne, deszczowe dni późnej jesieni. Po obiedzie Abigail włożyła płaszcz, stary kapelusz, rękawice do pracy w ogrodzie i poszła zabezpieczyć róże przed nadchodzącą zimą.

Naraz usłyszała nadjeżdżający samochód, który zatrzymał się przed jej domem.

Wysiadł z niego obcy mężczyzna, wysoki, elegancko ubrany, lekko siwy, w okularach.

- Dobry wieczór - powiedział. - Przepraszam za kłopot, ale szukam Tammy'ego Hoadeya i ktoś w miasteczku powiedział mi, że może pani będzie mogła mi pomóc.

- Niestety, Tammy już u mnie nie pracuje. Wrócił z żoną i dziećmi do Leeds.

- I nie orientuje się pani, w jaki sposób mógłbym się z nim skontaktować?

- Przykro mi, ale nie zostawił swojego adresu.

Zdjęła ogrodowe rękawice i próbowała poprawić włosy wymykające się spod kapelusza.

- I nie wie pani, czy pan Hoadey wybierze się jeszcze kiedyś do pani?

- Nie wiem. Może już nigdy go nie zobaczę.

- Droga pani, chyba będę musiał wytłumaczyć się. Nazywam się Geoffrey Arland - uśmiechnął się. I chociaż to był smutny uśmiech, od razu gość wydał się dużo młodszy i jakby bliższy.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza wizytówkę i podał jej.

Abigail brudną ręką sięgnęła po wizytówkę.

- Jestem właścicielem galerii - mówił gość. - I jak pani widzi...

- Geoffrey Arland Galleries - przeczytała.

- Wiem - przypomniało jej się. - Byłam u pana cztery

lata temu. Razem z ojcem na wystawie obrazów z epoki wiktoriańskiej przedstawiających kwiaty.

- Naprawdę? To bardzo ciekawa kolekcja...

W tym momencie wiatr powiał jeszcze gwałtowniej i lu-
nął rześisty deszcz.

- Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli pan wejdzie do
środku - powiedziała.

Zaprowadziła go prosto do salonu. Był to ładnie urządzo-
ny pokój, ogień płonął na kominku, a na pianinie i na ko-
minku stały przepiękne kompozycje kwiatów. Na ścianie
wisiła świetlista mozaika obrazu Tammy'ego.

Wchodząc za nią gość od razu zauważył obraz.

- To praca Hoadeya - powiedział.

- Tak - Abigail zamknęła za nimi szklane drzwi i zdjęła
kapelusz. - Kupiłam to od niego. Potrzebował pieniędzy.
Mieszkał z rodziną w rozpadającym się domku przeznaczo-
nym do rozbiórki. Żyli w strasznych warunkach.

- Tylko ten jeden obraz jest w pani posiadaniu?

- Tylko ten.

- I właśnie to dzieło pokazywała pani Martinowi Yorko-
wi?

Abigail zmarszczyła czoło.

- To pan zna Martina Yorcka?

- Tak, to mój dobry przyjaciel. To właśnie on poinformo-
wał mnie o Hoadeyu, ponieważ myślał, że to może mnie za-
interesować. Nie wiedział jednak, że już od dawna poszu-
kuję tego malarza. Widziałem w Leeds kilka jego obrazów,
niestety wszystkie były już sprzedane i nikt nie potrafił mi
powiedzieć, gdzie będę mógł znaleźć autora.

- Pracował u mnie jako ogrodnik - powiedziała.

- Przepiękny ogród.

- Mój ojciec bardzo kochał ten ogród, wtedy było tu
jeszcze piękniej - powiedziała. - Ale umarł na początku
wiosny, a stary ogrodnik powiedział, że bez ojca to on nie
ma serca do tej pracy i odszedł.

- Współczuję pani.

- Oj, tak - uśmiechnęła się. - To ciągle jest dla mnie problem.

- Mieszka pani tu sama?

- Obecnie tak.

- Bardzo trudno podejmować decyzje w takich momentach... mam na myśli, kiedy się straci kogoś bliskiego - powiedział. - Moja żona umarła mniej więcej dwa lata temu i ciężko mi przyszło zdecydować się na przeprowadzkę. Przeniosłem się z domku w St John's Wood do mieszkania w Chelsea. To niezbyt daleko, przyznaję. I tak jednak stanowiło to dla mnie pewien wstrząs.

- Jeśli nie znajdę nowego ogrodnika, myślę, że też będę musiała się przeprowadzić. Nie zniosę tego, żeby codziennie musiała patrzeć, jak ten piękny ogród marnieje i wszystko popada w ruinę.

Spojrzeli na siebie ze zrozumieniem.

- Może napiłby się pan kawy - zaproponowała.

- Nie, dziękuję, naprawdę nie mogę. Muszę już wracać do Londynu. Chciałbym zdążyć, zanim zaczną się na dobre godziny szczytu. Gdyby Tammy wrócił, bardzo proszę się ze mną skontaktować.

- Oczywiście.

Przestało padać. Abigail otworzyła drzwi i wyszli na taras. Nad ogrodem unosiła się złota mgiełka.

- Czy bywa pani czasem w Londynie? - zapytał.

- Tak, chociaż raczej rzadko. Jeżdżę do dentysty do Londynu albo żeby załatwić jakieś inne nudne sprawy tego rodzaju.

- Następnym razem, jak się pani wybierze do dentysty, serdecznie zapraszam do mojej galerii.

- Dziękuję, myślę, że skorzystam z zaproszenia. Przykro mi z powodu Tammy'ego.

- Mnie również - rzekł Geoffrey Arland.

Listopad przeminął, a potem nadszedł grudzień. Ogród leżał szary, zaspany, pod ciemnym, zimowym niebem. Abigail już prawie nie wychodziła na dwór, było na to za zimno. Siedziała w domu i pisała pierwsze świąteczne kartki, kończyła tkanie gobelinu, oglądała telewizję. Pierwszy raz, odkąd umarł ojciec, zaczęła odczuwać samotność.

- W przyszłym roku - powiedziała sobie - skończę czterdzieści jeden lat. I muszę wreszcie zrobić coś ze swoim życiem.

Tym razem było to stanowcze postanowienie.

- Muszę znaleźć sobie robotę w mieście, nowych przyjaciół, jakichś ludzi, których można by zaprosić na obiad. Muszę się sama za to wziąć, to moje własne życie.

Wiedziała o tym, ale w tym momencie nie miała serca wybierać się do miasta i szukać pracy. Zupełnie nie miała energii na podróż do Londynu. Karta, która nadeszła właśnie od Geoffreya Arlanda, przypomniała jej o Tammym. Wetknęła ją za ramę obrazu. Zauważyła, że nagromadziło się tam dużo kurzu... Poczula, że jest tak zła na niego, że mogłaby ten obraz wyrzucić do ognia.

Potem chorowała. Przyplątała jej się nieprzyjemna grypa i Abigail prawie całe trzy dni musiała spędzić w łóżku. Trzeciego dnia obudziła się dość późno. Słyszała jakiś szum, to pani Brewer, która miała swoje klucze do domu Abigail, włączyła odkurzacz i zaczęła sprzątanie. Potem do uszu Abigail dotarł jeszcze jeden dźwięk, coś jakby śpiew ptaka.

Ptak? Zaczęła słuchać uważnie. To zupełnie niemożliwe, żeby ptak gwizdał „Eine Kleine Nachtmusik” Mozarta. Wy-skoczyła z łóżka, podbiegła do okna i obiema rękami gwałtownie odciągnęła zasłony. I zobaczyła pod oknem znajomą postać. Beret z czerwonym chwaścikiem, długi, zielony sweter, sznurowane buty. Patrzył uważnie na ogródek warzywny. Widziała po śladach na zamrzniętym trawniku, że zdążył się już trochę rozejrzeć po ogrodzie.

- Tammy! Co tutaj robisz?

- Wróciłem.

- Wszyscy tu jesteście? Poppy z dziećmi też przyjechała z tobą?

- Nie, oni są nadal w Leeds. A ja znowu uczę w szkole. Ale teraz są ferie i mogłem przyjechać. Zatrzymałem się znowu w tym samym myśliwskim domku. Dobrze pamiętam, że jestem ci winien pięćdziesiąt funtów.

- Nic mi nie jesteś winien. Kupiłam ten obraz i chcę go zatrzymać.

- Cieszy mnie to, ale i tak uważam, że powinienem odpracować mój dług. Myślałaś na pewno, że zapomniałem o tych pieniądzach. Sprzeniewierzyłem i już nigdy nie oddam. Przykro mi, że nie mogłem cię zawiadomić, że wyjeżdżam. Naszemu najmłodszemu pogorszyło się tak gwałtownie, że przestraszyliśmy się oboje z Poppy. Miał bardzo wysoką gorączkę, grypę. Poppy bała się zapalenia płuc, bo w domku myśliwskim jest straszna wilgoć. Pojechaliśmy wszyscy do mojej teściowej i mały na szczęście szybko doszedł do zdrowia, a ja znowu dostałem pracę w szkole. Teraz trudno o jakąkolwiek robotę i musiałem skorzystać z okazji.

- Powinieneś był mnie zawiadomić.

- Nie jestem skory do pisania listów, a telefony w dzielnicy, w której mieszkamy, nieustannie są dewastowane przez chuliganów. Ale powiedziałem Poppy, że na ferie jadę do Brookleigh.

- I co z twoim malowaniem?

- Szkoda wracać do tych dawnych marzeń - westchnął.

- Ale...

- Dzieci są najważniejsze. Poppy i dzieci. Teraz to rozumiem.

- Ale, Tammy...

Zadzwoił telefon.

- Pani Brewer powinna odebrać - powiedziała Abigail.

Dzwonienie jednak nie ustawało, więc zostawiła Tammy'ego i pobiegła do domu.

- Halo.
- Panna Haliday?
- Tak, słucham.
- Mówi Geoffrey Arland...

Abigail przez chwilę zaniemówiła ze zdumienia nad zbiegiem okoliczności.

Wreszcie odzyskała głos.

- Tammy wrócił - powiedziała.

Geoffrey Arland, któremu przerwała w połowie zdania, przez chwilę wydawał się lekko zdezorientowany.

- Przepraszam?

- Tammy wrócił. Tammy Hoadey. Artysta, którego pan szukał.

- I co? Ma pani znowu z nim kontakt? - tym razem głos jego był rzeczowy, jak u człowieka biznesu.

- Tak. Przyjechał dopiero co, raptem dziś rano.
- Czy mówiła mu pani o mojej wizycie w Brookleigh?
- Jeszcze nie miałam okazji.
- Bardzo chciałbym się z nim zobaczyć.

- Przywiozę go do Londynu - obiecała Abigail. - Przyjadę z nim moim samochodem.

- Kiedy?

- Jutro, jeśli nie sprawi to panu kłopotu.

- Czy ma może ze sobą jakieś prace?

- Zapytam go.

- Niech przywiezie wszystko, co ma. Ale jeżeli nie wzięł z sobą żadnych prac, to niech po prostu sam przyjedzie. Bardzo mi zależy na tym spotkaniu.

- Dobrze.

- Zatem do jutra. Czekam na panią już od rana. Proszę przyjechać prosto do galerii. Porozmawiam z Hoadeyem, a potem... Mam nadzieję, że oboje pójdziemy na obiad. Serdecznie zapraszam.

- Będziemy koło jedenastej.

Przez chwilę oboje milczeli. Każde z nich myślało z po-dziwem o niespodziance, zgotowanej im przez los.

- Do widzenia. Dziękuję za telefon - powiedziała Abigail, śmiejąc się szeroko.

- Też dziękuję. I bardzo się cieszę. Z wielu powodów...

* * *

Odłożyła słuchawkę. Przez chwilę stała bez ruchu, zupełnie oszołomiona. Nic się nie zdarzyło, a jednak tak wiele. Na górze pani Brewer nadal męczyła się z odkurzaczem, wszystko pozornie było takie samo. Ale jutro ona i Tammy pojedą razem do Londynu do Geoffreya Arlanda, Tammy pokaże mu swoje obrazy, a ona... włoży czerwoną sukienkę. Kupiła ją właśnie z myślą o takim dniu. A Tammy? W co on się ubierze?

Czekał na nią przy drzwiach.

- Myślę, że mógłbym już teraz skopać grządki - zaczął mówić.

- Daj spokój z grządkami - powiedziała. - Powiedz, czy twoje obrazy nadal są tutaj, czy też zawiozłeś je do Leeds?

- Zostawiłem je tutaj. Nadal są w domku myśliwskim, w którym...

- Ile ich jest?

- Coś koło tuzina.

- Powiedz, czy masz jakiś garnitur?

Spojrzał na nią, jakby podejrzewał, że oszalała.

- Tak, mam garnitur po ojcu. Wkładał go zwykle na porzeby.

- Wspaniale - stwierdziła Abigail. - A teraz stój przez dziesięć minut i słuchaj, co mam ci do powiedzenia. I nie przerywaj.

* * *

Pani Brewer miała nadzieję, że Abigail właśnie w tej chwili wręcza wymówienie swemu ogrodnikowi. Ujrzała go, jak jechał aleją na rowerze, i doszła do wniosku, że przebrał miarkę, nie pokazując się tak długo.

Weszła do kuchni, żeby napełnić czajnik wodą i wtedy zobaczyła ich razem. Abigail gadała jak nakręcona, co

w ogóle nie leżało w jej zwyczaju, a Tammy stał przy niej z głupią miną i słuchał nie przerywając jej ani słowem. Pomyślała, że z całą pewnością Abigail właśnie wyrzuca go z pracy i że wytrzymała z nim już i tak za długo.

Tymczasem zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Tammy nagle rzucił się Abigail na szyję i zaczął ją gorąco całować. Abigail, zamiast oburzyć się na taką poufałość, również zaczęła oddawać mu uściski i pocałunki.

- O Boże, o Boże - szepnęła pani Brewer. - Co tu się jeszcze może wydarzyć?

Przypominasz mi pewną dziewczynę

W kolejce linowej o dziesiątej rano panował taki tłok, jak w londyńskim autobusie w godzinach szczytu. Wagonik skrzypiąc i zgrzytając posuwał się powoli pod jasnym, błękitnym niebem. Nisko w dole widać było pola pokryte grubą warstwą śniegu i wioskę - skupione wokół głównej ulicy maleńkie domki, sklepy i hotele. Dalej znowu wielkie połacie błyszczącego śniegu. Na szczycie Kreislera, a właściwie trochę poniżej, stały mocne drewniane budynki - górna stacja kolejki linowej i kompleks restauracyjny. Przeszkolona frontowa ściana restauracji odbijała promienie słoneczne, jak tajemnicze sygnały wysyłane w świat. Na dachu trzepotały flagi różnych państw.

Z wioski zarówno stacja kolejki linowej, jak i restauracja wydawały się malutkie, ale teraz rosły z każdą chwilą.

Jeannie z trudem przełknęła ślinę. Czowała w gardle przeraźliwą suchość. Żołądek zaciskał jej się z napięciem. Wciśnięta w kąt kolejki przez tłum pasażerów, zdołała wreszcie odwrócić głowę, by spojrzeć na Alistaira, ale on, Anna i Colin zostali oddzieleni od niej w tłoku przy wsiadaniu i stali teraz daleko. Alistaira łatwo było dostrzec, ponieważ był wysoki. Patrzyła na jego przystojny profil i marzyła, żeby się odwrócił i przesłał jej uśmiech. Tak bardzo chciała, żeby właśnie teraz dodał jej wzrokiem odwagi. Niestety, był do niej odwrócony tyłem. Patrzył przez okno na nartostradę. Znała jego miłość do gór i zaintere-

sowanie poranną wycieczką - wspólnym zjazdem ze szczytu Kreislera.

Zeszłego wieczora, gdy w czwórkę siedzieli w hotelowym barze, Jeannie powiedziała:

- Ja nie pojadę.

- Oczywiście, że musisz pojechać. Dopiero wtedy będziesz wiedziała, że jesteś w górach. Tę wyprawę ze szczytu Kreislera organizujemy specjalnie dla ciebie. To przecież wcale nie jest zabawne, że my wszyscy jeździmy na nartach, a ty tyle czasu spędzasz ucząc się podstawowych zwrotów, kręcąc się w kółko na tej oślej łączce.

- Nie jestem dość dobra - próbowała protestować.

- To nic trudnego - stwierdzili zgodnie. - Po prostu taki trochę dłuższy zjazd z góry. Będziemy jechali wolniej, żebyś mogła nas dogonić.

- I będę wam wszystkim psuła wycieczkę. Ja się do tego zupełnie nie nadaję.

- Nie udawaj, że tak mało się cenisz.

- Ja nie chcę pojechać.

- Chyba się nie boisz? - zapytał Alistair.

Było oczywiste, że się przeraźliwie boi, ale nie miała zamiaru przyznawać się, że aż tak bardzo.

- Po prostu nie chcę wam psuć wycieczki. Przecież jeżdżę dużo słabiej niż wy.

- Na pewno nie będziesz psuła wycieczki. Bardzo mi zależy na tym, żebyś z nami pojechała.

Zdumiewające, że zupełnie nie wiedział, co to jest fizyczny strach. Nie był w stanie stwierdzić tego u drugiej osoby, bo w ogóle to pojęcie było mu obce.

- Nie kłóćmy się więcej - poprosił. - Chodź, zatańczymy.

* * *

Teraz, wciśnięta w narożnik wagoniku, zdała sobie sprawę, że on w ogóle zapomniał o jej istnieniu. Westchnęła i odwróciła się znowu do okna. Już sam fakt, że wagonik zawieszony był na tak dużej wysokości, napawał ją przera-

zeniem. Dużo niżej, gdzieś tam daleko na dole, widziała narciarzy, małych jak mrówki, rysujących ścieżki na dziewiczym, świeżym śniegu. Jazda na nartach wyglądała na coś śmiesznie łatwego, ale Jeannie już zdążyła tego spróbować i wiedziała, że to najtrudniejsza rzecz na świecie.

Zegnij kolana, mówił instruktor, trzymaj ciężar na zewnętrznej nodze... W praktyce okazywało się to niewykonalne.

Kolejka dojechała, jeszcze przez moment huśtała się w złotym słońcu, wjechała do zacienionego terminalu i zatrzymała się. Pasażerowie zaczęli wychodzić. Był mróz, jeszcze o kilka stopni zimniej niż w miasteczku na dole.

Jeannie była ostatnią osobą, która wyszła, i niektórzy z pasażerów znajdowali się już daleko poniżej stacji, zdecydowani nie tracić ani chwili tego pięknego poranka, niechętni, by spędzić choćby pięć minut w restauracji przy kubku gorącej czekolady albo parującej szklance Gllihwein.

- Chodź, Jeannie.

Alistair, Anne i Colin zapięli już narty, włożyli gogle i wszyscy troje bardzo chcieli jak najszybciej wyruszyć na trasę. Jej stopy ciążyły jak ołów w twardych narciarskich butach, ślizgały się, jedna narta wjeżdżała na drugą. Zimny powiew powietrza zmroził jej policzki, napełnił płuca aż do bólu.

- Chodź tutaj, pomogę ci.

Z trudem udało jej się dotrzeć do Alistaira. Przysunął się bliżej, pochylił się i dopiął jej wiązania. Czowała, że zupełnie nie potrafi poruszać nogami w twardych ciężkich butach, na ślizgających się we wszystkie strony nartach.

- Wszystko w porządku?

Nie mogła wydobyć głosu. Colin i Anne, biorąc jej milczenie za odpowiedź twierdzącą, uśmiechnęli się życzliwie, kiwnęli jej ręką i odjechali. Lekkie odepchnięcie i znikli w roztaczającej się poniżej bezkresnej przestrzeni.

- Po prostu jedź za mną - powiedział do niej Alistair. - Tak będzie najlepiej.

I także odjechał.

„Po prostu jedź za mną”. Taki właśnie był Alistair. Pojechałaby za nim na koniec świata, ale nie na nartach. To okazało się niemożliwe. Nie potrafiła nic innego zrobić, jak tylko stać tutaj i trząść się ze strachu. W najstraszniejszych snach, w najgorszych przewidywaniach nie mogłaby znaleźć się w okropniejszej sytuacji. Prawdziwy horror, bardziej przerażający niż wszystko inne.

Ale po chwili w miejsce paniki pojawiła się spokojna, zimna decyzja.

Postanowiła wcale nie zjeżdżać z Kreislera. Odepnie narty i pójdzie do restauracji napić się czegoś ciepłego. Potem może wsiąść do kolejki i spokojnie zjechać na dół. Alistair będzie wściekły, ale przestała się tym przejmować. A już inni to w ogóle mogą sobie pomyśleć o niej, cokolwiek zechcą. Nie robiło to na niej żadnego wrażenia.

Czuła się przeraźliwie bezradna. Nie umiała jeździć na nartach i pewnie już nigdy w życiu się tego nie nauczy. Przedtem planowała, że pojedzie jeszcze do Zurychu, ale teraz postanowiła, że wróci do domu.

Nowy pomysł okazał się zupełnie łatwy do realizacji. Odpięła narty, podeszła z nimi do budynku restauracyjnego i wbiła je mocno w śnieg. Kijki postawiła obok nart. Weszła po drewnianych schodkach, pchnęła ciężkie szklane drzwi. Poczowała przyjemne ciepło, zapach sosny i smolonego drewna, dym papierosów i aromat kawy.

Zamówiła sobie filiżankę kawy, przyniosła do jakiegoś pustego stolika. Usiadła, z przyjemnością wciągnęła mocny zapach. Objęła dłońmi filiżankę, przez moment rozkoszując się jej ciepłem. Zdecydowała się na tę odrobinę radości bez żadnego martwienia się, co dalej. Nie chciała myśleć o przyszłości, a już na pewno nie o tym, że utraci Alistaira.

- Czy czeka pani na kogoś?

To pytanie padło znienacka. Zaskoczona Jeannie rozejrzała się i zobaczyła, że przy jej stoliku stoi nieznajomy mężczyzna. Pogrążona w myślach, zupełnie go przedtem nie zauważyła. Doszła do wniosku, że to on musiał zadać to pytanie.

- Nie, jestem sama.

- Czy miałyby pani coś przeciwko temu, gdybym się przysiadł?

Zdziwiła się. Dobre wychowanie kazało jej jednak ukryć zaskoczenie.

- Nie, oczywiście. Proszę bardzo.

Nie chodziło o żaden podryw ani o jakąś tam zaczepkę. Był to mężczyzna raczej w sile wieku, coś w jego wyglądzie nakazywało szacunek, a może i podziw. Zdumiało ją przede wszystkim to, że pojawił się tak znienacka.

On także trzymał w ręku filiżankę z gorącą kawą. Widziała jego oczy błękitne jak niebo, lekko przerzedzone siwe włosy. Miał na sobie szkarłatny sweter i na to granatowo-niebieską kurtkę. Brązowa, ładnie opalona skóra świadczyła, że dużo czasu spędza na powietrzu.

- Piękny dzisiaj poranek - powiedział.

- ... Tak.

- Dziś o drugiej w nocy spadł świeży śnieg. Czy wie pani o tym?

- Nie, nie wiedziałam - potrząsnęła głową.

Przyjrzał jej się uważnie. Jeszcze raz pomyślała o kolo-rze jego oczu.

- Siedziałem przy stoliku przy oknie - powiedział. - Wiedziałem, co się wydarzyło.

Jeannie drgnęła.

Oczywiście aż nazbyt dobrze rozumiała, co ma na myśli.

- Ja... nie wiem, o czym pan mówi.

- Pani przyjaciele zostawili panią, a sami pojechali.

To trochę zabrzmiało jak oskarżenie Alistaira i tamtych i Jeannie odruchowo zaczęła ich bronić.

- Oni nie mieli tego zamiaru. Sądzieli, że pojedą zaraz za nimi.

- I dlaczego pani została?

Od razu przyszło jej do głowy kilka gładko brzmiących wyjaśnień: „lubię jeździć sama”, albo „chciałam napić się kawy” albo „czekam jeszcze na kogoś”. Ale tych niebieskich oczu nie można było okłamać.

- Bałam się - powiedziała.

- Czego?

- Wszystkiego. Wysokości. Śniegu. Tego, że zrobię coś głupiego i zepsuję im przyjemność.

- Od dawna pani jeździ ha nartach?

- Dopiero w tym roku. Przedtem nigdy nie jeździłam. Jestem tutaj już tydzień i cały ten czas spędziłam na oślej łączce z instruktorem, starając się nauczyć.

- I udało się to pani?

- W pewnym sensie tak. Ale może mam złą koordynację ruchową albo straszny ze mnie tchórz. To znaczy: potrafię zjechać slalomem w dół, skręcić w lewo, w prawo, zatrzymać się i takie różne rzeczy. Nigdy jednak nie wiem, czy nie upadnę na plecy, denerwuję się, jestem spięta, i chyba właśnie przez to się przewracam. Poza tym wydaje mi się, że mam lęk przestrzeni. Nawet w kolejce linowej czułam się strasznie.

Nie skomentował tego.

- Sądzę, że pani przyjaciele są dobrymi narciarzami.

- O, tak. Oni od dawna razem tu przyjeżdżają. Alistaira przywozili tutaj rodzice, jak był zupełnie małym chłopcem. On uwielbia to miasteczko i zna tu prawie wszystko.

- Alistair jest pani przyjacielem?

- Tak - trochę poczuła się zakłopotana.

Uśmiechnął się i nagle rozmowa z nim zrobiła się nadzwyczaj łatwa. Było to jak zwierzenie się obcemu, poznanemu na przykład w pociągu, komuś, kogo nigdy więcej się nie zobaczy.

- To naprawdę cudowne, jak wiele mamy ze sobą wspól-

nego, śmiejemy się z tych samych rzeczy... A teraz właśnie się tak stało. Zawsze wiedziałam, że chcę być z nim, stanowić część jego życia, być dla niego kimś ważnym. I muszę jeździć na nartach, ponieważ to jest jedyna jego pasja, to, co najbardziej lubi. Tymczasem ja nigdy nie byłam w tym najlepsza. Moja koordynacja ruchowa budzi wiele zastrzeżeń. Myślę jednak, że narciarstwo znaczyłoby dla mnie to samo, co dla niego, gdybym tylko potrafiła się nauczyć. I kiedy Alistair zaproponował, że razem zjedziemy z Kreislera, aż podskoczyłam z radości na myśl, że zrobimy to wspólnie. Teraz jednak okazało się, że to dla mnie za trudne.

- Czy Alistair wiedział o tym wszystkim?

- Nie tak łatwo byłoby mu o tym powiedzieć. On, jak mówiłam, jeździ na nartach niemal od urodzenia i wielu spraw mógłby nie rozumieć. Poza tym chciałam, żeby myślał, że cieszę się tym tak samo jak on, żeby sądził, że to jest nasza wspólna rzecz, a nie coś, co nas różni.

- Zatem jazda na nartach nie sprawia pani przyjemności?

- Nie. Nienawidzę tego. Miałam przez to zepsute wszystkie wieczory, ponieważ cały czas zastanawiałam się, czy następnego dnia uda mi się tak zjechać, żeby się nie przewrócić.

- Jak już pani wypije kawę, w jaki sposób chce się pani dostać z powrotem do miasteczka?

- Po prostu zjadę na dół kolejką.

- Rozumiem.

Zastanowił się przez chwilę, a potem powiedział:

- Napijmy się jeszcze kawy i razem zastanowimy się nad tą sprawą.

Jeannie nie miała zamiaru zastanawiać się nad tym. Niemniej propozycja wypicia jeszcze jednej filiżanki kawy wydała jej się kusząca.

- Dobrze - powiedziała.

* * *

Podeszli do baru i jeszcze raz napełnili filiżanki gorącą kawą. Potem wrócili do stolika.

- Przypominasz mi pewną dziewczynę, którą kiedyś znałem - powiedział nieoczekiwanie. - Podobnie wyglądała i jej głos brzmiał prawie tak samo. I była tak samo przestraszona.

- I co potem się z nią stało? - zapytała mieszając kawę. Dobrze by było całą sprawę obrócić w żart. - Zjechała na dół kolejką linową? I potem musiała wrócić do domu, bo wszyscy narciarze wyśmiewali się z niej? Pytam tak, bo jeśli przytrafiło jej się coś podobnego jak mnie, to też mogło tak się skończyć.

- Nie, tak się nie stało. Spotkała kogoś, kto potrafił ją zrozumieć. Trochę jej pomógł, trochę dodał odwagi.

- Mnie potrzeba by było czegoś więcej. Spotkać czarodzieja, który mógłby dokonać cudu.

- Przesada.

- Nie, ja naprawdę jestem strasznym tchórzem.

- Nie trzeba się wstydzić. To żadna odwaga zrobić coś, przed czym ani trochę nie czuje się strachu. Pokonywanie prawdziwego lęku dopiero jest bohaterstwem.

Kiedy to mówił, drzwi restauracji otworzyły się i wszedł jakiś mężczyzna. Rozejrzał się uważnie wokół, a potem podszedł prosto do ich stolika. Zatrzymał się. Ściągnął z głowy wełnianą czapkę z wyrazem jakiegoś bezmiernego szacunku na twarzy.

- Przepraszam, panie komandorze.

- O co chodzi, Hans?

Rozmawiali przez moment po niemiecku i sprawa, cokolwiek to było, niechybnie została wyjaśniona. Mężczyzna skinął głową Jeannie. Pozdrowił ją i odszedł.

- O co chodzi? - zapytała.

- To był Hans, pracownik kolejki linowej. Jakiś młody człowiek telefonował tu z wioski, chcąc się dowiedzieć, czy ci się nic nie stało. Niepokoił się, że mogłaś się przewrócić. Hans cię szukał. Poznał cię z opisu twojego przyjaciela.

- I co mu pan powiedział?
 - Prosiłem, żeby odpowiedział, że nie ma powodu do niepokoju. Będziemy na dole w stosownym czasie.
 - My?
 - My, ale nie w wagoniku kolejki. Razem zjedziemy na nartach z Kreislera.
 - Ja nie mogę.
- Nie skomentował tego, natomiast po chwili zapytał:
- Czy jesteś zakochana w tym młodym człowieku?
- Nigdy przedtem nie zastanawiała się nad tym na poważnie. Teraz jednak, gdy ją o to zapytał, wiedziała, jak wygląda prawda.
- Tak - powiedziała.
 - Czy chcesz go stracić?
 - Nie.
 - Zatem zjedziemy razem już teraz, zanim któryś z nas zmieni zamiar.

* * *

Na zewnątrz nadal było mroźno, ale słońce wspięło się wyżej na niebo i sople lodu zwisające z okien i dachu restauracji zaczęły odmarzać i ociekać wodą.

Jeannie włożyła czapkę i gogle, zapięła narty. W obu dłoniach trzymała kijki. Jej nowy przyjaciel od dawna już był gotowy, czekał na nią cierpliwie i spokojnie. A teraz razem podeszli do krawędzi stromego zbocza. Spojrzała w dół. Przed nimi jak srebrne wstęgi lśniły ślady pozostawione przez narciarzy. Daleko, dużo niżej, widziała domy, śmiesznie małe z tej odległości, jakby miasteczko dla lalek.

- Jak pięknie - powiedziała po raz pierwszy.
- Podziwiał to piękno. To wielka zaleta jeżdżenia na nartach, że można się zatrzymać i patrzeć. Dzisiejszy dzień ma zresztą wyjątkowy urok. Czy jesteś gotowa?
- Nie bardziej niż zwykle.
- Czy już możemy ruszać?
- Czy mogę przedtem zapytać o jedną rzecz?

- O co?

- Co się stało z tą dziewczyną, o której pan mówił? Z tą, która tak samo jak ja bała się zjechać.

Uśmiechnął się.

- Ożeniłem się z nią - powiedział.

Potem zjechał na dół po stromym zboczu, spokojnie, łagodnymi zakosami, robiąc zwroty bardzo wolno, żeby nie bała się, że jej ucieknie i zostanie tu sama, bez żadnej pomocy.

Jeannie wzięła głęboki oddech, zacisnęła zęby, odepchnęła się kijkami i pojechała za nim.

* * *

Na początku, jak zwykle, była sztywna ze strachu, ale z każdą następną chwilą rosła jej pewność siebie, wiara we własne siły. Trzy zwroty i ani razu się nie przewróciła. Poczowała, że krew szybciej krąży jej w żyłach, że robi się ciepło. Rozluźniła mięśnie, przedtem napięte z przerażenia do granic wytrzymałości. Słońce grzało jej twarz, upajał pęd świeżego, mroźnego powietrza. Narty zgrzytały o śnieg, ten dźwięk był przyjemny dla ucha. Krawędzie nart manewrowały, niemal same bez jej wysiłku, skręcały, gdzie trzeba, jak zaczarowane.

On nigdy nie wyprzedzał jej zanadto. Wielokrotnie zatrzymywali się razem, żeby mogła na chwilę odpocząć. Czasami udzielał koniecznych wyjaśnień.

- To jest wąska ścieżka między drzewami. Prowadź narty w koleinach, po prostu jedź po śladach, wtedy będziesz zupełnie bezpieczna...

Albo:

- Droga prowadzi pozornie nad krawędzią przepaści, ale to tylko złudzenie, ponieważ nachylenie zbocza...

Po tych wyjaśnieniach już nic nie wydawało się ani trudne, ani tym bardziej straszne. Gdy zbliżyli się do miasteczka, trzeba było uważać na inne rzeczy. Przejeżdżali przez wąskie mostki i bramy gospodarstw.

Potem nagle, zupełnie niespodziewanie, stwierdziła, że wjechali już na dobrze jej znane zbocze góry, że są właśnie na tej oślej łączce, na której przedtem codziennie ćwiczyła z instruktorem zwroty. I teraz już jazda wydawała jej się śmiesznie łatwa w porównaniu z tym, co było przedtem. Jeannie zjechała w dół zakosami, zupełnie swobodnie, rozkoszując się prędkością i tym, że narty robią dokładnie to, co potrzeba. Dumna, podekscytowana, wzruszona. Udało się. Dokonała tego. Zjechała z Kreislera.

Teraz droga szła już bardzo łagodnie w dół. Szkółka narciarska, a zaraz potem malutka kawiarenka, do której zawsze chodziła po nartach na filiżankę gorącej czekolady. Tutaj nieznajomy czekał na nią, zrelaksowany i uśmiechnięty. Szczęśliwy tak jak ona i jednocześnie rozbawiony jej szczęściem.

Zatrzymała się przy nim. Spojrzała z uśmiechem, tak bardzo szczęśliwa.

- Myślałam, że to będzie okropne, a to okazało się zupełnie fantastyczne.

- Zrobiłaś to bardzo dobrze.

- Nawet ani razu się nie przewróciłam, nie mogę tego zrozumieć.

- Przewracałaś się tylko dlatego, że się denerwowałaś, teraz nie będziesz już nigdy przewracać się z tego powodu.

- Nie starcza mi słów, żeby panu wystarczająco podziękować.

- Nie musisz mi dziękować, ja też bardzo się cieszę, że się nam udało, i jeśli się nie mylę, twój młody człowiek właśnie idzie tu do nas.

Jeannie odwróciła się i zobaczyła, że to rzeczywiście był Alistair. Wynurzył się z drzwi kawiarenki i schodził po drewnianych schodkach, a potem biegł ku niej przez śnieg. Miał wyraz ulgi na twarzy, uśmiechał się.

- Jeannie! - zawołał. - Zjechałaś wspaniale. Obserwowałem cię, jak jechałaś ten ostatni odcinek, to było naprawdę bardzo dobrze.

Powiódł wzrokiem nad jej głową i ujrzał nieznanego, który przyszedł jej z pomocą. Jeannie pomyślała, że gdyby miał czapkę, też szybko ściągnąłby ją z głowy. Ujrzała na twarzy Alistaira ten sam wyraz bezmiernego szacunku co przedtem u Hansa, pracownika kolejki, który podszedł do ich stolika, żeby przekazać wiadomość.

- Pan komandor Manleigh! - powiedział z niedowierzaniem. - Przepraszam, w pierwszej chwili nie poznałem pana, zupełnie nie wiedziałem, że pana można spotkać w tych stronach... To prawdziwy zaszczyt dla mnie, że mogłem poznać pana osobiście.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- To dla mnie zaszczyt, że mogłem poznać tę czarującą damę. Przepraszam, nie znam pańskiego nazwiska.

- Alistair Hansen. Tyle razy z przyjemnością obserwowałem, jak pan jeździ na nartach. Mam kilka pańskich zdjęć przypiętych do ściany w moim pokoju.

- Cieszę się, że pana spotkałem.

- To bardzo miło z pana strony, że pomógł pan Jeannie zjechać na dół. Hans ze stacji kolejki przekazał mi wiadomość od pana. Dopiero w połowie drogi spostrzegłem, że jej nie ma z nami. Było za późno, żebym mógł cokolwiek zrobić.

- Spotkałem Jeannie w restauracji, zmarzła trochę i weszła napić się czegoś ciepłego.

- Bałem się, że upadła.

Komandor Manleigh odpiął narty i powoli zaczął je zdejmować. Podniósł je, zarzucił wprawnym ruchem na ramię, wstał, wyprostował się.

- Nie powinna była pozwolić panu jechać na dół - zaśmiał się. - Teraz muszę już iść. Do widzenia państwu. Jeannie, życzę powodzenia!

- Dziękuję, jeszcze raz dziękuję, że był pan tak miły! - zawołała.

- Proszę uważać na nią - powiedział jeszcze do Alistaira.

I odszedł swoją drogą. Wysoki, siwiejący mężczyzna.

* * *

Jeannie zdejmowała swoje narty.

- Kto to jest? - koniecznie chciała wiedzieć.

- Bill Manleigh, chodź, chodźmy już, napijemy się czegoś, odpoczniesz i wszystko mi opowiesz.

- Kto to jest Bill Manleigh?

- Nie mogę uwierzyć, że nigdy o nim nie słyszałaś. To jest jeden z najlepszych narciarzy, jacy kiedykolwiek istnieli. Kiedy on już był za stary, by samemu uczestniczyć w zawodach, trenował naszą olimpijską drużynę. Tak więc widzisz, moja droga, zjechałaś z Kreislera z prawdziwym mistrzem.

- Nie wiedziałam tego, zauważyłam tylko, że był wyjątkowo miły. I, Alistair, nie dlatego weszłam do restauracji, że zmarzłam, tylko okropnie się bałam zjechać za tobą. Powinieneś o tym wiedzieć.

- Powinnaś była powiedzieć mi o tym.

- Nie mogłam, tak bardzo się bałam, że nie byłam w stanie wykrztusić ani jednego słowa. Wiedziałam tylko, że nie pokonam tego strachu. Poszłam napić się kawy i on podszedł do mnie. Zapytał, czy na kogoś czekam. I wcale nie mówił, kim jest. W ogóle nic o sobie nie mówił, oprócz tego, że jest żonaty.

Alistair wziął od niej narty, zarzucił sobie na ramię. Podał jej rękę. Skierowali się w stronę kawiarenki.

- Tak, on był żonaty - powiedział. - Z bardzo sympatyczną dziewczyną. Lubilem patrzeć na nich, jak jeździli razem na nartach, i myślałem, że muszą być najszczęśliwszą parą na świecie. Byli tak dobrymi przyjaciółmi, zawsze uśmiechnięci, zachowywali się tak, jakby nie potrzebowali nikogo innego oprócz siebie nawzajem.

- Tak mówisz, jakby to była przeszłość.

- Bo niestety tak jest - doszli do drewnianego budynku kawiarenki i Alistair przystanął, by wbić narty w śnieg. - Ona umarła w zeszłym roku w wakacje. Utonęła, czytałem o tym w gazetach. Żeglowali z przyjaciółmi w Grecji i wy-

darzył się nieszczęśliwy wypadek. Mocno to przeżył i teraz musi być bez niej bardzo samotny.

Jeannie spojrzała w dół ulicy, którą odszedł, ale już zniknął w tłumie turystów. Przez chwilę czuła takie drapanie w gardle, jakby zbierało jej się na płacz. Oczy zaszczyły jej łzami. Taki miły człowiek, prawdopodobnie już nigdy w życiu go nie spotka i ma wobec niego ogromny dług. Nigdy o nim nie zapomni - „przypominasz mi pewną dziewczynę, którą kiedyś znałem”.

- Myślę jednak, że nic ci nie mówił o tym wypadku - powiedział jeszcze Alistair.

Trzymając się za ręce, weszli razem po drewnianych stopniach do kawiarenki i pomyślała wtedy, że jednak nie będzie płakać.

- Nie - powiedziała. - Nic mi o tym nie mówił.

Wzywać dobre wiatry

Był sobotni poranek. Przez zielone korony drzew prześwi-tywały złote pasemka słonecznych promieni. Ponad ciemno-niebieską linią morza wiatr gnał po niebie białe obłoki. Cienie przebiegały po wzgórzach, jakby bawiły się w berka.

Jenny Fairburn wracała do domu na obiad, po długim spacerze z dwoma psami. Była już porządnie zmęczona. Odbyła długą wędrowkę - do jeziora i z powrotem. Jeszcze kawałek piaszczystą, wiejską drogą z wyłobionymi głębokimi koleinami. Dom jej rodziców, uroczy, stary dworek, stał niedaleko bardzo już zniszczonego kościoła i osłonięty był z północy od wiatru rzędem sosen. Okna wychodzące na południe bez żadnych przeszkód chwytały promienie słońca i ciepłe wiatry.

Światło odbite od szyby dotarło do jej oczu, jakby sygnał naumyślnie przesłany dla niej z domu. Jenny pomyślała o obiedzie, ponieważ była nie tylko zmęczona, ale i głodna. Wiedziała, że na obiad będzie pieczeń barania, i na samą myśl o tym ciekła jej ślina. To było bardzo dziecinne.

A naprawdę Jenny miała już dwadzieścia lat - wysoka, szczupła dziewczyna, z jasnymi włosami o lekko rudawym odcieniu, o jasnej karnacji, którą odziedziczyła po dziadku ze strony matki - prawdziwym szkockim góralu, poza tym miała ciemne oczy i wąski, zgrabny nosek, a usta szerokie i wyraziste. Kiedy była szczęśliwa, wesoła, śmiech rozjaśniał jej twarz i wyglądała naprawdę ładnie. A gdy

czuła się złamana życiem i głęboko nieszczęśliwa, uroda jej gdzieś zniknęła i wówczas Jenny stawiała się trochę nijaka, a trochę nadąsana.

Weszła do domu od ogrodu, przez otwartą werandę. Od razu zdjęła zabłocone buty i dała psom pić. Potem usłyszała głos matki, prawdopodobnie plotkującej przez telefon, ponieważ ojciec spędzał poranek na polu golfowym i na pewno jeszcze nie wrócił do domu, w przeciwnym razie widziałaby stojący w garażu jego samochód. W skarpetkach pobiegła do kuchni zobaczyć, czy pieczeń już jest dobra. Wyglądało na to, że mięso zdążyło się właśnie upiec, a pyszny sos, przygotowany przez matkę, najcudowniej w świecie pachniał miętą.

- ...jak miło z twojej strony... - dobiegł ją głos matki.

Podeszła do niej. Matka odwróciła się i uśmiechnęła tajemniczo.

- ... Tak, dobrze... - mówiła do słuchawki. - O szóstej trzydzięści... My wszyscy.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do córki.

- Czy miałaś miły spacer? - zapytała, kierując się jednocześnie w stronę kuchni.

To zabrzmiało podejrzanie troskliwie. Jenny lekko się najeżyła. Na wszelki wypadek.

- Z kim rozmawiałaś przez telefon?

Pani Fairburn otwierała właśnie drzwi piecyka. Na chwilę zamarła bez ruchu przerywając oględziny pieczeni baranej. Gorące powietrze z sykiem wydostało się z piecyka.

- Z Daphne Fenton.

- Czego chciała?

Pani Fairburn domknęła drzwiczki i wyprostowała się.

- Zaprosiła nas wszystkich na dziś wieczór.

- Na uroczystość?

- Na żadną uroczystość. Fergus przyjechał do domu na weekend i Daphne zaprasza kilka osób na drinka. Szczególnie zależy jej na twojej obecności.

- Nie chcę tam iść - powiedziała Jenny.

- Obawiam się, kochanie, że powinnaś.
- Możesz powiedzieć, że mam jakieś inne plany.

Matka odwróciła się w jej stronę.

- Wiem, jak boleśnie to odczułaś, i wiem, jak bardzo go kochałaś. Ale to była pierwsza miłość, to przechodzi jak odra i już jest po wszystkim. Pobiorą się z Rose w przyszłym miesiącu. I dlatego musisz teraz wszystkim pokazać, że potrafiłaś przyjąć to do wiadomości.

- Przyjmę, jak się pobiorą, ale się jeszcze nie pobrali, a ja nie lubię Rose.

Usłyszały samochód pana Fairburna wjeżdżający na drogę i skręcający ku bramie.

- Ojciec przyjechał. Na pewno głodny.

Pani Fairburn pogładziła dłoń córki.

- Muszę doprawić jeszcze sos do pieczeni.

Po obiedzie, gdy już naczynia zostały umyte i kuchnia lśniła czystością, wszyscy rozeszli się do swoich zajęć.

Pan Fairburn przebrał się i poszedł do ogrodu grabić liście.

Pani Fairburn kończyła szycie nowych firanek - już od miesiąca próbowała uporać się z tą robotą.

Jenny postanowiła pójść na ryby. Przygotowała wędkę i pudełko na przybory. Włożyła starą kurtkę wędkarską ojca i kalosze. Stanowczo powiedziała psom, że tym razem nie pójdą na spacer.

- Czy będę mogła wziąć twój samochód? - zapytała matkę. - Wybieram się nad jezioro. Może uda mi się coś złapać.

- Przydałyby mi się trzy duże pstrągi. W sam raz na kolację.

Jenny wzięła samochód. Podjechawszy do jeziora ujrzała nieruchomą, brunatną masę wody, gładką, niemal niezmaczoną taflę. Wiatr ucichł zupełnie.

- Jak na ryby woda jest zbyt spokojna - zwykł mawiać Fergus. - Musimy gwizdaniem poprosić o wiatr.

Prawie dwa kilometry jechała wzdłuż jeziora trawiastym traktem prowadzącym w dół ku wodzie. Skręciła z drogi po-

zwalając, by nieduży, sfatygowany samochód obijał się, podskakiwał na wybojach, sunąc z trudem poprzez kępy trawy, wrzosy, zaschnięte grudki torfu.

Zaparkowała kilka stóp od brzegu. Wyjęła z samochodu wędkę i pudło z przyborami. Zeszła w dół do małej łodzi wiosłowej wyciągniętej z wody na kamienisty brzeg.

Ale nie zrobiła tego od razu. Przez jakiś czas stała na brzegu wsłuchana w ciszę. To zresztą wcale nie była cisza, tylko niegłośny szum, drobne pomruki, bzyczenie pszczół, dochodzące z oddali beczenie owiec, westchnienie wiatru, szmery, szepty wody, chrobot kamyków miarowo poruszanych przez delikatną falę.

Trzeba będzie wezwać dobre wiatry, pomyślała Jenny.

* * *

Fergus. Ten mężczyzna był częścią jej życia. Należał do niej od zawsze, odkąd była małą dziewczynką. Chłopak w połatanych dzinsach zbierający muszelki na plaży, młody człowiek ubrany w szkocką spódniczkę spacerujący po górach, a potem dorosły, niezwykle przystojny mężczyzna, atrakcyjny jak żaden inny, z gładkimi ciemnymi włosami i oczami tak błękitnymi, jak jezioro w pogodny, letni dzień.

To właśnie on był tym przyjacielem, z którym mogła się sprzeczać, a potem śmiać się, raz był jej sojusznikiem, raz przeciwnikiem i w końcu okazał się - wiedziała o tym - jedynym mężczyzną, którego mogła pokochać.

Fergus był starszy od Jenny o sześć lat, co oznaczało, że miał teraz dwadzieścia sześć. Jego rodzice, państwo Fentonowie, mieli farmę w Inverbrue, w odległości czterech kilometrów od domu, w którym mieszkała. Przyjaźnili się, odkąd sięgała pamięcią, z jej rodzicami.

- On jest jak brat - mawiali często najbliżsi.

Jenny była wtedy tylko dzieckiem. Wiedziała jednak, że to nieprawda. Nigdy tak nie było. Który brat miałby tyle cierpliwości, żeby marnować tak wiele godzin i spędzać ty-

le czasu na wodzie, ucząc małą dziewczynkę łowić ryby? Który brat bawiłby się na prywatce z taką smarkulą, kiedy pokój pełen był starszych, pięknych i czarujących dziewcząt?

Kiedy Jenny posłano do renomowanej szkoły w Kent, której tak bardzo nienawdziła, rozpaczliwie tęskniąc do szkockich gór i do jeziora, to właśnie Fergus wytłumaczył jej rodzicom, że Jenny równie dobrze mogłaby uczęszczać do lokalnego ogólniaka - Creagan High School. I że będzie wtedy milion razy szczęśliwsza.

Pewnego dnia wymyśliła, że kiedyś się pobiorą. Ona i Fergus.

- On zakocha się we mnie - marzyła. - Weźmiemy ślub i potem pojedę cztery kilometry do Inverbrue gospodarować z nim na farmie.

Ta szczęśliwa wizja przyszłości została lekko przyémiona przez decyzję Fergusa, który stwierdził, że nie będzie się zajmował farmą swojego ojca. Zamiast tego pojechał do Edynburga kształcić się na dyplomowanego księgowego.

Tak więc ciche plany Jenny dotyczące ich obojga musiały ulec zmianie. Teraz wyglądały następująco:

- Pewnego dnia on zakocha się we mnie - marzyła. - Weźmiemy ślub i zamieszkam razem z nim w Edynburgu. Kupimy mały domek na Ann Street i będziemy chodzić razem na koncerty symfoniczne.

Myśl o mieszkaniu w Edynburgu była prawdę powiedziawszy lekko przerażająca. Jenny nienawdziła miast, może oprócz właśnie Edynburga, który leżał stosunkowo blisko domu. Mogliby na weekendy przyjeżdżać w rodzinne strony.

Fergus jednak nie został w Edynburgu. Gdy już zdobył odpowiednie kwalifikacje, poprosił o przeniesienie do głównego biura swojej firmy do Londynu. Londyn? Pierwszy raz Jenny miała odrobinę wątpliwości. Czy potrafiłaby mieszkać tak daleko od tego, co kochała? Od swoich gór i jeziora?

- Dlaczego nie pojedziesz do Londynu? - zapytała matka, kiedy Jenny skończyła szkołę. - Mogłabyś tam pójść na studia, możesz wynająć tam pokój.

- Nie zniosłabym tego. To byłoby gorsze niż Kent.

- A może Edynburg? Wyjazd na trochę z domu dobrze by ci zrobił.

* * *

Zatem Jenny pojechała do Edynburga i chodziła na kurs stenografii i pisania na komputerze, uczyła się francuskiego i często chodziła do galerii, a kiedy tęsknota za domem dokuczwała zbyt mocno, wspiniała się na Arthur's Seat i wyobrażała sobie, że to wierzchołek Ben Creagan. Przed Wielkanocą ukończyła kurs i ze świadectwem w ręku myślała o powrocie do domu. Fergus prawdopodobnie też przyjedzie do domu na święta i ciekawe, czy zauważy w niej jakąś zmianę.

Na pewno spojrzy na nią, jak to opisują w książkach, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu, a potem może zauważy, że to właśnie Jenny, którą znał od wielu lat, i że tak bardzo zmieniła się przez ten czas. Fergus zrozumie, że oboje są dla siebie stworzeni i w końcu te wszystkie codzienne marzenia staną się prawdą. To oznaczałoby niestety konieczność przeprowadzenia się do Londynu, ale Jenny już teraz wiedziała, że mieszkanie w jakimkolwiek miejscu bez Fergusa nie może być przyjemne.

Kiedy pociąg stanął na stacji w Creagan, wychyliła się przez okno i zobaczyła matkę czekającą na nią na peronie. To było niespodzianką, ponieważ zwykle wyjeżdżał po nią ojciec.

- Kochanie! - uścisnęły się i ucałowały. Potem musiały przenieść bagaże, które przywiozła Jenny, aż na parking, gdzie czekał samochód. Było wtedy już prawie ciemno, tylko blade światło zapalonych latarni oświetlało drogę, ale powietrze pachniało torfem, wrzosem, jeziorem i bardzo się ucieszyła, że znowu jest w domu.

Przejechały przez małe miasteczko, później skręciły na drogę, która prowadziła prosto do dworku.

Minęły Inverbrueie, znajomą farmę...

- Czy Fergus też przyjechał? - zapytała.

- Tak, jest już w domu... - zaczęła niepewnym głosem matka.

Jenny zdążyła ucieszyć się z tego, kiedy matka dokończyła zdanie:

- ... on... on przywiózł ze sobą znajomą...

Jenny odwróciła głowę i spojrzała uważnie na matkę.

- I ta dziewczyna nazywa się Rose, możliwe, że kiedyś widziałas ją w telewizji. Jest aktorką.

- Znajoma? Aktorka? - zdziwiła się Jenny.

- Poznali się parę miesięcy temu.

- Czy już ją widziałas?

- Nie, jeszcze nie. Ale wszyscy jesteśmy zaproszeni na przyjęcie na dziś wieczór.

- Ale... ale... - nie starczało słów na wyrażenie szoku i spustoszenia, które odczuła Jenny, gdy wreszcie w pełni dotarło do niej znaczenie słów matki.

Pani Fairburn zatrzymała samochód i odwróciła się ku niej.

- To jest przyczyna, dla której przyjechałam po ciebie na stację zamiast ojca. Wiedziałam, że będziesz zdenerwowana i chciałam z tobą o tym porozmawiać.

- Ja... właśnie... właśnie nie chciałam, żeby przywoził kogokolwiek do Creagan.

Nawet dla niej samej te słowa zabrzmiały naiwnie.

- Jenny, Fergus nie jest twoją własnością. On ma absolutne prawo zawierać nowe przyjaźnie, jest dorosły i ma przed sobą własne życie. Ty tego nie zmienisz. Opłakiwanie dziecięcej przyjaźni nic tutaj nie pomoże.

Najgorsze było może nie to, co matka powiedziała, ale to, że jej uczucia były tak łatwo widoczne dla innych.

- Ja... ja go kocham.

- Wiem, ale to już się skończyło. Pierwsza miłość za-

wsze się kończy, ale i tak, mam nadzieję, będziesz grzeczną dla Rose, kiedy ją poznasz. Bardzo mi na tym zależy, Jenny. Nie pozwól nikomu domyślić się, co czujesz.

Przez chwilę siedziały w samochodzie bez słowa. Potem matka zapytała, czy wszystko w porządku, i Jenny skinęła głową. Pani Fairburn znowu uruchomiła silnik i ruszyły do domu.

- Czy myślisz, że się pobiorą?

- Nie mam pojęcia, ale z tego, co mówiła Daphne Fenton, wygląda na to, że całkiem możliwe. Daphne powiedziała, że Fergus kupił sobie mieszkanie w Wandsworth i Rose pomaga mu je spłacać.

- Czy myślisz, że to zły znak?

- Może nie zły, ale wynika z tego, że myślą o wspólnej przyszłości.

Jenny zamyśliła się. Dopiero, kiedy były już prawie w domu i samochód podjechał do bramy, powiedziała z wahaniem:

- Może jakoś potrafię ją polubić.

- Tak - rzekła pani Fairburn. - To by było najlepsze.

Jenny oczywiście próbowała polubić tę dziewczynę, ale to okazało się trudne. Poza tym przeskadzało jej, że widziała kiedyś Rose na filmie - w szpitalnym dramacie - grającą pielęgniarkę, słodką idiotkę o twarzy w kształcie serca. Oczywiście Jenny tłumaczyła sobie, że film był nudny, słaby, że zatrudnili podrzędnych, mało znanych aktorów, ale i tak nie podobało jej się, że Rose była aktorką.

W rzeczywistości Rose była dość ładną dziewczyną o spadających na ramiona jedwabistych, czarnych, rozpuszczonych włosach, nosiła sukienki o obniżonej talii - dziewczyny w Creaton ubierały się inaczej.

- Fergus opowiadał mi tak dużo o tobie - powiedziała do Jenny, kiedy zostały sobie przedstawione. - Podobno dorastaliście razem i przyjaźnicie się prawie tak bardzo jak brat i siostra. Czy twój ojciec też jest farmerem?

- Nie, jest jednym z kierowników w banku w Creagan.

- I zawsze mieszkaliście tutaj? - zapytała ze zdziwieniem.

- Tak, tu się urodziliśmy i tu się wychowywaliśmy. Nawet udało mi się chodzić tutaj do szkoły, chociaż rodzice chcieli, żebym wyjechała do Kent. Byłam teraz przez kilka miesięcy w Edynburgu i bardzo się cieszę, że już jestem w domu.

- Czy nie sądzisz, że to raczej nudne... mieszkać... w takiej zapadłej wsi?

- Nie.

- Co zamierzasz dalej robić? - pytała.

- Nie wiem.

- Przyjedź koniecznie do Londynu, nie ma innego miejsca na świecie, gdzie warto mieszkać. Zawsze mówię Fergusowi, że najbardziej opłaca się mieszkać w Londynie. Przyjedź do nas, zobaczysz, zajmiemy się tobą.

Mówiąc tak wczepiła się palcami w ramię Fergusa, który stał blisko nich, zajęty rozmową z kim innym. Ona jednak zupełnie nie liczyła się z tym, że ten ktoś może być niezadowolony. Złapała Fergusa i siłą przyciągnęła go ku sobie.

- Kochanie, właśnie tłumaczę Jenny, że musi przyjechać do nas do Londynu.

Jenny i Fergus spojrzeli na siebie i roześmiali się. Jenny stwierdziła ze zdziwieniem, że ten śmiech przyszedł jej zupełnie naturalnie.

- Jenny nie lubi miasta - stwierdził Fergus.

Jenny wzruszyła ramionami.

- To tylko kwestia gustu.

- Ale przecież nie możesz zmarnować życia siedząc na wsi. - Rose naprawdę była przerażona.

- Przynajmniej do końca wakacji nie zamierzam nigdzie wyjeżdżać. - Jenny tak naprawdę nie myślała jeszcze o tym, co będzie robić w przyszłości. To znaczy, odkąd dowiedziała się, że jej marzenia o Fergusie nigdy się nie ziszczą.

Zdecydowała się zmienić temat rozmowy.

- Moja mama mówiła mi o waszym mieszkaniu w Wandsworth. Czy jest ładne?

- Tak...to jest... - zaczął Fergus, ale szybko został przegadany przez Rose. Znacznie więcej mogła opowiedzieć o tym mieszkaniu.

- Jest absolutnie fantastyczne! Nieduże, ale pełne słońca. Oczywiście wymaga małego remontu, ale z tym nie będzie kłopotu. Wprowadzimy jeszcze kilka zmian i będzie super.

- Czy ma ogród? - zapytała Jenny.

- Nie, ale w oknie jest skrzynka na kwiaty. Myśleliśmy, żeby zasadzić pelargonie. Żadne sztuczne kwiaty, tylko prawdziwe czerwone pelargonie.

- Oczywiście - zgodził się Fergus.

Wielki Boże, czerwone pelargonie, jęknęła po cichu Jenny. Ależ on musi być zakochany, że tak zgłupiał.

I nagle straciła ochotę bycia tutaj z nimi. Poczula, że nie może dłużej na nich patrzeć i nie wytrzyma tu już ani chwili.

Przeprosiła, odeszła i nie rozmawiała już z nimi tego wieczoru.

* * *

Nie zdołała jednak uciec przed Fergusiem. Znalazł ją następnego dnia, kiedy robiła wiosenne porządki w altanie.

- Dzień dobry, Jenny.

Akurat trzepała z kurzu brudne maty, kiedy on się pojawił tak nieoczekiwanie. Na chwilę zamarła w bezruchu.

- Czego chcesz? - zmusiła się w końcu, żeby coś powiedzieć.

- Chciałem cię zobaczyć.

- O, jak miło - stwierdziła ironicznie. - A gdzie się podziewa Rose?

- W domu, myje głowę.

- To dobrze o niej świadczy, że tak dba o czystość.

- Jenny, dlaczego nie chcesz mnie słuchać?

Westchnęła głośno i spojrzała na niego z rezygnacją.

- Mogę słuchać, oczywiście. Ale to zależy od tego, co masz mi do powiedzenia.

- Po prostu chciałbym, żebyś mnie rozumiała. Nie chcę, żebyś się na mnie gniewała. Zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi i nie wiem, dlaczego teraz mielibyśmy się kłócić. Możemy przecież, przynajmniej czasami, ze sobą porozmawiać.

- Oczywiście, rozmawiamy przecież, na przykład teraz.

- I nadal jesteście przyjaciółmi?

- No pewnie. Cokolwiek robimy, czy mądrze, czy głupio, nadal jesteśmy przyjaciółmi.

- I co ja takiego ci zrobiłem?

Spojrzała na niego z wymówką i powróciła do trzepania starej, zakurzonej maty.

- W porządku, wcale nie musisz lubić Rose. Przyznaj, że ona ci się nie podoba.

- Ona mnie zupełnie nie obchodzi. Nie znam jej, więc nie mogę jej lubić.

- Zauważyłem, że nie pałacie do siebie sympatią. Myślę jednak, że oceniłaś ją pochopnie.

- Nawet nie fatygowałam się, żeby ją oceniać tak czy siak. Po prostu czuję, że nie mam z nią nic wspólnego.

- To pewnie dlatego, że ci powiedziała, że powinnaś wyjechać z Creagan.

- A co to ją obchodzi? To moja sprawa, gdzie chcę mieszkać.

Na pewno chciał być miły, ale niewątpliwie zdołała wreszcie wyprowadzić go z równowagi. Widziała zaciśnięte szczęki, dobrze jej znaną oznakę wściekłości, i była zadowolona, że go rozzłościła. Miała wrażenie, że to korzystnie wpłynęło na jej nastrój.

- Dobrze, siedź tutaj do końca życia. Zrobi się z ciebie stara wiejska baba, która chodzi w wymiętej tweedowej spódnicy i na niczym się nie zna, ewentualnie na łowieniu ryb i na hodowli psów.

Odwróciła się do niego z wściekłością.

- Wiesz co? To już lepsze niż trzeciorzędna aktoreczka z ustami ociekającymi szminką.

Zaśmiał się, ale raczej z jej głupoty, niż dlatego, że go rozbawiła.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś zazdrosna - szydził z niej.
- Dopiero teraz zauważyłem, jak pospolity masz charakter.

- A ja zupełnie nie mogę zrozumieć, że przyjaźniłam się przez tyle lat z takim kretynem - odcięła mu się.

Fergus odwrócił się na pięcie i odszedł. Jenny obserwowała, jak znika za drzwami i nagle uleciała z niej cała złość na niego. Pozostała gorycz. Powiedzieli sobie tyle niepotrzebnych słów, których już nie można cofnąć. Już nigdy nie będzie między nimi tak, jak kiedyś.

* * *

Jenny znalazła pracę w Creagan, w sklepie sprzedającym turystom szetlandzkie swetry i biżuterię z kamieni półszlachetnych.

Mniej więcej w czerwcu matka poinformowała ją, że Rose i Fergus są już zaręczeni i mają pobrać się we wrześniu w Londynie, gdzie mieszkają rodzice Rose. Cichy ślub i tylko kilku najbliższych londyńskich przyjaciół. Ale na razie byli na farmie w Inverbrue i wyprawili niewielkie przyjęcie z okazji zaręczyn. Jenny nie odważyła się na nie pójść. Powiedziała sobie, że odwiedzi ich dopiero wtedy, gdy już będą małżeństwem, jak gdyby to była jakaś różnica.

Mogłaby oczywiście żyć aktywniej, coś robić, żeby nie mieć czasu na złe myśli, może wyjechać za granicę. Zatrudnić się w Paryżu jako niańka albo zostać kucharzem na statku.

Tak rozmyślała, stojąc samotnie na brzegu. Jednakże zaczynało robić się zimno i przypomniała sobie, że musi jeszcze złapać trzy pstrągi na kolację. Wstała, pchnęła łódkę na wodę i wzięła się do roboty.

Łowienie miało też tę zaletę, że nie mogła przy tym myśleć o niczym innym. Wypłynęła daleko na jezioro, potem odłożyła wiosła i pozwoliła dryfować łódce w kierunku brzegu. Powiał lekki wiatr. Zmarszczyła się powierzchnia jeziora. Jenny zarzuciła wędkę i teraz to stało się dla niej najważniejsze.

Słyszała auto przejeżdżające ulicą, ale była zbyt zajęta, żeby zwrócić na to uwagę. Jeszcze jeden rzut lub dwa i w końcu ryba była jej. Łowienie pochłonęło Jenny bez reszty. Położyła rybę na dnie łodzi.

- Dobra robota - usłyszała nieoczekiwanie czyjś głos.

Rozejrzała się ze zdziwieniem. Zdarzyło się kilka zaskakujących rzeczy. Dryfująca łódka znajdowała się zaledwie kilka jardów od brzegu. Samochód, który słyszała, zatrzymał się niedaleko miejsca, do którego teraz dopłynęła. I to był samochód Fergus'a, a on sam stał teraz na brzegu i uważnie obserwował jej zmagania z rybą. Był w tweedowej kurtce i sztruksowych spodniach, nie wyglądało na to, żeby tak ubrany wybierał się na ryby. Zastanawiała się, czy znalazł się tu tak przypadkiem, czy też może przyszedł zaprosić ją osobiście, czy też może chciał zapytać, dlaczego odmówiła przyjęcia. Stał na brzegu, z gołą głową, wiatr rozwiewał mu włosy. Pomyślała, że raczej wcale się do niego nie odezwie, niż miałyby się powtórzyć tamta nieprzyjemna rozmowa.

Uśmiechnął się.

- Dobra robota - powtórzył. - Bardzo delikatnie, z wyczuciem podciągałaś wędkę - dodał. - Nie wiem, czy potrafiłbym zrobić to lepiej.

Jenny nie odpowiedziała. Zamiast tego zajęła się nawijaniem na kołowrotek wolnej żyłki, zabezpieczając jednocześnie przyczepioną do haczyka przynętę. Wreszcie odłożyła wędkę i spojrzała na Fergus'a.

- Jak dawno tu jesteś? - zapytała.

- Dziesięć minut, może trochę dłużej - włożył ręce do kieszeni kurtki. - Przyszedłem, bo chciałem z tobą porozmawiać. Twoja matka powiedziała mi, że tutaj jesteś.

- O czym?

- Jenny, nie rozjuszaj się znowu, zawrzyjmy pokój - prosił.

To brzmiało rozsądnie.

- Zgoda.

- Czy możesz dobić do brzegu i przyjść tu do mnie?

Jenny nie wykonała żadnego ruchu, ale już w czasie rozmowy zorientowała się, że łódka dobija do brzegu, poczuła, że kil ociera się o kamieniste dno...

Zanim zrozumiała, co się dzieje, Fergus przeszedł do niej w bród w kaloszach przez wodę, złapał łódkę za dziób, przelożył przez burtę swoje długie nogi i już był na pokładzie.

- Teraz - powiedział - daj mi wiosła.

* * *

Wyglądało na to, że nie miała wyboru. Kilkoma ruchami wiosel wyprowadził łódź z mielizny i już za chwilę znowu nakierował ku środkowi jeziora. Po dziesięciu minutach, a może wcześniej, rozejrzał się, odłożył wiosła i postawił kołnierz kurtki.

- Teraz - powiedział - możemy porozmawiać.

- Zdaje się, że moja matka powiedziała ci, że nie mam zamiaru przychodzić do was dziś wieczorem. Myślę, że to jest wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat.

- Mniej więcej, jest jeszcze parę spraw.

Czekała, aż rozwinie temat, ale on nie kontynuował. Patrzyli na siebie i nagle się uśmiechnęli. I Jenny od razu poczuła zadowolenie z losu i spokój. Siedzieli razem w łódce na środku jeziora, wśród znajomych gór. I wszystko nagle stało się łatwiejsze.

- Po prostu nie chciałam przychodzić. Nie chcę oglądać Rose. Będzie inaczej, kiedy już będziecie po ślubie, ale teraz... - Wzruszyła ramionami. - To jest tchórzostwo, małoduszność, jak sądzę - przyznała w końcu.

- To do ciebie niepodobne.

- Może to nie ja? A może we mnie wszystko się przewraca? Powiedziałeś wtedy w letnim domku, że jestem zazdrośna, i oczywiście miałeś absolutną rację. Myślę, że to dlatego, że cały czas myślałam o tobie jak o swojej własności i to był błąd. Żaden człowiek nie należy do drugiego człowieka, nawet jeśli są małżeństwem. I nie możesz wiedzieć, co się dzieje w czyjejś głowie.

- Nie, nie możesz.

- To tak, jak nie możesz pozostać dzieckiem, musisz wyrosnąć, czy chcesz, czy nie.

- Czy dostałaś pracę w Creagan? - zapytał.

- Tak, ale to zamykają w październiku, po sezonie turystycznym. Zdecydowałam, że będę teraz dużo bardziej zaradna i znajdę sobie dobrze płatną pracę daleko stąd. Może to być Ameryka albo nawet Szwajcaria - uśmiechnęła się z przymusem. - Uważam, że Rose na pewno to by się spodobało.

Fergus milczał. Jego oczy były intensywnie niebieskie.

- Powiedz, jak się miewa Rose - zapytała uprzejmie.

- Nie wiem.

Jenny zmarszczyła czoło.

- Jak to nie wiesz. To twój obowiązek, ona jest gościem u ciebie na farmie.

- Nie ma jej teraz w Inverbrue.

- Nie ma?...

Kulik przeleciał nad ich głowami, krzycząc żałośnie. Woda chlupała i szemrała, szeptały coś fale uderzając o łódkę...

- Ale moja mama powiedziała...

- Była w błędzie. Moja matka nie mówiła wcale, że Rose jest u nas. Twoja matka po prostu przyjęła to za pewnik. Nie będzie ślubu, zaręczyny zostały zerwane.

- ... zerwane? Ale dlaczego mama nie powiedziała mi o tym?

- Ona o tym jeszcze nie wie. Nic nie mówiłem rodzicom, chciałem, żebyś najpierw ty się o tym dowiedziała.

Jenny poczuła, że z jakichś niewytłumaczalnych powodów ogarnia ją dziwny nastrój, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

- Dlaczego? Dlaczego, Fergus?

- Sama powiedziałaś, że żaden człowiek nie jest własnością drugiego człowieka.

- Ale przecież ją kochałeś.

- Tak, to prawda, kochałem ją.

Kiedy to usłyszała, nie poczuła zazdrości. Raczej żał jej go było, że coś mu się nie udało, jakieś plany nie wypaliły.

- Poślubiasz życie tak samo jak człowieka - tłumaczył Fergus. - Zrozumiałem nagle, że życie Rose i moje biegnie obok siebie, jak szyny pociągu, które tak naprawdę nigdy się nie łączą.

- Kiedy to wszystko się stało?

- Parę tygodni temu. To dlatego pojechałem na północ na weekend. Chciałem o tym powiedzieć moim rodzicom, jak już będę zupełnie spokojny. Nie mogłem pozwolić, żeby moja matka wiedziała, co przeżywam, i martwiła się, że mam złamane serce.

- Bardzo cierpiałeś?

- Może trochę.

- Rose kochała cię.

- Trochę na pewno.

Jenny zawahała się, a potem szepnęła:

- Ja cię kocham.

* * *

Teraz Fergus przepiętny był jakimś dziwnym wzruszeniem, teraz on wyglądał, jakby miał się rozplakać.

- Och, Jenny...

- Nie szkodzi, że się o tym dowiesz, prawdopodobnie zresztą zawsze zdawałeś sobie z tego sprawę. Tylko nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek w życiu powiem komuś coś takiego, a szczególnie tobie. Nie szkodzi jednak, jeśli się dowiesz, bo to i tak niczego nie zmienia. Nadal zamierzam

wyjechać z Creagan, znaleźć dobrą pracę i wreszcie się usamodzielnić.

Zaśmiała się, spodziewając się, że on przynajmniej uśmiechnie się do niej. Był jednak śmiertelnie poważny.

- Nie wyjeżdżaj - powiedział.

- Sam wiesz, że tak będzie najlepiej.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżała i usamodzielniała się - stwierdził z powagą.

- A jaka mam być, jeśli nie samodzielna?

Absurdalność tego pytania sprawiła, że wreszcie się uśmiechnął.

- Nie wiem. Tak długo byłaś częścią mojego życia, że nie chcę słyszeć teraz, że myślisz o tym, by gdzieś daleko wyjechać. Nie będę miał z kim się kłócić ani komu dokuzać. Nie mógłbym śmiać się razem z tobą. Puste stałoby się moje życie, gdybyś wyjechała.

- Gdybym miała choć odrobinę ambicji, powinnam wyjechać. Jestem tego rodzaju dziewczyną, że nie lubię sięgać po towar używany, popłuczyny po jakiejś tam innej.

- Gdybyś miała choć odrobinę ambicji, nie mówiłabyś, że mnie kochasz.

- Musiałaś się o tym dowiedzieć.

- Podobałaś mi się już dawno, dużo wcześniej niż Rose....

- Więc co było z Rose?

Fergus nie odpowiedział.

- I co się nie odbywało?

- Ja... chciałbym prosić cię teraz, żebyś została moją żoną. Powinienem był zrozumieć to dużo wcześniej.

- Nie, to się nawet dobrze stało. - Jenny naraz poczuła się bardzo mądra. - Dużo wcześniej to by było za szybko. Wtedy naprawdę sądziłam, że stanowisz moją własność. Dopiero teraz mogę powiedzieć, że żaden człowiek nie należy do nikogo oprócz siebie. Przynajmniej nie w całości. I może jeszcze jedno - kiedy wydaje się, że się coś traci, wtedy zaczyna się dostrzegać, jak bardzo to jest cenne.

- Ja też to odkryłem. Dobrze się stało, że prawie w tym samym czasie zdołaliśmy to zrozumieć.

Było już późne popołudnie i zaczynało się robić chłodno. Jenny poczuła, że drży z zimna.

- Zmarzłaś - powiedział Fergus. - Płyniemy do brzegu.

Chwył za wiosła i energicznym ruchem skierował łódkę w stronę brzegu.

Jenny nagle coś się przypomniało.

- Jeszcze nie możemy wracać, Fergus. Złapałam dopiero jednego pstrąga, a mama prosiła o trzy na kolację.

- Do licha z kolacją. Wiesz co, zaprosimy naszych rodziców i wszyscy razem pójdziemy do restauracji. Możemy zamówić szampana i wyprawić przyjęcie zaręczynowe. Jeśli chcesz, oczywiście.

Łódka lekko sunęła przez wzburzoną wodę, za chwilę przycumują ją i...

Wiatr wiał coraz silniejszy, zrobiło się naprawdę zimno. Postawiła kołnierz od kurtki i wsadziła głębiej ręce do kieszeni. Śmiała się.

- Tak, chcę - powiedziała.

Droga z górki

Czy poradzi sobie pani teraz, pani Harley?

- Tak, oczywiście.

Edwina przewiesiła torebkę przez ramię, w jednej ręce miała torbę wypchaną po brzegi zakupami, w drugiej koszyk. Wydało jej się, że paczka pomidorów niebezpiecznie wysunęła się z torby i za chwilę może znaleźć się na ziemi, więc nie mając już wolnej ręki, delikatnie popchnęła ją brodą.

- Gdyby pan był tak dobry i otworzył mi drzwi.

- To pani samochód, prawda?

- Tak, zaraz w prawo, na starym parkingu. Stoi bardzo blisko, powinnam już sobie poradzić.

- Do widzenia, pani Harley.

- Do widzenia, dziękuję.

Wyszła z wiejskiego sklepiku. Przeszła kilka kroków chodnikiem. Postawiła koszyk na masce samochodu. Potem przez otwarte okno wepchnęła torbę. Obeszła samochód, żeby otworzyć bagażnik.

Świeciło jasne słońce, nie grzało jednak zbyt silnie, bo rzecz się działa w lutym.

Poza tym był piątek i spotykamy się z Edwiną w chwili, kiedy już właśnie skończyła robienie zakupów i załatwianie wszystkich ważnych spraw, przeto bagażnik był już wypełniony do połowy. Znajdowała się tam wielka paczka od rzeźnika, buty Henry'ego odebrane przed chwilą od szew-

ca, czysta pościel z pralni oraz nożyce ogrodowe świeżo naostrzone i naoliwione przez miejscowego ślusarza.

Wstawiła koszyk, po krótkim namyśle wzięła torbę, którą wcześniej postawiła na siedzeniu wewnątrz samochodu, i również włożyła do bagażnika, ale nie chciał się domknąć. Wreszcie Edwina poprzestawiała wszystkie rzeczy i mogła już zatrzasać klapę.

Pomyślała, że załatwiła już zupełnie wszystko, co zaplanowała na dzisiaj, i że właściwie nie musi jeszcze wracać prosto do domu. Stojąc przy swoim samochodzie na głównej ulicy małego, szkockiego miasteczka, zastanawiała się, co robić. Zwróciła uwagę na kamienny dom po przeciwnej stronie. Szara dachówka, wąski pasek ogrodu, biała, drewniana brama, równo przystrzyżony żywopłot z kocierpki oddzielał ogród od chodnika. To wszystko przypominało trochę dziecinny rysunek. Zastłonki w oknach były zaciągnięte.

To był dom starej pani Titchfield, pusty teraz, ponieważ dwa tygodnie temu staruszka umarła w szpitalu.

Edwina dobrze знаła ten dom, lubiła panią Titchfield. Przychodziła tu czasami, głównie ze względu na różne sprawy związane z kościołem, przynosiła kartki świąteczne albo ciasto z owocami i wtedy starsza pani zapraszała ją, by usiadła przy kominku i wypić filiżankę herbaty.

Znała od wielu lat malusieńkie pokoiki i wąskie schody prowadzące na pięterko, ogródek na tyłach domu, z krzakami róż i sznurem do bielizny rozciągniętym pomiędzy starymi jabłoniemi.

- Edwina!

Pogrążona w rozmyślaniach, nie widziała ani nie słyszała, że koło niej zatrzymało się jakieś auto.

Wysiadła z niego Rosemary Turner. Siwowłosa kobieta z koszykiem na zakupy i siatką. Jedna z najbliższych przyjaciółek Edwiny. Jej mąż, James, regularnie grywał w golfa z Henrym, małżonkiem Edwiny, a Rosemary trzymała do chrztu ich najstarsze dziecko.

- Co tak stoisz i patrzysz? - zwróciła się do Edwiny.
- Myślę o tym domku.
- Biedna pani Titchfield. Ale prawdę powiedziawszy, można nawet jej pozazdrościć, miała życie długie i szczęśliwe. Wygląda miło, prawda? Chociaż nigdy nie widziałam tak zachwaszczonego ogrodu. Czy już zrobiłaś zakupy?

- Tak, wracam już do domu.
- Ja jeszcze muszę kupić chrupki dla kota. Bardzo się śpieszysz?

- Nie. Henry'ego i tak nie ma w domu. Poszedł na proszony lunch.

- W takim razie czemu by nie zaszaleć razem? Mogłybyśmy skoczyć na kawę do Ye Olde Tatched Cafe. Tak długo się nie widziałyśmy. Musimy pogadać.

Edwina zaśmiała się.

- Świetny pomysł.
- To poczekaj na mnie, kupię chrupki i zaraz będę wolna. Biedny kociak nienawidzi mojego jeżdżenia do sklepu. Ilekroć wychodzę z domu, przeraźliwie miauczy.

Edwina oparła się o samochód. Jej spojrzenie raz po raz wracało ku domkowi pani Titchfield. Miała pewien pomysł, wiedziała jednak, że Henry będzie temu przeciwny. Perspektywa ostrej wymiany zdań napełniała ją niechęcią. Westchnęła głęboko. Czuła się stara i zmęczona. Być może pod koniec dnia dojdzie do wniosku, że najprościej byłoby nie poruszać tego tematu.

Kawiarnia mieściła się w mocno już podniszczonym małym domku. Zawsze panował w niej półmrok, ale porcelana była elegancka, stały świeże kwiaty na stolikach, a kawę dawano tam mocną i aromatyczną.

Edwina podniosła filiżankę i pociągnęła duży łyk kawy.

- Tego mi było trzeba.
- Wydaje mi się, że wyglądasz na zmęczoną. Czy dobrze się czujesz?

- Tak. Po prostu zmęczyły mnie te zakupy. Czy to zawsze musi być takie nudne i rutynowe?

- Myślę, że po tylu latach małżeństwa dni mało różnią się od siebie. Jeden podobny do drugiego, jakby zaprogramowane przez komputer. Gdzie Henry wybiera się na lunch?

- Do Kate i Tony'ego. Postanowili z Tonym spędzić cały dzień na jednej z tych obrzydliwych dyskusji na temat bankowości.

Kate była siostrą Henry'ego, a Tony, jej mąż, księgowym w firmie, w której Henry pracował przez wiele lat.

- Jak się czuje Henry w roli emeryta? - zapytała Rosemary.

- Chyba dobrze. Zawsze wydawał się taki zapracowany.

- A jak ty to wytrzymujesz? Ja mało nie oszalałam, jak James przeszedł na emeryturę. Ciągłe przychodził do mnie do kuchni, wyłączał mi radio i zadawał głupie pytania.

- O co pytał?

- Och, zawracał mi głowę. Czy nie widziałam, gdzie położył swój kalkulator. Czy trawę skosić dziś czy jutro. O której godzinie będzie lunch... Pamiętasz może, kto powiedział, że męża bierze się na dobre i na złe, ale nie na lunch?

- Księżna Windsoru.

Rosemary zaśmiała się. Ale kiedy napotkała wzrok Edwiny, natychmiast spoważniała.

- Ty masz jakiś problem. Chodzisz jak struta. Powiedz, co cię gnębi.

Edwina pochyliła głowę i westchnęła.

- Nie wiem... Dobrze... powiem ci. Zajrzałam dziś rano do kalendarza i uświadomiłam sobie, że w tym miesiącu mija trzydzieści lat od tego dnia, kiedy braliśmy z Henrym ślub.

- To fantastyczne! Perłowe wesele! To już pięć lat minęło od waszych srebrnych godów? Jak szybko czas leci. Ale to przecież wspaniale. Okazja, żeby wyprawić huczny bal.

- Niestety żadne z naszych dzieci nie będzie mogło przyjechać do nas na tę rocznicę. A bez nich to wszystko nie ma sensu.

- Przesadzasz, dlaczego miałyby nie przyjechać?

- Rodney na pewno nie przyjedzie. Pływają teraz daleko w tropikach i wiesz, jak mu trudno wziąć urlop. Priscilla w Sussex, mają z Bobem mnóstwo roboty, dwoje malutkich dzieci, sama rozumiesz. Tessa wreszcie znalazła robotę w Londynie, tak długo borykała się z kłopotami finansowymi, że nie mogę od niej wymagać, żeby teraz nagle rzuciła to wszystko i przyjechała tutaj tylko dlatego, że akurat minęło trzydzieści lat od naszego ślubu. Poza tym perłowe wesela rzadko się uważa za coś, co warto uczcić. To oznacza początek końca, starość, kiedy już wszystko zaczyna się psuć.

- Nie przyjmuj tego aż tak tragicznie. Pomyśl, że po prostu masz dzisiaj zły nastrój, że to przejdzie.

- I na końcu moich dni... - mówiła dalej Edwina. - Widzę, że nic w życiu nie osiągnęłam. Nie mam nic takiego, z czego mogłabym być dumna. I nawet gdyby przyjechali niczym nie mogłabym się przed nimi pochwalić.

Rosemary, której nie brakowało zdrowego rozsądku, nic nie odrzekła na te lamenty. Może tylko coś sobie pomyślała. Zamiast wyrazić swoją opinię na ten temat, spokojnie zamieszała kawę.

- Czy oglądałaś dom pani Titchfield z jakichś konkretnych powodów?

- ... Właściwie, to tak. Mam już pięćdziesiąt dwa lata, a Henry sześćdziesiąt siedem, i myślę, że przyjdzie taki dzień, że nasz stary dom, Hill House, będzie dla nas za duży. Nie damy rady dbać o to wszystko, sprzątać tylu pokoi, zajmować się ogrodem, który wymaga ogromnej pracy...

- Wasz ogród jest naprawdę piękny.

- Wiem o tym, kocham ten ogród i ten dom. Myślę jednak, że zawsze był dla nas za duży, nawet zanim dzieci odeszły z domu.

- Jeżeli myślisz o przeprowadzeniu się do czegoś mniejszego, to i tak nie mogę sobie wyobrazić, w jaki sposób udałoby ci się wytłumaczyć to Henry'emu.

- Nie musisz mi tego mówić - westchnęła Edwina.

Henry był ogromnie przywiązany do tego domu. Odziedziczył go po rodzicach i spędził tu całe swoje życie. Pamiętał nawet czasy, kiedy mieli służbę z prawdziwego zdarzenia i dwóch ogrodników, a nie jak teraz, tylko Bessie Digley do pomocy trzy razy w tygodniu.

- To straszne, co ty wygadujesz - odezwała się Rosemary. - Wcale nie jesteś stara, przed tobą jeszcze wiele lat życia, a z tego domu jeszcze nieraz będziesz zadowolona, że taki duży. Bo, jak myślisz, gdzie będą się bawić wnuki, jak przyjadą do ciebie.

- Myślałam o tym. Uważam jednak, że lepiej będzie, jeśli się przeprowadzimy, zanim będzie na to za późno. Czy pamiętasz biednych państwa Perry? Mieszkali w tym wielkim dworze aż do późnej starości i jak wreszcie zdecydowali się przenieść do tego małego domku, pani Perry zupełnie nie mogła się przyzwyczaić, spadła ze schodów i złamała biodro. I to już oznaczało koniec dla nich obojga. A wyobraź sobie, jeśli teraz dom pani Titchfield zostanie wystawiony na sprzedaż i kupimy go oboje z Henrym, ile jeszcze możemy mieć z tego radości. Razem moglibyśmy doprowadzić go do przyzwoitego stanu, wyremontować, przemeblować. Teraz jeszcze miałabym siłę zająć się tym ogrodem. Nie jest duży, to prawda. Ale za to w samym centrum miasteczka, blisko sklepów. Teraz, jak zabraknie nam chleba albo masła, muszę jechać siedem mil. I droga nie jest osłonięta od wiatru. Kiedy pada śnieg albo deszcz, jezdnia jest śliska i bardzo trudno jechać. I dzieci nie musiałyby się o nas niepokoić.

- A niepokoją się teraz?

- Nie.

Rosemary zaśmiała się.

- Już wiem, na czym polega twój problem. Tęsknisz za dziećmi. Wszystkie odeszły już na swoje, nawet mała Tessa, i po prostu tęsknisz za nimi. Ale to nie jest wystarczający powód, żebyście musieli się przeprowadzać. Musisz się czymś zająć. Pojedźcie razem w podróż dookoła świata.

- Nie chcę jechać w podróż.
- To zacznij uprawiać jogę. Zajmij się czymś.

* * *

Edwina przejechała swoje siedem mil wiejską drogą i znowu była w Hill House. Podeszła do pomalowanej na biało bramy, otworzyła ją. Potem jechała aleją pomiędzy wysokimi, starymi bukami i rozłożystymi krzakami rododendronu. Patrzyła na trawnik, na żółte żonkile, na małe wiśniowe drzewka. Okna starego osiemnastowiecznego domu błyszcząły, odbijając lutowe słońce.

Zaparkowała opodal drzwi kuchennych, wniosła do środka zakupy. Kuchnia była wielka, ale przytulna - z porcelaną zdobiącą półki kredensu, z koszem bielizny do prasowania. Dwa labradory czekały niecierpliwie, aż Edwina wyprowadzi je na spacer.

Bez Henry'ego dom wydał się przeraźliwie pusty. Uświadomiła sobie z przejmującą wyrazistością te puste pokoje na górze i te na dole wokół niej. Ogromna jadalnia, w której ciągle gromadziły się kłęby kurzu, rzadko używana, gdyż ona i Henry jadali zwykle w kuchni.

Pomyślała o pokojach na górze. O dużym, szerokim przedpokoju, o wielkich, jasnych sypialniach, w których kiedyś mieszkali dzieci albo spali jacyś goście. Często przyjeżdżały do nich z wizytą całe rodziny. Pomyślała o ogromnych łazienkach, o strychu, na którym spoczywały teraz wszystkie te rzeczy, które kiedyś służyły dzieciom - małe rowerki, wózek, domki dla lalek, pudełka z klockami.

Ten dom wydał jej się pomnikiem, pamiątką życia rodzinnego. Czegoś, co już nigdy nie miało tutaj wrócić. Jaka szkoda, że tak szybko przeleciały najpiękniejsze lata.

Musiała przerwać rozmyślanie, gdyż oba psy domagały się, by się nimi zajęła. Położyła zakupy na kuchennym stole. Wyprowadziła labradory na spacer.

Wieczorem przy kolacji, przy butelce wina, Edwinie udało się poruszyć temat domu pani Titchfield.

- Sądzę, że już niedługo zostanie wystawiony na sprzedaż.

- Na pewno tak będzie.

- Czy nie uważasz, że powinniśmy kupić ten dom?

Henry uniósł swoją przystojną siwą głowę i spojrzał na żonę z niedowierzaniem.

- Kupić? Na Boga, dlaczego?

Edwina zebrała się na odwagę.

- Żeby w nim mieszkać.

- Przecież mieszkamy tutaj.

- Ale my robimy się coraz starsi i Hill House staje się dla nas zbyt wielki.

- Wcale nie jesteśmy starzy.

- Czuję jednak, że powinniśmy pomyśleć o przyszłości.

- A co zamierzasz zrobić z Hill House?

- Dobrze... jeżeli Rodney będzie chciał, może tu zamieszkać. Jeżeli nie, to możemy go sprzedać.

Henry gwałtownie odłożył nóż i widelec i nalał sobie pełną szklankę wina. Patrzyła na niego uważnie.

- Kiedy wpadłaś na ten genialny pomysł? - zapytał.

- Dzisiaj rano. Nie, właściwie to już wcześniej. To mi chodziło po głowie już od dawna. Kocham Hill House tak samo jak ty. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy. Dzieci odeszły. Mamy już tylko siebie. Ciężko nam będzie utrzymywać tak wielki dom.

- Zupełnie cię nie rozumiem.

- O tyle rzeczy trzeba się tutaj troszczyć. Ogród...

- Czy w ogóle sobie wyobrażasz, co mógłbym robić, gdybym nie miał ogrodu? Dostałbym klaustrofobii w tym małym domku pani Titchfield. Ciasna, brzydka rudera. Umarłbym tam od razu jak uwięzione zwierzę. Ale ty masz pomysły - aż kipiał z oburzenia. - Przecież tu jest nasz dom.

- Ja... po prostu chciałam myśleć o przyszłości.

- To ja myślę o przyszłości. Wiosną sieję rośliny w ogrodzie, myśląc o tym, jak wzejdą latem. Wiem, że przyjdzie

chwila, kiedy Tessa albo Rodney będą potrzebowali dużego domu dla swoich dzieci, dla swoich rodzin. Muszą wiedzieć, że mają dokąd wrócić, że Hill House zawsze stoi dla nich otworem.

- Tak, masz rację - powiedziała po chwili Edwina.

- Mówisz bez przekonania.

- Bo i ty masz rację i trochę ja też - podeszła do niego. - Poza tym bardzo brakuje mi dzieci. Okropnie tęsknię za nimi.

- Gdziekolwiek będziemy mieszkać - powiedział - zawsze nam będzie ich brakowało.

* * *

Dwa tygodnie później zatelefonowała Rosemary.

- Edwina, dzwonię w sprawie waszej rocznicy ślubu. Co robicie? Czy nie chcielibyście wpaść do nas tego wieczora? Przygotujemy razem z Jamesem małe przyjęcie.

- Och, Rosemary, jaka jesteś kochana.

- Zatem czekamy na was.

* * *

Tegoż wieczoru zatelefonowała szwagierka Edwiny, Kate.

- Edwina, co zaplanowałaś na waszą rocznicę ślubu?

- O, jaka miła niespodzianka. Nie sądziłam, że będziesz o tym pamiętać.

- Oczywiście, że pamiętałam. Jak mogłabym zapomnieć.

-Dobrze... Wychodzimy wieczorem do Rosemary i Jamesa. Są tak mili, że zdecydowali się wyprawić dla nas z tej okazji małe przyjęcie.

- To wspaniale. Wyobraziłam sobie, jak siedzicie sami w kuchni i jecie jakiś tam kotlet z ziemniakami. I bałam się, że będzie wam przykro samym. A teraz już nie będę się martwić. Pa, kochanie.

* * *

Trzydzieści lat. Obudziła się ze świadomością, że to właśnie dzisiaj ich rocznica. Słyszała deszcz dudniący o parapet. Henry kończył golenie. Wychylił głowę z łazienki.

- Miłego dnia - powiedziała.

Podszedł, pocałował ją, potem wyjął małe pudełeczko... Odpakowała, otworzyła. Na czerwonym aksamicie leżały małe, delikatne złote kolczyki z perłami.

- Och, jaki jesteś kochany! - zawołała.

Przymierzyła i od razu przejrzała się w małym, ręcznym lusterku. Pocałował ją jeszcze raz i poszedł ubrać się, a ona zeszła na dół przygotować śniadanie.

Jedli już, kiedy nadszedł listonosz z telegramem od Rodneya i kartkami z życzeniami od Tessy i Priscilli. „Serdeczne gratulacje”. „Życzymy wiele szczęścia...” - czytali.

- To naprawdę wspaniale, że dzieci nie zapomniały o naszej rocznicy - stwierdził Henry.

Edwina właśnie po raz czwarty czytała telegram od Rodneya.

- Chyba nie czujesz się stara z tego powodu, że aż tyle lat spędziłaś ze mną? - zapytał Henry.

Wiedziała, że nadal myślał o tym, co powiedziała o domku pani Titchfield, chociaż już później nie wracali do tego tematu. Ciągle jednak ten pomysł chodził jej po głowie i nawet tego dnia sprawdziła w gazecie w dziale ogłoszeń, czy może dom został już wystawiony na sprzedaż.

- Nie czuję się stara - powiedziała. - Tylko taka pusta i porzucona, jak te pokoje na górze, w których nikt nie mieszka.

- Na pewno nie wyglądasz staro - uśmiechnął się. - A dzisiaj jesteś jeszcze piękniejsza niż zwykle.

- To na pewno dzięki tym prześlicznym kolczykom.

- Nie tylko.

* * *

Lało prawie cały dzień. Edwina aż do wieczora zajęta była smażeniem konfitur. Byli potem proszeni na kolację,

więc nie napaliła w kominku w salonie. Wreszcie konfitury były już gotowe, weki schowane w spiżarni, można było pójść na górę, wziąć kąpiel i przygotować się do wyjścia. Starannie się umalowała, uczesała, włożyła elegancką czarną welurową suknię. Uperfumowała się. Potem pomogła Henry'emu zapiąć spinki w mankietach. Wyjęła z szafy jego czarny, najlepszy garnitur.

- Pachnie kulkami na mole - powiedziała.

- Dobre garnitury zawsze powinny tak pachnieć - stwierdził Henry.

Patrzyła na niego z zadowoleniem i dumą. Wyglądał w garniturze naprawdę dystyngowanie i mimo upływu lat ciągle jeszcze był przystojnym mężczyzną.

Wyłączyli wszystkie światła i zeszli na dół. Zamknęli drzwi na klucz, powiedzieli psom „do widzenia”. Zamknęli furtkę i w strugach deszczu popędzili do samochodu. Odjechali, pozostawiając za sobą ciemny, zimny i zupełnie nieprzytulny stary, wielki dom.

* * *

Turnerowie mieszkali w uroczym domeczku dziesięć mil od nich, po drugiej stronie miasta. Ujrawszy światła nadjeżdżającego samochodu szeroko otwarli bramę i serdecznie zaprosili jubilatów do środka, do salonu.

Deszcz zmieniał zapalone światła w smugi srebra.

- Wszystkiego najlepszego! Moc życzeń! Gratulacje! - wołali Rosemary i James. Były pocałunki, uściski, ciepło i jasno zapalone światła. W salonie ogień płonął na kominku, a biały kot Peke wylegiwał się na haftowanej poduszeczce i ziewał. Był też prezent dla nich, nowa róża do ogródka.

- Jaka piękna - ucieszyła się Edwina. - Wybraliście rzecz, która nam obojgu sprawi radość.

Potem James otworzył butelkę szampana. Uniósł w górę kieliszek, a następnie wygłosił krótkie okolicznościowe przemówienie. Usiedli wszyscy przy kominku we wspania-

łych, wygodnych fotelach i pograżyli się w rozmowie, jak czworo dorosłych ludzi, wieloletni przyjaciele. Opróżnili kieliszki. James napełnił je znowu. W końcu Henry rzucił ukradkowe spojrzenie na zegarek. Dochodziła ósma.

Odchrząknął.

- James, ja nie narzekam, ale czy tylko nas zaprosiłeś na ten wieczór? - zapytał.

James spojrział na swoją żonę.

- Nie tylko, ale kolacji nie będziemy jeść tutaj - wyjaśniła. - Tu wpadliście tylko na szampana.

- Idziemy gdzieś jeszcze? Gdzie będziemy jeść kolację?
- zdziwił się Henry.

- Nie tutaj.

- Rozumiem - powiedział. Zabrzmiało to jednak tak, jakby niczego nie rozumiał.

- Ale dokąd pojedziemy? - dopytywała się Edwina.

- Poczekaj, to się dowiesz.

Zabrzmiało to tajemniczo, ale chyba interesująco. Może wezmą nas do tej nowej, francuskiej restauracji w Relkirk, drogiej podobno, ale dobrej. To miła perspektywa. Poczula, że duch w niej rośnie.

Kwadrans po ósmej James odstawił kieliszek i rzekł:

- Czas iść.

Zatem podnieśli się z wygodnych foteli, narzucili płaszcze i wyszli w zalaną deszczem ciemność.

- Edwina, ty jedziesz ze mną, a Henry weźmie do waszego samochodu Rosemary - zakomenderował James. - Ja będę jechał pierwszy, a ty za mną.

Wyruszyli. James zaczął opowiadać o tym, jak dobrze stary Henry gra w golfa. Siedziała przy nim i wtuliwszy twarz w postawiony kołnierz płaszcza obserwowała światła mijających ich samochodów.

Gdy dojechali do centrum, pomyślała, że teraz powinni skręcić w prawo i potem już drogą wiodącą prosto do francuskiej restauracji. James jednakże nie skręcił w prawo i poczula się trochę rozczarowana.

- Najgorsze są złe nawyki - mówił James. - W golfie bardzo trzeba na to uważać. Każdy czasami potrzebuje jakiejś drobnej, ale właściwej porady...

- Mam wrażenie, jakbyśmy jechali z powrotem do Hill House - przerwała mu ten raczej nudny wywód.

- Edwina, Hill House nie jest jedynym obiektem wartym uwagi w tej części świata.

Zamilkła i znowu przyglądała się przez okno przejeżdżającym samochodom. Próbowwała uzbroić się w cierpliwość.

Potem samochód okrążył narożnik i oczom jej ukazały się jasne, błyszczące światła, wysoko ponad ciemną, zmokniętą okolicą. Prawie jak pokaz ogni sztucznych. Ale gdzie też się teraz znajdowali? Słuchając mętnych teorii Jamesa w końcu mimo wszystko straciła orientację. Dokąd ją zawiózł? Światła stawały się coraz większe, jaśniejsze. Potem minęli skrzyżowanie, przy którym stały dwa małe, ciemne domki. Okolica jakby znajoma. Nagle dotarło do niej, ale i tak nic z tego nie rozumiała. To były światła Hill House. James wiózł ją do jej własnego domu. Do willi, którą zostawili zimną, ciemną i opuszczoną. A teraz w każdym oknie zapalone światło zdawało się zapraszać.

- James, co się dzieje?

Turner nie odpowiedział. Przyhamował, skręcił i przez otwartą bramę wjechał na wzgórze...

W drzwiach stały dwie osoby, kobieta i mężczyzna. Edwina pomyślała początkowo, że to zupełnie niemożliwe. To była Priscilla. Priscilla i Bob.

Edwina wyskoczyła z auta, prawie nie czekając, aż się zatrzyma. Zupełnie zignorowała swoje kochane, drogocenne psy, które w strugach deszczu biegły do niej na powitanie. Nie dbała o to, że mogą jej zmoknąć włosy, ani też o atlasowe pantofle na wysokich obcasach.

- Dzień dobry, mamusiu.

- Och, Priscilla, och, kochanie - uściskały się serdecznie. - Ale, na Boga, co ty tutaj robisz? Jakim cudem, skąd tu się wzięłaś?

- Przyjechaliśmy przecież uczcić waszą rocznicę ślubu - wtrącił zięć, śmiejąc się od ucha do ucha.

Uściskała go z radością, a potem znowu zwróciła się do Priscilli.

- Ale... wasze dzieci? Z kim zostawiliście dzieci?

- Opiekuje się nimi nasza przesympatyczna sąsiadka. Tylko zdrowo musieliśmy się nagłówkować, żebyście się niczego nie domyślili. Konspiracja pierwsza klasa, udała się, nieprawdaż?

Teraz dopiero nadjechało drugie auto. Henry...

- Halo! Tato! Niespodzianka! Niespodzianka!

- Co się, do licha, tutaj dzieje? - to było wszystko, co zdołał z siebie wykrztusić. Wzruszenie odjęło mu głos.

Priscilla wzięła ojca pod rękę.

- Wejdz do środka, wszystko ci pokazemy.

Ogłuszeni radością poszli za nią. Stanęli w przedpokoju i usłyszeli jakiś dobiegający ich z góry głos.

- Wszystkiego najlepszego, kochani. Moc powinszowań.

Spojrzeni do góry i zobaczyli stojącą tam Tessę. Dziewczyna szybko zbiegła po schodach. Długie, jedwabiste włosy spływały jej na plecy. Tessa odbiła się i trzy ostatnie schodki przebyła jednym skokiem, jak zawsze miała w zwyczaju robić. I Henry, jak to się dawniej często zdarzało, chwycił ją w ramiona i unióśł do góry.

- Małpiszonie! - zawołał. - Skąd się tutaj wzięłaś?

- Z Londynu, jakże by inaczej! Mamusiu, kochana, wyglądasz fantastycznie! Nie, to nie jest największa niespodzianka. To jeszcze nie koniec. Chodźcie ze mną.

Ojciec coś jeszcze mówił, ale Tessa go nie słuchała. Wzięła matkę pod rękę i niemal siłą zaciągnęła do salonu. Ogień wesoło płonął na kominku. Wszystko udekorowane było kwiatami. Kate i Tony stali oparci o kominek, plecami do ognia. A przy nich stał jakiś młody mężczyzna o opalonej twarzy i włosach jasnych od tropikalnego słońca. To był Rodney.

- Chodźcie tutaj! - zawołała Tessa.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział Rodney.

- Jak wyście tego zdołali dokonać? - zapytała Edwina, witając się z Rodneyem. - Jakim cudem to wszystko zaaranżowaliście tak doskonale?

- To była konspiracja. Ciocia Kate i wujek Tony też są w to zamieszani. I oczywiście Rosemary i James, im zawdzięczamy najwięcej. I Bessie Digley. Spotkaliśmy się wszyscy wczoraj w Londynie i razem tu przylecieliśmy.

- Ale Rodney... przecież dostałam od ciebie telegram nadany na statku.

- Poprosiłem pierwszego oficera, żeby wysłał depeszę w moim imieniu.

Edwina odwróciła się do córek.

- I wasze kartki...

- Tereferę kuku - powiedziała Tessa. - To po to, żeby uśmierzyć wszelkie możliwe podejrzenia. I przygotowaliśmy oczywiście dla wszystkich gorącą kolację - dodała. - Priscilla i ja ugotowałyśmy to w kuchni u cioci Kate i przywieźliśmy to w pojemnikach ich samochodem. Tyle tego, że auto ciotki wyglądało jak bar na kółkach.

- Ale... ogień... Ten pokój... Kwiaty... i wszystko...

- Tym zajęli się Rodney i wujek Tony, podczas gdy my krzątałyśmy się w kuchni. I Bob pomagał...

- To było takie zabawne - wtrąciła się Priscilla. - Już wtedy, kiedy wychodziliście do Rosemary i Jamesa, my czekaliśmy ukryci w samochodzie, niedaleko. Wyłączyliście wszystkie światła i wcale nas nie zauważyliście. Jak w grze w ciuciubabkę. I jak tylko wyszliście, od razu rzuciliśmy się w wir pracy.

- Jak dostaliście się do środka? - chciał wiedzieć Henry.

- Tessa ciągle jeszcze ma swoje klucze. I Bessie Digley też pomogła. Przygotowała dla nas łóżka. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zostaniemy na cały weekend, dobrze? Rodney może jeszcze dłużej, ponieważ dostał dwa tygodnie urlopu, ale ja nie mogę zostawić dzieci na tak długo i Tessa także musi wracać do pracy.

Radośnie wystrzeliły w górę korki od szampana. Ktoś trzymał szklanę Edwiny. Ona sama nie zdążyła jeszcze nawet zdjąć płaszcza. Nigdy jeszcze nie czuła się tak szczęśliwa.

* * *

Chwilę później Edwina po cichu wyslizgnęła się z salonu rozbrzmiewającego śmiechem, wesołą rozmową, pachnącego szampanem. Zerknęła do jadalni na wielki, gorący ogień radośnie trzaskający w kominku, na ogromny, mahoniowy stół, przygotowany jakby na królewski bankiet. Potem skierowała się do kuchni, wetknęła głowę w drzwi.

Bessie Digley odwróciła się od kuchenki.

- Ależ, proszę pani, udała nam się niespodzianka.

Takiego uśmiechu na jej twarzy Edwina nie widziała nigdy przedtem.

Weszła na górę.

Drzwi we wszystkich sypialniach były otwarte i w każdej paliło się światło. Rzuciła przelotne spojrzenie na uchylone walizki i ubrania rozrzucone w nieładzie. Weszła do swojego pokoju, wreszcie zdjęła przemoknięty płaszczyk i położyła na łóżku. Pomyślała, że może powinno się zasłonić okno, ale szybko zrezygnowała z tego zamiaru. Niech cały świat widzi, niech wszyscy wiedzą, co się tutaj wydarzyło. Stała tyłem do okna i skierowała wzrok na wielkie małżeńskie łóżko. Potem spojrzała na stojące na toalecie fotografie. Tak, dom znowu tętnił życiem, znowu zamieszkało tu szczęście. Henry miał rację. Jeszcze nie są starzy. Jeszcze za wcześnie na sprzedawanie domu.

Nagietkowy ogród

cale nie miał zamiaru jechać do Brookclere. Wioska leżała daleko w Hampshire, piętnaście mil od autostrady prowadzącej z Southampton do Londynu.

Tak jakoś jednak, może z powodu wspomnień, może dlatego, że wszystko tutaj wydawało mu się znajome i bliskie, poczuł, że coś go ciągnie do Brookclere. Nie umiał sobie wytłumaczyć dlaczego, nie miał przecież żadnego konkretnego powodu, żeby tam teraz jechać. Przecież już dawno było po wszystkim. Jego dawne marzenia straciły wszelką rację bytu. Julia i jej świeżo upieczony małżonek z pewnością spędzają teraz czas w podróży poślubnej, nad Morzem Śródziemnym albo gdzieś w tropikach czy też może wśród Indian. Już nigdy nie spotka się z Julią.

Droga zakręcała. Zobaczył znajome drogowskazy. Lamington. Hartston. Brookclere. Koło kępy drzew pasły się krowy.

Miles zdjął nogę z gazu, lekko przyhamował. Wskazówka prędkościomierza zaczęła spadać. Siedemdziesiąt. Pięćdziesiąt. Do licha, co ja robię, pomyślał. To jednak okazało się silniejsze od zdrowego rozsądku. Pojawił mu się przed oczyma obraz starego domu z czerwonej cegły, porośniętego wistarią. Trawnik schodzący w dół do rzeki. Zapach róż.

Zjechał na prawy pas, potem powoli wtoczył się na drogę prowadzącą do Brookclere.

Dlaczego ja to robię, pytał się w myślach i nie znajdował odpowiedzi. Przecież ślub odbył się dziesięć dni temu. Mógł przyjechać wcześniej. A teraz już zupełnie nie było po co.

Znał dobrze tę okolicę. Małe miasteczko, pub, sklepik. Cztery lata temu przyjechał po raz pierwszy w te strony. Był wtedy przejęty, zdenerwowany. Starał się o pracę zarządcy farmy należącej do pani Hawthorne. To miała być jego pierwsza robota po ukończeniu studiów rolniczych.

Pani Hawthorne, kiedy już się poznali, wyjaśniła mu swoją sytuację. Jej mąż niedawno zmarł. Syn, który mógłby się zająć farmą, podpisał tego rodzaju terminową umowę z armią, że obecnie stacjonuje w Hongkongu.

- ... i kiedy opuści armię, zamierza studiować rolnictwo, tymczasem jednak nie mam nikogo, kto by mi pomógł, zanim Derek będzie mógł powrócić do domu.

Miles pomyślał, że kobieta stanowczo wygląda zbyt młodo jak na dorosłego syna, ale nie powiedział tego głośno, ponieważ był teraz czas na sprawy służbowe, a nie na prawnie kobietom komplementów.

- Jak pan widzi, muszę mieć tutaj zarządcę. A teraz покаż panu to wszystko.

* * *

Spędzili niemal cały dzień, dokładnie oglądając farmę. Budynki gospodarcze były w dobrym stanie, a pomieszczenia dla zwierząt, stajnie i obory czysto utrzymane. Dalej rozciągały się pola uprawne. Leżały jakieś worki z nawozami sztucznymi. W niewielkim wygonie dla stadniny konie skubały trawę.

- Czy pani może jeździ konno? - grzecznie zapytał panią Hawthorne.

- Nie - zaśmiała się. - Koniarzem w naszej rodzinie jest Julia.

- Julia to pani córka?

- Tak, pracuje w sklepiku z rzeczami używanymi w Har-

ston. Cieszę się z tego, ponieważ nie pojechała do Londynu i mieszka z nami. Boję się jednak, że nie potrwa to długo. Prawie wszystkie tutejsze panny uciekają ze wsi do Londynu. Wyjechali jej przyjaciele, Julia czuje się tu trochę samotniona i chyba szykuje się do tego, żeby podążyć za nimi.

- Tak, sądzę, że młodzi ludzie lubią po skończeniu szkoły jeździć do Londynu.

Śmiała się.

- Nigdy pan nie chciał pracować w Londynie?

- Nie, zawsze marzyłem o pracy na farmie.

Pokazała, gdzie będzie mieszkać, jeżeli zostanie tutaj. Mały, ceglany domek z okropnie zaniedbanym ogródkiem.

- Przykro mi, trochę wymknęło mi się to spod kontroli.

Rozejrzał się po ogrodzie.

- Sądzę, że szybko zdołam doprowadzić ogródek do porządku.

- Taki z pana zapalony ogrodnik?

- Można to tak nazwać. Nienawidzę chwastów.

Cały czas śmiała się z tego, co mówił. Widział jednak, że jest mu życzliwa.

- Znam to - powiedziała. - Większość życia spędziłam na wrywaniu chwastów.

- Podobnie jak moja matka.

Spojrzeni na siebie. Tym razem roześmieli się oboje. To był początek ich przyjaźni.

Wieczorem wrócili do biura farmy. Zamiast usiąść w eleganckim, skórzanym fotelu, po prostu oparła się o biurko, włożywszy ręce głęboko w kieszenie kombinezonu. Zwróciła wzrok na Milesa.

- Dostanie pan tę pracę, jeśli panu nadal na tym zależy - powiedziała mu.

A on wbrew wszelkiemu rozsądkowi, ponieważ bardzo pragnął tutaj pozostać, powiedział, że może lepiej będzie, jeśli zatrudni kogoś z większym doświadczeniem. Kogoś starszego.

Ona jednak, odchyliwszy głowę do tyłu, zawołała wesoło:

- Mój Boże, ależ bym się męczyła z kimś takim. Wszadzałby nos we wszystkie sprawy i mądrzyłby się, że nic tu nie wygląda tak, jak powinno.

- Tak - rzekł Miles. - To prawda.

Został w Brookclere. Pracował tu przez rok. Mógłby i dłużej, gdyby nie Julia.

Miles miał wtedy dwadzieścia trzy lata. Jakoś nigdy przedtem nie myślał o spotkaniu dziewczyny, z którą miałby spędzić resztę życia. Jeszcze wcale nie planował żadnego zakochiwania się. To zdarzało się innym mężczyznom, wiedział o tym. Zawsze jednak wyobrażał sobie, że jemu samemu nic takiego szybko się nie przytrafi. Może po trzydziestce albo później. On robiłby przez ten czas inne rzeczy, zbudowałby dla siebie jakąś solidną przyszłość, oparcie finansowe, to, co będzie mógł kiedyś zaoferować kobiecie, którą wybierze. Czas przeminie, rzeczy dojrzeją, a on da swojej wybrance zabezpieczenie na przyszłość, jak własnoręcznie wykonany prezent.

Ale właśnie wtedy, zupełnie niespodziewanie, pojawiła się Julia i wszystkie powzięte przez niego plany pryskały jak bańki mydlane. Przez chwilę fruwały wokół jego głowy, potem pękały i znikwały na zawsze.

Dlaczego to miała być akurat Julia? Cóż widział w niej takiego innego, takiego niezwykłego? Czemu wszystko, co się z nią wiązało, wydawało mu się takie odmienne, atrakcyjne, magiczne? Kiedyś usłyszał słowo „powinowactwo”. Sprawdził w słowniku, może to będzie pasowało do jego sytuacji.

Byli ze sobą w tym czasie naprawdę blisko. Widywali się, choćby na krótko, prawie codziennie. Pomagał uruchamiać jej mały samochód w mroźne poranki. W pogodne, kwietniowe soboty razem jeździli konno. Potem razem kąpali się w rzece. Kiedy liście były już kolorowe, wspólnie zachwycali się pięknem przyrody, a gdy zaczęły opadać

z drzew, palili ogniska... Pamiętał, jak na Boże Narodzenie włożyła czerwoną sukienkę, a jej oczy błyszczały z radości jak u dziecka.

Ale to właśnie on wszystko zepsuł.

* * *

Był sobotni wieczór, parny i gorący. Siedzieli razem nad brzegiem rzeki. Z dała poprzez łąki dobiegał dźwięk kościelnych dzwonów.

- Kocham cię.
- Nie chcę, żebyś mnie kochał - powiedziała.
- Dlaczego nie?
- Bo nie chcę. Bo nie jesteś tego rodzaju osobą.
- A jaki jestem?
- Jesteś Miles.
- A Miles to nie to co inni mężczyźni?
- Pewnie, że nie. Miles jest tysiącrotnie miłszy - powiedziała ciepło.

- Zdziwię się, jeśli mi powiesz, że traktujesz mnie jak brata.

- Nie, przecież już mam brata.
- Jak psa? Groźny pies tresowany na ludzi.
- Nie mów takich okropnych rzeczy.
- To co byś chciała, żebyśmy powiedział? Nie możemy tak dłużej istnieć.

- Jeszcze nie jestem przygotowana na zakochiwanie się, wychodzenie za mąż, siedzenie w domu i rodzenie dzieci.

- A co byś chciała teraz robić?
- Nie wiem. Na pewno coś bym chciała zmienić w życiu, ale nie żeby teraz wychodzić za mąż.

- Co zmienić?

Spojrzała gdzieś w dal. Długie, ciemne włosy zsunęły jej się na twarz.

- Nie mogę cały czas mieszkać z rodzicami. Chyba powinnam pojechać do Londynu. Sukie Robins... znasz ją, spotkałeś ją na tamtej prywatce, pamiętasz?... Chodziły-

śmy razem do szkoły. Sukie wynajęła mieszkanie w Wandsworth. Szuka kogoś, kto by z nią mieszkał...

Miles nic nie powiedział na tę druzgoczącą rewelację. Julia niespodziewanie odwróciła się do niego, spojrzała na niego z mieszaniną rozpacz i jakiejś dziwnej złości, sam nie był pewien, czy skierowanej przeciwko niemu, czy może samej sobie. Nie mógł tego zgadnąć.

- Och, Miles, z twojego punktu widzenia to wszystko jest słuszne. Ty robisz to, co chcesz. Nie chodzi ci o nic innego. Ty idziesz swoją drogą, podjąłeś swoje decyzje. Ale ja mam dwadzieścia jeden lat i jeszcze nic nie wiem. Nie zrobiłam niczego...

Mógł nie odpowiedzieć na ten wybuch. W końcu zapytał:

- A co na to matka?

- Ja kocham mamę. Ona wie o tym. Mama jest ostatnią osobą, która mogłaby zabronić mi szukania w życiu własnej drogi, która byłaby tak zaborcza i despotyczna...

- Myślisz, że ja jestem taki?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jeszcze przez parę lat nie chcę wychodzić za mąż. Istnieje milion innych rzeczy, którymi chcę się zająć, zanim to nastąpi. I czuję, że muszę zacząć już teraz.

Po chwili Miles powiedział:

- Nie zawsze będę tylko zarządcą farmy, wiesz o tym. Będę samowystarczalny, bogatszy. Rzeczy się zmieniają i zobaczysz, że to będzie na korzyść.

- Masz na myśli pieniądze? Mylisz, że nie chcę ciebie, bo masz za mało pieniędzy? Jak możesz myśleć coś tak paskudnego?

- Bycie praktycznym nie jest paskudne.

- To nie o to chodzi.

- Rozumiem.

- Nie możesz mieć o mnie dobrej opinii, jeżeli mówisz coś takiego. Nigdy nie sądziłam, że możesz być takim materialistą.

- Julio, tak bardzo cię kocham.

- W takim razie przepraszam cię... przepraszam... - przy tych słowach rozpląkała się. Łzy ciekły jej z oczu, spadając na buty. - Przykro mi ze względu na mnie i ze względu na ciebie. Ale ja nie chcę być związana, upakowana, zniewolona, jak zdechły motyl przyszpilony do swojego miejsca.

I po tym niezwykłym stwierdzeniu odwróciła się od niego i uciekła do domu.

Miles został sam nad brzegiem rzeki. Siedział tak jeszcze długo - samotny, atakowany przez komary. Na nic nie zwracał uwagi. Zepsuł wszystko i już teraz nic nie będzie takie samo.

Nosił się potem z tym przez tydzień. Wreszcie przyszedł do pani Hawthorne i złożył wymówienie. Zwierzchniczka nie była głupią kobietą i Miles żywił szacunek dla jej szczerości.

- Och, Miles. Tu chodzi o Julię, prawda?

- Tak.

- Jesteś w niej zakochany?

- Sądzę, że zawsze kochałem się w niej. Od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem.

- Obawiałam się, że coś takiego się wydarzy. Julia wybiera się do Londynu. Wynajęła mieszkanie i ma zamiar znaleźć tam pracę. Nie ma żadnych powodów, żebyś musiał odchodzić.

- Muszę.

- Tak. Mogę to zrozumieć. Przykro mi. Bałam się tego, chociaż w głębi duszy marzyłam o tym, że zakochasz się w niej i będziecie razem. Bardzo przypadłeś mi do gustu i czyniłam sobie takie niemądre plany. Jak każda sentymentalna matka. Ale nie mam prawa wykorzystywać tego, że jestem matką, nie mogę żądać od niej posłuszeństwa ani też nakazać jej czegoś takiego. Nie wolno mi podejmować za nią decyzji w tej sprawie.

- Wiem. Nigdy nie liczyłem na to.

- Nie ma w tym jednak żadnej twojej winy. Nikt nie zawinił, że tak się stało.

* * *

Znalazł pracę w Szkocji, w leśnictwie.

- Może tego mi teraz potrzeba - powiedział do pani Hawthorne.

- Życzę powodzenia - rzekła z wymuszonym uśmiechem. Och, Miles, Miles, bardzo mi będzie ciebie brakowało.

- Wrócę - obiecał.

Nie dotrzymał słowa. Całym sobą pogрузił się w nowych sprawach. To nie była tylko ta różnica, że przedtem farmerstwo, a teraz leśnictwo. To oznaczało również zupełnie inne życie, a przede wszystkim straszliwą samotność, jakiej nie doświadczył nigdy przedtem. Zajął się nowymi sprawami, poszukiwał rozwiązań wielu zawodowych problemów. Potem stopniowo, nawet na tym odludziu, pozyskiwał sobie przyjaciół. Nauczył się, że czasem trzeba przebyć trzydzieści, czterdzieści mil, żeby się z kimś spotkać. Sadził drzewa, walczył ze szkodnikami. Zimą przemierzał na nartach bezkresne obszary lasu. Nauczył się topić lód w celu zdobycia wody, kiedy zamarzała studnia. Łowił łososie i pstrągi. Jakby stary szkocki taniec wirowy na osiem osób tańczył solo. Nauczył się żyć samotnie.

Pracował, zdarzało się, że i siedem dni w tygodniu. Pracą ponad siły próbował zagłuszyć ból. Jeżeli pozwalał sobie na jakąś chwilę lenistwa, to głównie po to, żeby przeczytać książkę lub gazetę. Pewnego poranka, gdy już przebywał na swoim odludziu przeszło dwa lata, musiał pojechać dwadzieścia mil do Relkirk, na jarmark w dzień targowy. Akurat wtedy kupił gazetę i w dziale informacji towarzyskich znalazł ogłoszenie o zaręczynach Julii z mężczyzną, który nazywał się Henry Fleet. Najpierw miał zamiar wracać prosto do leśniczówki, potem przejeżdżając koło pubu pomyślał, że wstąpi tam, by - pierwszy raz w życiu - upić się do nieprzytomności.

Nie dane mu było jednak samotne pijaństwo. W pubie spotkał dawnego przyjaciela, kolegę, z którym przed laty razem studiowali rolnictwo. Dziwnym zbiegiem okoliczno-

ści to spotkanie okazało się punktem zwrotnym w jego życiu.

Teraz był już blisko Brookclere. Droga wiodła w dół, widział już skupisko domów położonych wzdłuż szosy, a dalej farmy i niewysokie wzgórza. Minął kościół i plebanię, przejechał obok sklepu spożywczo-przemysłowego, w którym można było kupić dosłownie wszystko. Potem droga prowadziła obok niedużego dębowego lasku, skręcił w lewo, przejechał przez bramę w pomalowanym na biało ogrodzeniu, następnie przez mały mostek i wreszcie jego oczom ukazał się dom z czerwonej cegły, porośnięty wistarią. Ogród otoczony krzewami rododendronu.

Zatrzymał auto, wyłączył silnik. Wysiadł z samochodu i z przyjemnością wciągnął w nozdrza znajomy zapach wiejskiego podwórza. Z oddali dochodziło ciche gdakanie kur, hodowanych przez panią Hawthorne.

Drzwi do kuchni były otwarte. Wszedł, ale nie znalazł tam nikogo. Panowała tam cisza, zakłócana jedynie monotonnym brzęczeniem lodówki.

- Pani Hawthorne? - zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Przeszedł przez kuchnię do przedpokoju, a potem wyszedł do ogrodu.

Spojrzał na trawnik prowadzący w dół aż do rzeki. Na stojące obok taczki... i potem ją zobaczył. Nisko schylona, podcinała sekatorem krzaki róż.

- Dzień dobry - powiedział.

- Miles! - krzyknęła ze zdumieniem i zachwytem. Odłożyła sekator, zerwała się na równe nogi.

- Och, Miles!

Nigdy przedtem nie mieli zwyczaju całować się, ale teraz formalnie padli sobie w objęcia. Uściskom i całusom nie było końca.

- Jaka wspaniała niespodzianka! Gdzie byłeś przez ten czas? Jaki cud znowu cię tutaj sprowadził?

- Jechałem z Southampton do Londynu i pomyślałem sobie, że skoro to tak blisko, wpadnę panią odwiedzić.

- Myślałam, że jesteś w Szkocji.
- Tak, nadal tam mieszkam. Teraz jednak byłem z przyjaciółmi na wakacjach. Oni mają letni domek w Dordogne. I właśnie od nich wracam.
- Wspaniale, że przyjechałeś. Jestem naprawdę wzruszona.
- Ściągnęła rękawice i rzuciła je na trawę.
- Chodźmy, siądziemy spokojnie w cieniu i porozmawiamy. Napijesz się czego? Może być lemoniada?
- Z przyjemnością.

* * *

Pobiegła do domu z czerwonej cegły. Obserwował ją i pomyślał, że przez te dwa i pół roku prawie się nie zmieniła. Nadal szczupła jak młoda dziewczyna, z krótko ostrzyżonymi, lekko siwiejącymi włosami. W długich spodniach z miękkiej tkaniny.

Znikła na chwilę w kuchni i zaraz przyniosła stamtąd na tacy dwie wysokie szklanki z lemoniadą i lodem.

- Lepiej będzie, jeśli nie będziesz przyglądał się ogrodowi koło małego domku - rzekła z uśmiechem. - Miałam mnóstwo roboty i wszystko zarosło zielskiem.

Rozejrzał się wokół. Tak, zdążył polubić to miejsce.

- Jak prosperuje farma? - zapytał.

- Bardzo dobrze - podała mu szklankę z lemoniadą. - Derek wrócił z wojska, skończył szkołę rolniczą i teraz naprawdę porządnie dba o farmę. Jak na razie te sprawy dobrze się układają. Niestety nie będziesz mógł się z nim dziś zobaczyć. Pojechał do Salisbury, kupuje nowy traktor.

- A co z nowym zarządcą farmy, który pracował na moim miejscu?

- Porządny człowiek, nic złego nie mogę powiedzieć. Chyba tylko to, że nie troszczył się wcale o ogródek koło małego domku. Wszystko tam znowu zarosło zielskiem.

- Nikt teraz tam nie mieszka, prawda?

- Nie. Mówiliśmy niedawno o tym z Derekiem, może wy-

nając komuś. Jeszcze się nie zdecydowaliśmy. Ale teraz powiedz mi o sobie. Nadal zajmujesz się leśnictwem?

- Nie, już nie. Przypadkiem spotkałem kolegę z uczelni, przyjechał wtedy do Szkocji z zamiarem kupienia farmy. Okazało się jednak, że jest drożej, niż przypuszczał, że kwota, którą dysponuje, nie starczy na realizację jego planów. I skończyło się na tym, że wziął mnie do spółki i razem kupiliśmy dobrą farmę. Coś takiego, o czym zawsze marzyłem. Od razu zadzwoniłem do ojca, przedstawiłem mu nasze plany. Zaakceptował je i przelał na moje konto odpowiednią sumę. Od czterech miesięcy pracujemy razem z przyjacielem i myślę, że dobrze nam idzie ta robota.

Uśmiechnął się.

- Wielką zaletą tej spółki jest to, że czasem mogę wyjeżdżać na wakacje.

- Jestem pewna, że tego właśnie potrzebowałaś. Wygląda na to, że naprawdę spotkałeś dobrego przyjaciela. A co z domem? Razem mieszkanie?

- Nie. Wie pani, Charlie jest żonaty, więc zdecydowaliśmy, że jemu przypadnie w udziale duży dom, a mnie mały - w tym wypadku wcale nie najmniejszy, z nową kuchnią, centralnym ogrzewaniem i wszystkimi tego rodzaju luksusami.

- A ty nie ożeniłeś się? - uśmiechnęła się do niego.

- Nie.

- Człowiek nie powinien być sam, Miles.

Pociągnął duży łyk lemoniady. To było kwaskowe, odświeżające i lód postukiwał o szkło. Wypił, odstawił szklankę i zapytał tak spokojnie, jak tylko potrafił.

- Jak udało się wesele?

- Nie było.

- Nie rozumiem.

- Po prostu nie było ślubu. Został odwołany pięć dni przed planowanym terminem. Julia i Henry przyszli do mnie i stwierdzili, że oboje tak zdecydowali, ponieważ doszli do wniosku, że nie pasują do siebie i na pewno nie są

dla siebie stworzeni. Daliśmy informację do prasy, ale ty byłeś wtedy w Dordogne i mogło to nie dotrzeć do ciebie.

- Ale dlaczego? - zapytał. - Jaki był prawdziwy powód?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Żadne z nich nie potrafiło powiedzieć nic konkretnego.

- Czy podobał się pani ten człowiek?

- Tak. Bardzo. Tego rodzaju młody mężczyzna, jakiego każda matka chciałaby dla swojej córki. Uprzejmy, bogaty, miał dobrą pracę. Chociaż zawsze wydawało mi się, że Julia bardziej kocha jego niż on ją. Otwarcie, niemal demonstracyjnie okazywała swoje uczucia. Ona już taka jest, nie umie być skryta.

- I co potem? Wróciła do Londynu?

- Nie. Zostawiła londyńskie mieszkanie, rzuciła pracę. Nadal jest tutaj. Nie chce nikogo widzieć. Czuje się bardzo nieszczęśliwa.

Ich oczy spotkały się.

- Nie wiem, czy będziesz chciał się z nią zobaczyć.

- To znaczy, nie wie pani, czy Julia się na to zgodzi.

- Och, Miles, nie chciałabym, żebyś tak myślał.

- Gdzie ona jest teraz?

- Czy pamiętasz te krzaki malin, które rosły na tyłach małego domku? Tam gdzie mieszkałeś. Julia poszła narwać kubek malin na kolację. Może... jeśli się bardzo nie śpieszysz, mógłbyś jej w tym pomóc.

Powiedziała to życzliwie. Od serca.

- Gdybym wiedział, że zaręczyny zostały zerwane, pewnie nie zbaczałbym z autostrady. Pojechałbym prosto do Londynu.

- W takim razie dobrze się stało, że nie wiedziałeś.

- Nie chciałbym wracać do tego wszystkiego, co było.

- Nie przesadzaj. Jej teraz nie w głowie żadne takie sprawy, a na pewno potrzebuje jakiejś przyjaznej duszy. Byliście kiedyś dobrymi przyjaciółmi.

- Tak. Tylko zepsułem to, mówiąc coś takiego głupiego jak „kocham cię”.

- To nie było głupie. Nigdy tak nie myślałam. Może po prostu nie w porę.

* * *

Poszedł wyboistą drogą w stronę domku, w którym kiedyś mieszkał. Minął kamienie porośnięte powojem. Doszedł do furtki. Wypadła z jednego zawiasu i wisiała na pozostałych, lekko kołysząc się na wietrze. Za furtką leżał zrujnowany ogród. Ogórki, ziemniaki, marchewka, wszystko, co tam kiedyś rosło, zostało zdławione przez chwasty. Teraz była tam wysoka, niemal do pasa, trawa i tylko krzaki malin odważnie wystawiały głowy z tego gąszczu.

Drzwi od małego domku były zamknięte na klucz. Poszedł dookoła wąską, zarośniętą ścieżką, torując sobie drogę poprzez pokrzywy i kłujące trawy. Tam, gdzie kiedyś znajdował się trawnik i rosły piękne, wielobarwne kwiaty, teraz były niemal wyłącznie chwasty. Tylko pomarańczowe nagietki jakimś cudem ocalały, tworząc wśród ciemnej zieleni jasny dywan.

Julia była tam. Nie zrywała malin, nie robiła w ogóle nic.

Po prostu siedziała wśród kwiatów. Jej ciemne, rozpuszczone włosy były okropnie potargane. Nie pamiętał jej aż tak szczupłej. Nie słyszała jego kroków i kiedy wypowiedział jej imię, otrząsnęła się jak osoba zbudzona ze snu.

- Julia! - zawołał znowu.

Odgarnęła włosy z czoła i spojrzała na niego.

- Miles?

- Niespodzianka! - powiedział i podszedł do niej.

- Czy mógłbym ci pomóc w zbieraniu malin?

- Co tutaj robisz?

Wyjaśnił krótko i zwięźle, podobnie jak przed chwilą jej matce.

- Widziałeś się już z mamą?

- Tak.

Julia opuściła wzrok. Ręce jej zaczęły nerwowo odrywać płatki stokrotek, kolejno, jeden po drugim.

- Pewnie myślisz, że oszalałam - szepnęła.

To brzmiało tak, jakby była bliska płaczu. Nie zdziwił się. Wyobrażał sobie, że ostatnie tygodnie musiała spędzić tonąc we łzach. Zawsze była skora do płaczu. Nawet z tak banalnych powodów jak piękno zachodu słońca czy wzruszenie muzyką. Zresztą kochał w niej zawsze ową skłonność do łez.

- Wcale tak nie myślę - powiedział. - Sądzę, że byłaś bardzo odważna. To wymaga wielkiej odwagi, żeby w ostatnim momencie zerwać zaręczyny. Ważne jest tylko to, żebyś wierzyła, że była to słuszna decyzja.

- To było zbyt straszne, nawet żeby o tym myśleć. Matka zareagowała wspaniale, natomiast Derek był wściekły. Twierdził, że jestem straszliwą egoistką i że nie dbam o nikogo oprócz siebie.

- Chodziło mu o Henry'ego?

- Chyba tak, nie wiem. Trudno nam było się dogadać.

- Czasami, jeśli się kogoś naprawdę kocha, lepiej będzie, jeśli pozwoli mu się odejść.

- Kochałam go, Miles. I marzyłam o tym ślubie. On był wszystkim, czego mogłam pragnąć. Nigdy nie myślałam, że sprawy tak się potoczą. Poznałam go w Londynie. Nie sądziłam, że w ogóle raczy zwrócić na mnie uwagę, tak wiele pięknych dziewcząt było w okolicy. A potem zaprzyjaźniliśmy się i to się stawało coraz piękniejsze. Jak odkrywanie nowego świata. Wszystko wydawało mi się jaśniejsze i bardziej wyraziste, jakby rozświetlone. Kiedy zapytał, czy wyjdę za niego, czym prędzej powiedziałam „tak”, żeby przypadkiem się nie rozmyślił.

- A potem doszliście do wniosku, że nie jesteście dla siebie stworzeni.

Rozejrzała się nerwowo, jakby szukała drogi ucieczki.

- To było straszne, kiedy musiałam to zrobić. Czułam się okropnie wobec matki. Pracowała bardzo ciężko ostatni miesiąc i to wszystko dla mnie. Ten koszmar męczy mnie do dziś.

- Matka zrozumiała.
- Prawie chciałam, żeby wpadła w złość, zamiast tego była dla mnie taka dobra... Strasznie mi wstyd.
- Odwaga cywilna nie jest niczym takim, czego trzeba się wstydzić.

Nic na to nie odrzekła. Rozpaczliwie szukał słów, czegoś, co naprawdę mogłoby ją pocieszyć.

- Rzeczy przemijają, sama to mówiłaś. Najważniejsze, żebyś zawsze pozostała sobą. Czas zaleczy rany, a potem przychodzi spokój albo szczęście.

Słuchała go zupełnie zniechęcona, milcząca, odwrócona do niego plecami. Aż zaczął zastanawiać się, czy jego słowa w ogóle docierają do jej świadomości, czy takie mówienie do jej pleców ma sens.

- Najgorsze masz już za sobą - powiedział. - Teraz już wszystko będzie szło ku lepszemu.

- Ja... nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek będzie lepiej...

Odwróciła się do niego i zobaczył jej twarz skąpaną w łzach, zanim zdążyła zasłonić się dłońmi.

- On chciał... żeby ludzie myśleli, że to była nasza wspólna decyzja. Uważał, że tak będzie lepiej. Ale on powiedział, że... nie kocha mnie aż tak bardzo, żeby... nie chciał tracić swojej wolności. On już mnie nie chciał.

Poczuł, że wzruszenie ściska go za gardło. Niełatwo jej było mówić, a jemu z trudem przychodziło słuchanie tych zwierzeń.

Objął ją, przytulił do siebie. Poprzez cienką sukienkę doskonale wyczuwał palcami jej żebra. Płakała, łzy ciekły po jego koszuli.

- Wszystko będzie dobrze - powtarzał.
- Nie wiem, co teraz robić.
- Czy chcesz, żebym coś wymyślił?

Jeszcze kilka łkań i Julia zwróciła ku niemu zapłakaną twarz. Pomyślał, że nigdy przedtem nie wyglądała tak pięknie.

Próbowała otrzeć lzy ręką. Podał jej chusteczkę.

- Co ja mam teraz robić?

- A jeśli ci powiem, jaki mam pomysł, to będziesz chciała tego wysłuchać?

Pociągnęła nosem.

- Tak.

- Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś mogła wyjechać, poznać nowych ludzi, zobaczyć inne miejsca, odpocząć, po prostu zrobić sobie wakacje.

- Dokąd mogłabym pojechać?

Opowiedział jej o Szkocji, o swojej farmie. O Charliem i Jenny i o swoim małym domku.

- Tam jest pięknie, a poza tym mnóstwo fantastycznych rzeczy do zrobienia.

- Na przykład co?

- Koszenie trawy, budowanie ogrodzenia, karmienie kurczaków...

Znowu pociągnęła nosem. Odgarnęła włosy z twarzy.

- Och, Miles, ty zawsze byłeś dla mnie taki dobry. Często o tobie myślałam, że ilekroć zdarzało się coś złego i ty byłeś w pobliżu, to już za chwilę przepędzałeś to zło. A ja ciebie unieszczęśliwiłam. Teraz wiem, jak to jest. Zrobiłam ci coś potwornego.

- Lepiej by było, gdybyś nie musiała się przekonywać, jak bardzo można cierpieć.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego teraz przyjechałeś do Brookclere.

- To chyba tak jakoś, jak człowiek płynie i w rzece jest bardzo silny prąd. Taka siła, która prowadzi, i nie można tego zmienić. Po prostu czułem, że muszę skręcić, zjechać z autostrady na drogę do Brookclere. Może miłość jest bardziej stałym uczuciem, niż się sądzi.

- Kiedy musisz wracać do siebie?

- Dziś wieczorem.

- Czy mogłabym pojechać z tobą?

- Jeśli chcesz. I jeżeli zdążysz się spakować.

- Miałam narwać malin.
- Pomogę ci.
- To będą... takie wakacje... nic więcej?
- Możesz wrócić do Hampshire, kiedy tylko zechcesz.

Nagle pochyliła się i pocałowała go. Krótko, delikatnie, w policzek.

- Myślę, że zapomniałam jednak, jak bardzo jesteś wspaniały. Czuję, jakbym wreszcie odzyskała drugą połowę siebie.

- To chyba dobry początek, skoro tak czujesz - powiedział.

* * *

Dobry początek. Wiedział, że często, prawie zawsze w życiu różne sprawy powracają. Znowu przyjaźni się z tą dziewczyną. Rzeczy wróciły do swojego początku. Tylko oni są już trochę inni. Dojrzałsi, doroślejsi. Dużo przeżyli przez ten czas. Pomyślał o czekającej na niego farmie, o pracy, którą tak lubił, o Charliem i Jenny, w których znalazł prawdziwych przyjaciół. I znowu wierzył, że swoją pracą zbuduje dla Julii przyszłość, wspaniały prezent, jaki któregoś dnia będzie mógł jej ofiarować.

Weekend

Na ten weekend ogłosili zawieszenie broni. Nie chodziło o jakąś tam przerwę w sprzeczkach i waśniach, bo od dwóch lat, odkąd się poznali, nigdy się nie kłócili. Może więc była to raczej dżentelmeńska umowa, a nie żadne zawieszenie broni - Tony obiecał, że w czasie tego weekendu ani razu nie poprosi Eleonory o rękę. Nie będzie więc miała okazji, żeby mu jeszcze raz dać kosza.

Zatelefonował do niej jakieś trzy albo cztery dni wcześniej.

- Właśnie chciałem ci powiedzieć, że będę miał kilka dni wolnych. Czy nie pojechałabyś ze mną za miasto?

Eleonora pracowała w wydawnictwie. Spojrzała na swoje biurko ze stertą korekt, na maszynopis o dwojgu zakochanych, napisany tak ciężko, że nie bardzo wiedziała, co z tym powinna zrobić...

- Och, Tony, mam w pracy mnóstwo roboty. Nie dadzą mi teraz urlopu.

- Ale spróbuj. Powiedz naczelnemu, że masz chorą ciotkę, której musisz wygładzić poduszkę, i że koniecznie musisz na parę dni wyjechać.

- To nie będzie łatwe - znowu skierowała wzrok na biurko zawalone robotą.

- W takim razie chociaż tylko na weekend - upierał się Tony. - Wyjedziemy w piątek, zaraz jak skończysz pracę, a wrócimy do Londynu w niedzielę wieczorem.

- Czy poczyniłeś już jakieś plany?
- Tak. Chcę, żebyśmy pojechali do Brandon Manor.
- Tam, gdzie kiedyś pracowałeś - domyśliła się. - Sądziałam, że to miejsce wyłącznie dla milionerów.
- Dla milionerów, ale i także dla pracowników mojej firmy hotelowej. Mogę załatwić to naprawdę tanio. Powiedz tylko, że się zgadzasz, a ja od razu zamówię pokój.

Eleonora pomyślała, że weekend poza miastem to rzeczywiście dobry pomysł. Komfortowe warunki w dobrym hotelu i budząca się do życia przyroda. Drzewa wypuszczają liście, trawa zielenieje, ptaki zaczynają śpiewać...

- Ale nie będziesz... - zaczęła i urwała. - Mam na myśli to, że nie będziemy...

- Nie, oczywiście, podczas tego weekendu nie będziemy się kłócić na temat pierścionka zaręczynowego - powiedział Tony. - To będzie tabu. Przez cały czas nie wspomnę o tym ani słowem. Po prostu uciekniemy od wszystkich codziennych spraw i będziemy cieszyć się sobą.

- Muszę przyznać, że to kusząca perspektywa.

- Kocham cię - powiedział.

- Tony, przecież obiecałeś.

- Nie, nieprawda, tego wcale nie obiecywałem. Mówiłem tylko, że w tym tygodniu nie będę cię prosić, żebyś została moją żoną. Natomiast mogę co chwila wyznawać ci miłość. To dwie zupełnie różne sprawy.

Śmiał się. Dobrze znała jego głos i zawsze wiedziała, kiedy żartował.

- Zatem do piątku, do zobaczenia - powiedziała.

Zbliżali się do Brandon. Pogoda dopisała, był piękny, słoneczny dzień. W Londynie już zaczęły się pojawiać na klombach róże. Na wsi pierwsze oznaki wiosny miały znacznie więcej prostoty. Sady były przybrane jasnoróżowym kwieciami, kwitły forsycje i delikatne, jakby aksamitne, prymulki.

Już prawie dojeżdżali. Oczom ich ukazały się odległe góry Malvern, spowite siwą mgłą.

- Moglibyśmy tam kiedyś pojechać. Tam jest naprawdę pięknie - rzekła Eleonora. - I jeszcze dalej, do Walii i potem nad morze.

- Ale nie teraz - jedziemy do Brandon - zaprotestował. - To już bardzo blisko stąd.

Samochód wjechał na szczyt wzgórza, drogą targaną przez wiatry, potem zjechał w dolinę, i wkrótce znaleźli się w niedużym miasteczku, pięknym jak z obrazka. Skręcili i w chwilę później zatrzymali się przed uroczym starym dworem, który teraz służył jako hotel.

- Jak pięknie - westchnęła z zachwytem. - Czy długo tutaj pracowałeś?

- Prawie cztery lata. Byłem asystentem głównego menedżera, co w praktyce oznaczało chłopca do wszystkiego, ale skorzystałem z tego i wiem teraz o hotelach wszystko, nie tylko o tym zabytkowym dworze.

- Jak długo istnieje ten hotel?

- Rodzina, do której przedtem należał, sprzedała go przed wojną. I od tej pory był to hotel. Nawet możemy dostać pokój dla młodych par, które przyjeżdżają tu spędzić swój miodowy miesiąc. To są najlepsze apartamenty, Brandon słynie z tego.

- Tony! - skarciła go ostro. - Obiecałeś nie poruszać tego tematu.

Tony wyłączył silnik.

- Nie obawiaj się. Nie będziemy z tego korzystać. Choć szkoda, bo są to apartamenty wyjątkowo urokliwe i eleganckie.

- Tony! Przestań!

- To takie romantyczne miejsce - westchnął. - Nie będzie mi łatwo dotrzymać obietnicy.

- Jeśli nie możesz wytrzymać, to chyba najlepiej będzie, jeśli spędzisz całe te dwa dni grając w golfa.

- I co? Będziesz grała razem ze mną?

- Nie. Znajdę jakąś panią, która trochę się nudzi i porozmawiamy o najnowszej modzie.

Tony zaczął się śmiać.

- To będzie naprawdę niezwykły weekend.

Nagle pochylił się i pocałował ją w usta.

- Najbardziej cię kocham, kiedy robisz takie groźne miny. Chodźmy już, zobaczysz, jak tu ładnie.

Weszli do wykładanego kamiennymi płytami holu. Panowała cisza, zakłócana jedynie tykaniem starego zegara i trzaskiem płonącego w kominku drewna.

W recepcji za ladą stał jakiś mężczyzna. Sortował akurat korespondencję. Tak bardzo był zajęty tą czynnością, że zupełnie nie zwrócił na nich uwagi, dopóki Tony nie zawołał.

- Alistair!

Wtedy spojrzął w ich stronę zaskoczony. Przez chwilę patrzył na nich ze zdumieniem, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

- Tony! - zawołał wreszcie z zachwytem. - Co tutaj robisz?

- Przyjechaliśmy na weekend. Nie zauważyłeś mojego nazwiska na liście rezerwacji?

- Oczywiście, że tak. Talbot. Ale to bardzo popularne nazwisko, nie wiedziałem, że to ty. Co za wspaniała niespodzianka!

Tony odsunął się troszkę i wskazał na Eleonorę.

- To moja znajoma. Eleonora Dean.

- Miło mi panią poznać.

- I wzajemnie.

Podali sobie dłonie.

- Alistair i ja byliśmy razem na szkoleniu - wyjaśnił Tony. - W Szwajcarii.

- Mieszkacie teraz w Londynie? - zapytał Alistair.

- Tak. Szczęśliwie się złożyło, że dostałem kilka dni wolnego i pomyślałem, że wpadnę tutaj zobaczyć, jak ci idzie robota. Dużo masz pracy?

- Jest ruch w interesie - uśmiechnął się Alistair. - I roboty po uszy.

- Intratny handel luksusowymi apartamentami dla młodych par?

- Coś w tym rodzaju. Wy też świeżo po ślubie z tą miłą panią? - zapytał.

- Nie, skądże znowu. My tylko tak, na weekend.

Alistair zaśmiał się i nacisnął dzwonek.

- Posłałem portiera po wasze bagaże. Nawet jeśli nie jesteście po ślubie, to i tak powinniście być zadowoleni, jeśli dam wam jeden z tych luksusowych pokoi.

* * *

Eleonora czuła się tak, jakby przebywała w najmiłszym prywatnym domu. Ponadto wiedziała, że nie musi pomagać w zmywaniu. To miejsce bardzo przypominało jej pewien piękny dom, w którym kiedyś mieszkała, ale musiała opuścić. Kochała tamten dom, tęskniła za pięknymi meblami, które tam zostały. Tutaj wprowadzono wiele unowocześnień, jak klimatyzacja i takie różne rzeczy. Te poprawki nie psuły jednak miłej atmosfery, a nawet jej sprzyjały.

Wieczorem Tony zdążył się już wykąpać i przebrać do kolacji, a Eleonora ciągle jeszcze robiła makijaż. Czekając na nią, przysiadł na brzegu łóżka. Wyglądał wytwornie i uroczo w ciemnej marynarce, świeżej koszuli, pod krawatem.

- Ładnie pachniesz - powiedziała. - Lubię tę wodę po goleniu.

- Poza tym, że ładnie pachnę, okropnie chce mi się pić - odparł.

- Wiesz co, zejdź do baru i zamów sobie coś do picia, a ja zaraz będę gotowa i zejdę do ciebie. To nie zajmie mi więcej niż dziesięć minut.

Zostawił ją. Zaczęła rozczesywać długie włosy. Napotkała w lustrze spojrzenie swoich własnych oczu i ruchy szczotki powoli ustały.

- Czego ty chcesz? - zapytała dziewczyna z lustra. - O co ci naprawdę chodzi?

- Nie chcę wychodzić za mąż - odrzekła Eleonora. - Nie chcę tracić własnej osobowości, uzależniać się od kogoś jak od narkotyku. Potem nie można już się obyć bez tej drugiej osoby. Nie chcę dawać komuś całej siebie.

Tamta popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- To jakbyś chciała nie piec ciasta, ale je jeść - powiedziała trochę bez sensu.

Eleonora znowu zaczęła się czesać. Potem popatrzyła na uroczą, elegancką sypialnię udekorowaną kwiatami. Pomyślała, że trudno było oprzeć się czarowi tego miejsca.

Doszła do wniosku, że najlepiej by było znowu być dzieckiem. Wszystko miałyby określone z góry, o niczym nie musiałyby decydować.

Nie była jednak dzieckiem. Eleonora Dean, dwudziesto-ośmioletnia redaktorka w renomowanym wydawnictwie młodzieżowym. Niemal u szczytu kariery zawodowej. Eleonora Dean, dorosła osoba, odpowiedzialna za swoją przeszłość.

Uczesała się. Już za chwilę była gotowa. Wzięła torebkę i wyszła z pokoju, jeszcze raz na moment odwracając się do dziewczyny w lustrze.

* * *

Kiedy się napili, przeszli z baru do jadalni korytarzem wyściełanym miękkim dywanem. Trzy czwarte stolików było zajęte. Goście jedli już kolację.

Zamówili potrawy. Kelner odszedł od stolika.

- Zabawmy się w zgadywanki - zaproponował Tony wesoło. - Powiedz mi, która z obecnych tutaj par mieszka w apartamencie dla nowożeńców.

Co sprawiło, że był aż taki rozbawiony, zastanowiła się Eleonora. Zaintrygowana rozejrzała się po sali. Może ta młodziutka para w rogu. Nie, nie wyglądali na wystarczająco zakochanych. Tamtych dwoje, szczupłych, wysokich, siedzących przy oknie... Nie, na pewno nie oni. Dziewczyna

patrzyła gdzieś w przestrzeń, a mężczyzna sprawiał wrażenie, że za chwilę umrze z nudów. Również trudno było sobie wyobrazić jako małżeństwo, szczególnie przeżywające swój miodowy miesiąc, dwoje Amerykanów siedzących dość blisko. Opaleni, wyglądali raczej na turystów...

Spojrzała pytająco na Tony'ego.

- Nie mam pojęcia.

Wskazał lekkim skinieniem głowy.

- Tamta para przy kominku.

Eleonora zerknęła przez ramię i zobaczyła ich, starszych państwa, którzy by mogli być jej rodzicami czy może nawet dziadkami. Kobieta zupełnie siwa, uczesana w koczek. Mężczyzna poważny, korpulentny, z wąsami.

Wyglądali niby normalnie, po prostu jak stare małżeństwo. Ale nie, oni byli inni. Naprawdę mogli być w sobie zakochani. Rozmawiali i śmiali się razem, nie odrywając oczu od siebie.

Zdumiona Eleonora znowu spojrzała na Tony'ego.

- Czy jesteś tego pewien?

- Tak. Państwo Renwick.

- To znaczy, że musieli pobrać się całkiem niedawno.

- Z pewnością. Przecież zajmują apartament dla nowożeńców.

- Może przez wiele lat byli dobrymi przyjaciółmi - zastanawiała się Eleonora. - Potem umarł jej mąż. Umarła również jego żona. I wtedy oni zdecydowali się pobrać.

- Możliwe.

- Albo ona nigdy nie miała męża, a kiedy jego żona umarła, przyznał, że kochał się w niej potajemnie całe życie.

- Możliwe.

- Skąd o tym wiesz? Jestem bardzo ciekawa.

- Widzę, że ci dwoje też cię zaintrygowali.

Apartament dla młodej pary. Przyjrzała im się znowu, oczarowana tym, z jakim zachwytem i z jaką delikatnością zwracali się jedno do drugiego.

- Czy myślisz, że patrzenie na nich może zmienić twoje poglądy na małżeństwo? - zapytał Tony.

- Obiecałeś, że nie będziesz poruszał tego tematu - przypomniała. - Nie łam obietnicy.

Kelner przyniósł wino.

- Za co wznosimy toast? - zapytał Tony.

- Na pewno nie za naszą przyszłość.

- To może właśnie za tamtą parę. Za długie i szczęśliwe życie dla nich.

- Czemu nie? To dobry pomysł.

Wypili. Kocham go, pomyślała Eleonora. Dlaczego mu się opieram? Po co z nim walczę? A może walczę sama ze sobą?

* * *

Rano po późnym śniadaniu wyszli na spacer. Eleonora włożyła białe dzinsy, na koszulkę narzuciła sweter. Oglądali piękny, wielki ogród, potem zwiedzali bardzo dobrze utrzymane budynki gospodarcze. Spacerując tak, doszli do jeziora, znaleźli miejsce osłonięte od wiatru i usiedli.

Trawa była już wysoka, gęsta i zielona. Pojawiły się pierwsze stokrotki. Pojedyncze chmurki, na pogodę, płynęły powoli po niebie, a wokół panowała taka cisza, że słychać było plusk fali.

- Chciałabym mieć taki dwór na własność - westchnęła Eleonora. - Urodzić się w takim miejscu i dorastać, jako część tego piękna.

- Ale to także duża odpowiedzialność - rzekł Tony. - Masz ludzi, którzy pracują dla ciebie, ale także musisz o nich dbać. Poza tym, zobacz, ogród, budynki gospodarcze, byłabyś odpowiedzialna i za to.

- Czy lubiłeś pracę tutaj?

- Tak, ale były chwile, kiedy naprawdę bałem się odpowiedzialności. Jakbym płynął i walczył z wirami, które wciągały mnie pod wodę. Gdyby ktoś był wtedy przy mnie, gdybym miał wystarczającą podniętę... Nie wiem, może

wtedy wiedziałbym, że potrafię sprostać temu wszystkiemu.

- Czy gdybyśmy się pobrali, łatwiej by ci było zmagać się z trudnymi sprawami?

Tony spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Mieliśmy nie poruszać tego tematu.

- Ale i tak ciągle o tym mówimy. Może będzie lepiej, jeśli zapomnimy o naszej umowie i postawimy sprawę otwarcie.

Zmarszczył czoło.

- Zobacz, kochanie, znamy się już dwa lata. Myślę, że wspólnie sporo przeżyliśmy i wiemy, że nie jest to chwilowa fascynacja, tylko że po prostu dobrze jest nam razem. Nie chodzi tu o żadną przelotną namiętność. Nie chciałbym czekać na ciebie tak długo, jak państwo Renwick na siebie.

- Też nie chciałabym zmarnować tylu lat. Boję się jednak, że zrobię coś, czego potem mogłabym żałować.

- To znaczy, że skończy się to tak, jak u moich rodziców.

Matka i ojciec Tony'ego rozwiedli się, kiedy Tony miał piętnaście lat, i każde poszło swoją drogą. Tony odczuł to bardzo boleśnie i nawet przy Eleonorze nie lubił poruszać tego tematu. Ona też rzadko wspominała o swoich rodzicach.

- Żadne małżeństwo nie jest doskonałe - mówił Tony. - Myślę jednak, że potrafię się ustrzec błędów, jakie popełniali moi rodzice. Poza tym na przykład twoi rodzice kochali się bardzo do końca.

- Tak, byli razem bardzo szczęśliwi - odwróciła od niego wzrok i zaczęła skubać jakieś źdźbło trawy. - Tylko... matka miała zaledwie pięćdziesiąt lat, jak umarł ojciec.

Tony położył rękę na jej ramieniu.

- Obiecuję, że zrobię wszystko, co tylko będzie możliwe, żebym nigdy w życiu nie umarł - powiedział uroczyście.

Eleonora mimo woli roześmiała się.

- Wierzę ci.

* * *

W niedzielny poranek Tony, jak prawdziwy młody małżonek spędzający tutaj miodowy miesiąc, zdecydował się urwać się na chwilę na partyjkę golfa. Jeżeli oczywiście uda mu się znaleźć kogoś, kto mógłby z nim zagrać. Poprosił, rzecz jasna, Eleonorę, żeby mu towarzyszyła, ale ona stwierdziła, że wolałaby zjeść śniadanie w łóżku i przejrzeć poranne gazety. Wstała koło jedenastej, wzięła kąpiel, ubrała się, zeszła na dół i wyszła na zewnątrz. Nadal było słonecznie, chociaż już nie tak ciepło jak poprzedniego dnia. Postanowiła poszukać pola golfowego. Tony powinien już kończyć grę i wracać.

Kiedy doszła do pawilonu, zatrzymała się, niepewna, w którą teraz stronę. Nagle usłyszała, że ktoś z tyłu mówi, prawdopodobnie do niej - „dzień dobry”. Odwróciła się. Naprzeciw pawilonu na osłoniętej od wiatru werandzie siedziała spędzająca tutaj swój miodowy miesiąc pani Renwick. Była w tweedowej spódnicy i w ciepłym, zrobionym na drutach swetrze. Wypoczywała, z zadowoloną miną rozparta w wygodnym, wiklinowym fotelu.

Eleonora uśmiechnęła się.

- Dzień dobry.

Z lekkim wahaniem podeszła do starszej kobiety.

- Chciałabym dojść na pole golfowe, ale nie wiem, w którą stronę teraz powinnam pójść - powiedziała.

- Mój mąż też gra w golfa. Wydaje mi się, że poszli tam - wskazała ręką. - Doszłam jednak do wniosku, że lepiej będzie posiedzieć tutaj, niż go szukać. Może przyłączy się pani do mnie? Oni powinni zaraz wrócić.

Eleonora przez chwilę wahała się, po czym uległa pokusie. Przystawiła sobie drugi wiklinowy fotelik i usiadła przy pani Renwick, wyprostowując nogi i wystawiając twarz do słońca.

- Jak przyjemnie.

- Dużo lepiej niż spacerować na zimnym wietrze. Dawno pani mąż wyszedł?

- O, już dobre parę godzin temu. Ale to nie jest mój mąż.

- O, moja droga. Jak mi przykro. Jak mogłam się pomylić? Ale tak właśnie myśleliśmy z mężem, że jesteście młodym małżeństwem i że spędzacie tutaj miodowy miesiąc.

Wydało jej się zabawne, że państwo Renwickowie tak samo zastanawiali się nad nią i Tonym, jak i oni próbowali zgadnąć, kim są tamci.

- Nie, niestety.

Spojrzała na dłoń pani Renwick, spodziewając się ujrzeć nową, błyszczącą obrączkę. To było jednak tylko cienkie, zniszczone kółeczko na pomarszczonej dłoni starszej kobiety.

Dziwne. Eleonora zmarszczyła czoło. I pani Renwick to zauważyła.

- Coś nie tak, moja droga?

- Nie, nic takiego. To znaczy... no, dobrze... My także myśleliśmy, że państwo spędzacie tutaj swój miodowy miesiąc.

Pani Renwick odchyliła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

- Co za komplement! W naszym wieku! Przepraszam... - powiedziała. - Ale dlaczego w takim razie wybraliście apartament dla nowożeńców?

- Dobrze... - Eleonora poczuła się zakłopotana, jakby zrobiła coś niestosownego. - Jesteśmy tutaj, bo Tony i tujejszy kierownik to starzy przyjaciele.

- Rozumiem. Oczywiście. My natomiast jesteśmy małżeństwem już od czterdziestu lat. To nasze rubinowe wesele i postanowiliśmy je uczcić, spędzając weekend w Brandon, zamiast urządzać przyjęcie. To pomysł mojego męża. Widzi pani, przyjechaliśmy czterdzieści lat temu do Brandon na nasz miodowy miesiąc... w czasie wojny, oczywiście mój mąż dostał przepustkę tylko na dwa dni. Zawsze jednak obiecywaliśmy sobie, że kiedyś tutaj wrócimy. I teraz jest naprawdę tak miło jak wtedy.

Zaśmiała się znowu.

- Zabawne, że wzięliście nas za nowożeńców. Musieliście się zastanawiać, jak do licha, para takich starych pierników, jak my...

- Skądże znowu - zaprzeczyła Eleonora. - Nic takiego nie myśleliśmy. To wyglądało zupełnie wiarygodnie. Śmieśliście się, państwo, rozmawialiście. Zupełnie tak, jakby przed chwilą, przepraszam, jakby przed chwilą jedno w drugim się zakochało.

- Jeszcze miłszy komplement. Dziękuję. Przyznam, że my też was obserwowaliśmy. Ostatniej nocy, kiedy tańczyliście razem, mój mąż powiedział, że nigdy nie widział ładniejszej pary.

Zawahała się chwilę, po czym zapytała:

- Jak długo się znacie?

- To już trochę trwa - przyznała Eleonora. - Już dwa lata.

Pani Renwick zamyśliła się.

- No to wystarczająco długo. Przykro mi, że dzisiejsi panowie są tak bardzo opieszali.

- Tony nie jest taki - zaprzeczyła Eleonora. - To moja wina. Tony chce się ze mną ożenić.

...

Pani Renwick uśmiechnęła się.

- On oczywiście kocha panią.

- Tak - powiedziała szczerze Eleonora.

Patrzyła na starszą panią, na mądre oczy, życzliwą twarz. Była obcą osobą, ale Eleonora poczuła, że mogłyby się zaprzyjaźnić.

- Nie wiem, co robić - przyznała.

- Czy jest jakiś konkretny powód, dla którego nie chce pani wychodzić za niego za mąż?

- Nic konkretnego. Akceptowałam po prostu taki układ, że oboje jesteśmy wolni, nie związani żadnymi zobowiązaniami, oprócz pracy.

- A czym się zajmujecie zawodowo?
- Tony jest kierownikiem jednego z londyńskich hoteli, a ja pracuję w wydawnictwie.
- Praca jest ważna dla pani?
- Tak, naturalnie. Ale tu nie chodzi o to. Po ślubie też mogłabym pracować. Przynajmniej do czasu, gdy będziemy mieć dzieci.

-Może... nie czuje się pani przygotowana, żeby całą resztę życia spędzić właśnie z nim?

- To też nie to. Tony odpowiadałby mi jako mąż. Najbardziej jednak przeraża mnie to, że stałabym się częścią drugiej osoby... utrata własnej osobowości, odrębności. Rodzice Tony'ego rozwiedli się, kiedy był zupełnie małym chłopcem. Moi wręcz przeciwnie, zawsze byli razem. Jedno żyło dla drugiego. Kiedy któreś musiało wyjechać na dłużej, na parę dni na przykład, codziennie do siebie telefonowali. I potem, nagle, mój ojciec miał atak serca i umarł. I matka została sama. Nie była stara. Miała zaledwie pięćdziesiąt lat. Zawsze wydawała się najpewniejszym źródłem radości, rodzina i przyjaciele zawsze mogli na nią liczyć. I właśnie ona nagle... jakby rozpadła się na kawałki. Sądziliśmy, że czas jakoś ukoji jej smutek i że matka jeszcze powróci do życia. Tak się jednak nie stało. Kiedy umarł ojciec, jej życie jakby nagle się zatrzymało. Kochałam ją gorąco, ale nie mogłam pozostać z nią, na zawsze nieszczęśliwą, i wciąż rozpamiętywać to, co się wydarzyło.

- Przykro mi - powiedziała pani Renwick. - Ja mam teraz sześćdziesiąt lat, ale mój mąż już siedemdziesiąt pięć. Byłabym głupia, gdybym uważała, że mamy przed sobą jeszcze wiele lat życia i że los uczyni dla nas wyjątek. Jednak na zawsze pozostaną mi przepiękne wspomnienia, a istnienie na własny rachunek, znowu tylko dla siebie, nigdy mnie nie przerażało. I ja, mimo wszystko, zawsze potrafiłam być sobą. Kocham Arnolda, ale nigdy tak nie było, że bym musiała być z nim bez przerwy i uczestniczyć we

wszystkim, co robi. I dlatego między innymi siedzę teraz tutaj i rozmawiam z panią, zamiast grać z nim w golfa.

- Pani nigdy nie grała w golfa?

- Dzięki Bogu, nigdy. W ogóle nie lubię gier sportowych. Ale czuję się szczęśliwa, ponieważ w dzieciństwie nauczyłam się grać na pianinie. Nie dość dobrze, żeby mogła zajmować się tym profesjonalnie. Przede wszystkim grałam dla siebie. To było moje hobby. Mój prywatny czas, moja własna część życia, i będzie tak nadal, cokolwiek się wydarzy. Jestem szczęśliwa. Mam przyjaciółkę, której los nie obdarzył żadnymi szczególnymi zdolnościami. Ale co wieczór wychodzi ona na długi spacer z psem. Te spacery to ważna część jej życia. Czy deszcz, czy śnieg i zawierucha, to musi trwać co najmniej godzinę. Nikt nigdy jej w tym nie towarzyszy.

- Gdybym wiedziała, że mogę też mieć coś takiego... - powiedziała z namysłem Eleonora. - Gdybym mogła mieć pewność, że nie stanie się ze mną tak, jak z moją mamą...

Pani Renwick posłała jej długie, badawcze spojrzenie.

- Czyli że chce pani poślubić tego młodego człowieka?

Po chwili zastanowienia Eleonora skinęła głową.

- To niech pani wyjdzie za niego. Jest pani stanowczo zbyt inteligentna, by dać się zdominować jakimkolwiek mężczyźnie.

- Dziękuję.

Wyszła z pawilonu i szybkim krokiem zaczęła iść w stronę pola golfowego. Z pewnej odległości dostrzegła idącego ku niej Tony'ego. Pomachał jej ręką. I nagle puściła się pędem w jego stronę. Jak najszybciej, żeby nie stracić już ani sekundy.

Spacer po śniegu

Antonia szła w ciemnościach, walcząc ze snem. Po raz pierwszy pomyślała teraz o powrocie do swojego londyńskiego mieszkania i wtedy dopiero dotarli do jej świadomości i ciemność, i mróz. Panowała niemal kompletna cisza, drogą przez cały czas nie przejechał ani jeden samochód, przez dokładnie zaciągnięte zasłony rzadko rozsianych domów nie przebijało żadne światło. Jej rodzinna wieś, zapach lawendy. Starannie uprana pościel susząca się na podwórzu. Był sobotni poranek, koniec stycznia, a ona, zamiast spędzić ten weekend jak zwykle w Londynie, przyjechała do rodziców na wieś.

- O, jaka miła niespodzianka! - zawołała matka, kiedy Antonia zatelefonowała, by powiedzieć, że przyjeżdża.

Pani Ramsay uwielbiała te chwile, kiedy mogła mieć Antonię przy sobie.

- Kochana! Cudownie będzie znowu cię zobaczyć! Musisz jednak wiedzieć, że zapowiadają bardzo nie dobrą pogodę - silny wiatr, mróz i śnieżycę. Jestem pewna, że jutro spadnie śnieg.

- To nie ma znaczenia.

Bez Davida nic nie miało znaczenia. Wiedziała, jak samotny może być weekend w Londynie bez niego, i to mogło być nie do wytrzymania.

- Przyjadę pociągiem, jeżeli tata będzie mógł wyjść po mnie na stację...

- Oczywiście, ojciec wyjdzie po ciebie, a ja pójde zaraz na górę i przygotuję twój pokój i łóżko.

Pani Ramsay miała słusność co do pogody. Śnieżyca zaczęła się, jeszcze zanim Antonia zdążyła dojechać. Zaczęło padać, zaraz jak tylko pociąg ruszył z Paddingtonu, a gdy dotarł do Cheltenham, peron pokryty był już prawie dwucalową warstwą śniegu. Ojciec Antonii wyszedł na stację w gumowych butach i bardzo ciepłym tweedowym płaszczu, podszytym futrem królika, w ubraniu, które kiedyś należało do dziadka i było używane tylko w najostrejsze mrozy.

Droga do domu była śliska, pokryta grudkami lodu, na szczęście przebyli ją bezpiecznie. Gdy jednak zasiedli do kolacji, zgasło światło i cały dom pogrążył się w ciemnościach. Ojciec Antonii zapalił świece i od razu zatelefonował do elektrowni, ale powiedziano mu, że główny kabel został uszkodzony i że to może potrwać trochę dłużej. Podobno monterzy już wyszli w teren, żeby zlokalizować uszkodzenie.

Tak więc musieli spędzić wieczór przy świecach i przy blasku kominka.

Następnego poranka, gdy Antonia się obudziła, ciągle jeszcze panowała ciemność i cisza. Wyciągnęła spod kołdry zmarzniętą rękę i spróbowała zapalić stojącą przy łóżku lampkę nocną, ale po naciśnięciu pstryczka nic się nie zmieniło. Nie było rady, musiała usiąść, poszukać zapalek i zapalić ogarek, który stał przy łóżku od wieczora. W świetle płomyka świecy spojrzała na zegarek. Aż się zdziwiła, było już po dziewiątej. Odważnie odrzuciła ciepłą kołdrę i podeszła do okna. Ujrzała biel śniegu, ginące w półmroku ciemne kontury drzew, ani śladu słońca. Królik przebiegł po śniegu, zostawiając ślady jak maszyna do szycia.

Trzęsąc się z zimna, włożyła najcieplejsze odzienie, jakie udało jej się znaleźć, uczesała włosy w świetle świecy, umyła zęby i zeszła na dół.

Dom wyglądał jak opuszczony. Żaden dźwięk nie zakłócał ciszy. Nie pracowała pralka ani maszyna do zmywania

naczyń, ani froterka. W kominku w holu żarzyły się węgle i to już było przyjemne. Lubiła ten zapach.

Próbując znaleźć kogoś z domowników, Antonia weszła do kuchni.

Matka siedziała przy obłożonym starymi gazetami stole i skubała pierze z bażanta. Drobna, szczupła kobieta ze związanymi w koński ogon siwymi, kręconymi włosami. Antonia pomyślała sobie, że skubanie pierza to strasznie nudne zajęcie.

Od starej kuchni węglowej było tutaj zupełnie ciepło.

- Czy dobrze spałaś, kochana? - zawołała matka na jej widok. - Ciągłe jeszcze nie mamy prądu, to naprawdę okropne.

- Dopiero teraz się obudziłam - przyznała. - Tak tu ciicho i ciemno. Jak na biegunie północnym. Jesteśmy zupełnie odcięci od świata i boję się, że już nigdy nie uda mi się wrócić do Londynu.

- Nie jest tak źle. Słuchałam rano prognozy pogody i wygląda na to, że najgorsze już mamy za sobą. Weź sobie coś do jedzenia.

- Nie jestem głodna. Na razie wystarczy mi kawa - sięgnęła po kubek na półeczkę nad kuchnią.

- W taką pogodę koniecznie powinnaś zjeść porządne śniadanie. Czy jesteś pewna, że dobrze się odżywasz? Jesteś przeraźliwie chuda.

- Takie jest właśnie życie w Londynie. A teraz muszę wysłuchiwać matczynego zrzędzenia - zaśmiała się.

Otworzyła lodówkę, żeby wyjąć mleko. Ciemna lodówka wywierała przygnębiające wrażenie.

- Gdzie są wszyscy? - zainteresowała się.

- Pani Hawkins próbuje odśnieżyć drogę. Dzwoniła do mnie jakąś godzinę temu, nie mogła nawet wyciągnąć roweru z szopy, bo wszystko zasypane śniegiem. Powiedziałam, żeby się nie fatygowała, nie ma po co przychodzić, ponieważ i tak jesteśmy bez prądu i niewiele da się zrobić.

- A tata?

- Poszedł na farmę do Dixonów po jajka i mleko. Musiał iść pieszo, ponieważ wichura przewróciła wczoraj na drogę, tam u Dixonów, wielki stary buk. I do tej pory dojazd jest zablokowany. Czy w Londynie też bywają takie wiatry?

- Chyba tak. Ale jakoś w Londynie jest inaczej, nikt nie myśli o drzewach. Raczej o tym, że jest przenikliwie zimno i śmiecie fruują w powietrzu.

Usiadła przy stole z kubkiem kawy. Patrzyła na matkę zajęętą robotą, na zręczne ruchy jej dłoni. W powietrzu unosiły się kawałeczki szarego i brązowego puchu.

- Dlaczego sama skubiesz bażanty? Przecież zawsze robi to ojciec.

- Tak, na ogół proszę ojca, by tym się zajął. Ale teraz on musiał wyjść do Dixonów, a ja pozmywałam po śniadaniu i... wiesz, tak jakoś dziwnie, jak nie ma światła, potem zupełnie nie wiedziałam, co robić. W końcu postanowiłam, że albo się wezmę za bażanty, albo za czyszczenie srebra. A ponieważ tego ostatniego szczerze nienawidzę, wzięłam się za ptaki.

Antonia, kiedy mogła już odstawić pusty kubek po kawie, sięgnęła po drugiego bażanta.

- Pomogę ci.

Ciało wielkiego ptaka było potężne i zimne. Pióra na piersi gęste i puchate, a oczy wydawały się tak jasne, jak szlachetne kamienie.

- Zawsze czuję się winna, krojąc tak wspaniałe stworzenie na części.

- Wiem, ja też. Dlatego najczęściej skubaniem drobiu zajmuje się ojciec. Chociaż na pewno dla większości wiejskich kobiet mojego pokolenia to zupełnie normalne, że siedzą z córkami w kuchni i oskubują bażanta. Potem pierze może się przydać na przykład na poduszkę. Biedne ptaki utraciły życie, a teraz trzeba o nich myśleć jak o smacznym mięsie na obiad. Jak ojciec wychodził na farmę do Dixonów, mówiłam, żeby zaprosił ich na wieczór razem z Tomem, żeby pomogli nam zjeść bażanty.

Sięgnęła po plastikową torbę na śmiecie.

- Tak sobie pomyślałam, że może David też przyjechał.

David. Pani Ramsay była spostrzegawczą kobietą i Antonia wiedziała, że była to delikatna próba wyciągnięcia jej na zwierzenia. Ale jakoś nie mogła mówić teraz o Davidzie. Przyjechała na weekend do domu, ponieważ czuła się samotna i niesamowicie nieszczęśliwa. Teraz jednak naprawdę trudno było o tym mówić.

* * *

Nie było nic dziwnego w tym, że matka wspomniała o Davidzie, ponieważ Dixonowie byli ich najbliższymi sąsiadami i od wielu lat dobrymi przyjaciółmi. David i Tom byli braćmi. Pan Dixon prowadził farmę. Pan Ramsay pracował w lokalnym banku. Często razem grali w golfa, a zdarzało się, że wybierali się na kilkudniowe wyprawy na ryby. Pani Ramsay i pani Dixon należały do tego samego klubu brydzowego i działały w kole gospodyń. Tom, starszy brat Davida, pracował razem z ojcem na farmie. Tom zawsze wydawał się Antonii bardzo dorosły i zarazem daleki. Ktoś o dużym poczuciu odpowiedzialności, na kogo zawsze można było liczyć, użyteczny w naprawianiu roweru albo w zbijaniu tratwy. Nigdy jednak bliski przyjaciel. Nie to, co David. On i Antonia wydawali się niemal nierozłączni. Jak brat i siostra, tak każdy mówił, wiadomo jednak, że chodziło o coś więcej. Dla Antonii nie istniał nikt oprócz Davida. Po skończeniu szkoły każde poszło swoją drogą, Antonia wynajęła mieszkanie w Londynie i wydawało się zupełnie naturalne, że dziecięca przyjaźń ustąpi miejsca nowym znajomościom, ale niespodziewanie stało się inaczej. Odległość pobudziła namiętność, tęsknotę, rozpałała płomień uczuć. Każde ich spotkanie było teraz bardziej ekscytujące, ciekawsze.

Dla Antonii inni mężczyźni zdawali się nie istnieć. W porównaniu z Davidem wszyscy wydawali się nudni i nijacy albo natrętni nie do wytrzymania.

David był jej ideałem. Z nim razem się śmiała, wspólnie prowadzili długie rozmowy. I co najważniejsze, on wiedział o niej dosłownie wszystko. Nawet jeśli o czymś mu nie powiedziała, to i tak w końcu dowiadywał się o tym.

Stanowczo był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Zawsze był ładny, wszelkie problemy związane z urodą, jakie pojawiają się niekiedy w okresie dojrzewania, ominęły go. Zresztą nigdy z niczym nie miał kłopotów. Wszystko, za co się brał, przychodziło mu bez trudu, może niekiedy nawet zbyt łatwo. Egzamin, nauka, gry sportowe.

- Będę mieszkał w Londynie - poinformował ją któregoś dnia.

Antonia była już wtedy w Londynie od roku. Pracowała w prywatnej księgarni na Walton Street i wynajmowała mieszkanie wspólnie z koleżanką ze szkolnej ławy.

- Davidzie, to wspaniale!

Tak się bała, że zdecyduje się na wyjazd za granicę albo daleko na północ do Szkocji, że już nigdy w życiu się nie spotkają. Pomyślała, że będą mogli robić razem mnóstwo ciekawych rzeczy, takich jak na przykład spacerować nad Tamizą, zwiedzanie galerii czy obiady w uroczej i zupełnie niedrożej włoskiej restauracji.

- Dostałem pracę u Sandberga Harpersa.

- Gdzie będziesz mieszkać?

- Nigel Crawston zaproponował mi mieszkanie w domu swojej matki, odstąpi mi całe poddasze.

Antonia nie знаła Nigela Crawstona, ale kiedy go po raz pierwszy zobaczyła, już naszły ją pewne obawy. Nigel okazał się młodym, snobistycznym i zarozumiałym mężczyzną. Dom był przepiękny, boleśnie kontrastował z małym mieszkaniem, które dzieliła z koleżanką, a poddasze, zajmowane przez Davida, okazało się eleganckim samodzielnym mieszkaniem, oczywiście z oddzielną łazienką i kuchnią.

Jakby i tego wszystkiego było mało, okazało się, że Nigel ma siostrę. Nazywała się Samantha i dom był dla niej

jedynie miejscem wypoczynku pomiędzy podróżami na narty do Szwajcarii albo wyprawami żeglarskimi z przyjaciółmi po Morzu Śródziemnym. Czasami zdarzało się, że Samantha przez parę miesięcy mieszkała w Londynie. Szła wtedy do pracy, głównie z nudów, żeby jakoś wypełnić czas, bo na pewno nie wynikało to z żadnych potrzeb finansowych. Nie musiała zarabiać na życie. Poza tym była czarująca, wysmukła i miała piękne, długie włosy.

Antonia robiła, co mogła, ale od razu zauważyła, że ciężko będzie dotrzymać kroku Cawstonom. Kiedyś poszli razem na obiad do tak drogiej restauracji, że gdy zobaczyła, ile David musi za nią zapłacić, od razu miała zepsutą całą przyjemność.

Potem powiedziała:

- Nie możesz zabierać mnie do takich lokali. Musiałeś wydać co najmniej jedną tygodniówkę na ten jeden posiłek.

- Zwariowałaś, czy co? - zdenerwował się.

Nigdy przedtem nie zwracał się do niej w ten sposób i Antonia poczuła się, jakby uderzono ją w twarz.

- To jest... no, dobrze, powiem. To jest marnotrawstwo.

- Że niby co marnuję?

- Pieniądze.

- To moja sprawa, jak ja wydaję moje pieniądze. Nie wtrącaj się. Twoje zdanie w tej sprawie zupełnie mnie nie interesuje.

- Ale...

- Nawet nie próbuj wtrącać się w moje sprawy.

To była ich pierwsza prawdziwa kłótnia. Potem Antonia całą noc płakała w poduszkę, nienawidząc siebie, że okazała się taka głupia. Następnego poranka zadzwoniła do niego do biura, żeby go przeprosić, ale telefonistka powiedziała, że akurat jest zajęty i nie może podejść do aparatu. I potem Antonia denerwowała się jeszcze przez pięć dni, zanim David zadzwonił.

Tamto minęło i Antonia wytłumaczyła sobie, że takie rzeczy zdarzają się między ludźmi, ale w głębi serca wiedziała, że trochę sama siebie oszukuje. Na święta Bożego Narodzenia przyjechali do Cheltenham razem, samochodem Davida. Ale nawet święta przysporzyły nowych problemów. Wiadomo, że zgodnie z tradycją jest to najodpowiedniejszy czas na ogłoszenie zaręczyn, i po raz pierwszy Antonia czuła, że ich przyjaciele i rodziny oczekują jakiejś formy zapowiedzi. Jedna czy dwie sugestie żony pastora i pani Trumper z Hall nie mogły być odczytane inaczej. Inni może nie mówili, ale patrzyli tak wyczekująco, że to wydawało się zupełnie nie do wytrzymania. Nadwrażliwa Antonia była święcie przekonana, że wszystkie oczy nieustannie wpatrują się w jej rękę, jakby oczekiwały, że uda im się wyśledzić jakiś ogromny, diamentowy pierścień.

To stało się straszne. Dawniej, kiedy byli z Davidem naprawdę blisko, mogliby razem śmiać się z tego, teraz jednak, nie wiadomo dlaczego, okazało się to niemożliwe.

Z tej sytuacji wybawił ją w dość niezwykły sposób właśnie Tom. Zorganizował wielki bal w swojej stodole, odpowiednio oczywiście przygotowanej, zatrudnił nawet wodzireja i zaprosił wszystkich młodych ludzi z sąsiedztwa. Jedzenie było wyśmienite, a tańce trwały aż do piątej rano. I potem wszyscy plotkowali o tej wspaniałej imprezie i przestali zastanawiać się, czy Antonia i David zaręczą się wreszcie, czy też coś między nimi jakoś się nie układa. Dalej już wszystko szło gładko, a gdy skończyły się święta, wróciła razem z Davidem do Londynu.

Nic się nie zmieniło, nic nowego nie postanowiono, niczego nie przedyskutowano. Mogła znowu wmawiać sobie, że nie jest źle. Obawiała się jakichkolwiek nowych rozstrzygnięć i tego, że go utraci. Tak długo stanowił część jej życia, że gdyby odszedł, miałaby wrażenie, że traci kawałek siebie. Ta perspektywa napełniała ją takim przerażeniem,

że nawet nie próbowała sobie tego wyobrazić. Miała nadzieję, że to się nigdy nie zdarzy.

David jednak okazał się silniejszy niż ona. Któregoś wieczoru, wkrótce po świętach, zadzwonił do niej i zaproponował, że wpadnie na kolację. Antonia poprosiła koleżankę, która z nią mieszkała, żeby gdzieś sobie poszła i nie przeszkadzała, a sama przygotowała wyśmienite spaghetti z sosem bolońskim i jeszcze skoczyła do sklepu za rogiem po butelkę wina.

Kiedy rozległ się dzwonek, zbiegła po schodach, żeby mu otworzyć, i jak tylko ujrzała wyraz jego twarzy, całe samookłamywanie od razu stało się bez sensu i przysła resztką nadziei. Wiedziała, że zamierza powiedzieć jej coś straszego.

* * *

David.

„Myślałam, że może David też przyjechał”. Antonia na chwilę jeszcze odpędziła złe myśli i zaczęła drzeć pierze z piersi bazyli.

- Nie... on został w Londynie na weekend.

- Trudno, jego strata - uśmiechnęła się matka. - Wiesz, to wszystko, brak elektryczności, siedzenie przy świecach, rozpalanie pod kuchnią, przypomina mi czasy, kiedy byłam dzieckiem. Naszły mnie dzisiaj wspomnienia tak silne, jakby to wszystko znowu działało się naprawdę, jakby wróciły tamte czasy.

Pani Ramsay mieszkała kiedyś, jako jedno z pięciorga dzieci, w odległej walijskiej wsi. Jej matka, a babcia Antonii, mieszka tam do dzisiaj, nie strudzona wiekiem, niezależna. Hoduje kury, robi przetwory na zimę, dba o swój mały ogródek warzywny, a kiedy pogoda zmusza ją do siedzenia w domu, robi na drutach swetry dla wszystkich swoich wnucząt. Przyjazd do niej zawsze był trochę przygodą, a matka ciągle jeszcze potrafiła czymś córkę zaskoczyć - pełna miłości i entuzjazmu.

- Opowiedz o tym - poprosiła Antonia, trochę dlatego, że chciała o tym usłyszeć, a trochę mając nadzieję, że matka zapomni, że pytała ją o Davida.

Pani Ramsay potrząsnęła głową.

- Och, nie wiem. Chodzi może o to, że bez tych wszystkich urządzeń elektrycznych można się jakoś obyć. Gorący ogień pod kuchnią i lodowato zimne sypialnie. Mieliśmy wielki bojler i raz na tydzień grzało się w nim wodę na kąpiel. W międzyczasie wodę do mycia podgrzewaliśmy na kuchni. Zawsze pomagaliśmy w praniu pościeli, a potem w prasowaniu...

- Ale przecież u babci jest elektryczność.

- Tak, ale przez długi czas musiała obywać się bez tego. Do tamtej wsi bardzo późno doprowadzili prąd. Pamiętam też, że oprócz głównej ulicy, przy której były latarnie, wszystko tonęło w ciemnościach. Przyjaźniłam się z córką pastora i często przychodziłam do niej na herbatę. I wiele razy się zdarzało, że jak wracałam od niej, było już ciemno, a poza tym deszczowo i zimno. Biegłam wtedy trzęsąc się ze strachu, wyobrażając sobie olbrzymie stado potworów depczących mi po piętach. Moja matka wiedziała, że panicznie się boję, i zawsze mówiła, że muszę się nauczyć być samodzielna, że muszę umieć sobie radzić, kiedy nie ma przy mnie nikogo bliskiego. I kiedy skarżyłam się i opowiadałam o tych wszystkich straszydłach, powiedziała, że właśnie powinnam iść powoli, patrzeć na drzewa, podziwiać gwiazdy, jeśli akurat na niebie nie ma chmur. I to rzeczywiście pomogło. Wszystkie te niemądre lęki minęły, jak ręką odjął.

Mówiąc nadal skubała bazyliki, patrzyła uważnie na swoją robotę, na stertę pierza na gazecie, na stole. Teraz jednak popatrzyła Antonii prosto w oczy.

- I ja nadal stosuję tę metodę. Kiedy jestem zdenerwowana albo zrozpaczona, wychodzę gdzieś na spacer, gdzie jest spokojnie i cicho, patrzę na drzewa i na niebo. I po chwili wszystko widzę jaśniej. Znikają wszystkie potwory

i straszdyła. Zastanawiam się nad moimi sprawami i przede wszystkim próbuję spojrzeć na nie z dystansem. Zachować zdrowy rozsądek.

Zdrowy rozsądek. Antonia uświadomiła sobie, że matka na pewno domyśliła się, że David zrobił coś potwornego. Wiedziała o tym i nie proponowała żadnej konkretnej pomocy. Po prostu dobrą radę. Stawić czoło potworom: samotności, zazdrości, bólowi. Nie uciekać przed nimi. Przyjrzeć się im spokojnie i po cichu. Nauczyć się być samodzielną.

Po południu prądu jeszcze nie było. Kiedy talerze po lunchu już zostały sprzątnięte, Antonia włożyła botki i kożuch i namówiła starego spaniela ojca na spacer. Pies wolałby wygrzewać się przy kominku niż marznąć na mrozie, ale kiedy już go przekonała, wywęszył świeży ślad królika i zaczął hasać po śniegu jak mały szczeniak.

Śnieg był głęboki, chmury ciemnoszare, zawieszone nisko nad ziemią.

Antonia poszła drogą prowadzącą na wzgórze za domem. Spłoszone bażanty uciekały jej spod nóg, łaskocząc skrzydłami, chowały się wśród drzew.

Kiedy wychodziła z domu, było jej zimno, ale gdy dotarła na szczyt wzgórza, rozgrzała się. Zobaczyła zasypany śniegiem pień. Odgarnęła biały puch i usiadła, patrząc z góry na rodzinną wioskę, pola pokryte śniegiem, drzewa, ciemne domy zgrupowane przy jednej ulicy, teraz pozbawione elektryczności, na dym z kominów, idący prosto do góry.

Zgrzyt piły zakłócał ciszę. Antonia domyśliła się, że to Tom Dixon albo jego ojciec próbują usunąć wielkie drzewo, przewrócone przez wichurę.

Potem droga łagodnie prowadziła w dół do lasu. Kiedyś z Davidem lubili stąd zjeżdżać na sankach. Któregoś lata w tym właśnie lasku rozpalili ognisko i piekli ziemniaki. Srebrzysta rzeka, płynąca nie opodal, przypomniała jej,

jak razem z Davidem łowili pstrągi i jak kąpali się razem w ciepłe dni. Pomyślała, że jest to miejsce poświęcone pamięci Davida.

David. Ostatni wieczór.

- Więc mówisz, że nie chcesz mnie więcej widzieć.

Zła, zraniona do głębi, wreszcie zdołała to z siebie wykrztusić.

- Och, Antonia, nie przesadzaj. Bądźmy szczerzy. Po prostu dłużej już nie mogę udawać. Nie mogę ciągle cię okłamywać. Gdybyśmy ciągnęli ten związek na siłę, nie byłoby to dobre dla żadnego z nas ani dla naszych rodzin.

- Sądzę, że zakochałeś się w Samancie.

- Nie kocham się w nikim. Nie mam zamiaru dać się usidlić. Chcę żyć dla siebie, a nie dla kogoś. Mam do tego prawo. A ty się mnie czepiasz i nie masz własnego życia.

- Nieprawda.

- Powinnaś sama zauważać takie rzeczy. Nie jesteś sobą, tylko częścią mnie. To nie miłość, tylko jakieś chorobliwe uzależnienie. Przez to żadne z nas nie może być sobą. Chcę być wolny.

Wolność. Antonia nazwałaby to inaczej. Dla niej to oznaczało samotność. Z drugiej strony, jak mówiła matka, każdy powinien umieć być samodzielny. Podniosła głowę i poprzez ciemne, bezlistne gałęzie drzew popatrzyła na szare niebo.

„Najskuteczniej utrzymasz miłość, jeśli pozwolisz odejść tym, których kochasz”. Kiedyś ktoś to powiedział, a może znalazła to zdanie w jakiejś książce. Nie miała pewności, kto to wymyślił, ale te słowa niespodziewanie nabrały teraz dla niej szczególnego znaczenia. Jeżeli teraz pozwoli mu odejść, to może utraci go nie tak zupełnie do końca. Oznaczało to jakąś szansę.

Poza tym, ją samą to zdziwiło, pierwszy szok minął i zaczęła nagle myśleć zimno i spokojnie. Wcale nie miała ochoty wychodzić za mąż. Nie bardziej niż on. I nie martwiła się, że do ślubu nie dojdzie, już wcale tego nie chciała.

Świat wydał jej się teraz ogromny, piękny i pełen fascynujących obietnic. Tyle jeszcze *rzeczy* na nią czekało, tyle zdarzeń i oczywiście innych ludzi. Tak mówił wtedy David i czuła teraz, że ma rację. I po pierwszym szoku, teraz, w tym dziwnym, spokojnym myśleniu, przyjęła jego słowa za dobrą monetę.

Wszystko jest względne. Trzeba patrzeć na świat spokojnie i z odpowiednim dystansem.

Istniało tyle innych ciekawych możliwości. Spokojnie doszła do wniosku, że za długo pracuje już w księgarni. Może powinna wyjechać. Zatrudnić się jako kucharz na jakimś jachcie albo w Paryżu jako opiekunka do dziecka. Mogłaby wtedy naprawdę porządnie nauczyć się francuskiego.

Zimny nos trącił jej dłoń. Pies patrzył żałośnie, mówiąc spojrzeniem, że ma już dość tego, że siedzi w śniegu i musi na nią czekać i marznąć, zamiast polować na króliki. Antonia poczuła, że zmarzła. Podniosła się z pieńka i razem z psem ruszyli w stronę domu.

Po chwili zaczęła biec. Nie dlatego, że było zimno, ale z jakiejś dziecinnej radości.

Dobiegła do lasu, a potem do drogi prowadzącej na farmę Dixonów. Doszła szybko do miejsca, w którym leżał zwalony stary buk. Potężny pień pocięty już był na kawałki.

W pobliżu nikogo nie było. Żarzyło się jeszcze niewielkie ognisko. Gdy tak stała, opłakując zgon starego drzewa, usłyszała traktor jadący od strony farmy. Potem traktor zatrzymał się. Tom, bo to był właśnie on, wyłączył silnik i rażno wyskoczył z kabiny. Był w drelichowych spodniach, watomanej kurtce i mimo mrozu z gołą głową.

- Antonia!

- Cześć, Tom.

- Co tutaj robisz?

- Wysłałam na spacer, usłyszałam zgrzyt piły i doszłam aż tutaj.

- Pracowałem tu prawie cały dzień.

Tom był starszy niż David i nie taki wysoki ani też taki przystojny. Po jego twarzy łatwo można było poznać, że dużo przebywa na powietrzu. Nie śmiał się często, ale miał jasne, wesołe oczy.

- Przynajmniej przez parę miesięcy nie będziemy się martwić o drewno na opał - mruknął. - A co u ciebie?

- W porządku.

Spotkali się wzrokiem poprzez płomienie i smugę dymu.

- A jak David?

- Też w porządku.

- Nie przyjechał z tobą?

- Nie, został w Londynie - włożyła ręce głębiej do kieszeni kożucha. - W przyszłym tygodniu wybiera się z Crawstonami na narty. Wiesz o tym?

- Wydaje mi się, że matka coś o tym wspominała.

- Crawlstonowie wynajęli dom w Val d'Isere i zaprosili też Davida.

- Nie jedziesz z nimi?

- Nie, Nigel ma swoją dziewczynę.

- Czy Samantha jest teraz dziewczyną Davida?

Znowu ich spojrzenia się spotkały.

- Tak, choć nie wiem, czy na długo.

Tom ułamał jeszcze jedną gałązkę i dołożył do ognia.

- Martwisz się tym? - zapytał.

- Teraz już nie.

- Kiedy to się zdarzyło?

- Właściwie już wcześniej, tylko nie chciałam o tym mówić.

- I mówisz, że już trochę mniej tym się przejmujesz.

- Tak. Znacznie mniej. David powiedział, że każde z nas powinno żyć swoim życiem. I miał rację, zbyt długo byliśmy zbyt blisko.

- Sprawił ci przykrość.

- Trochę tak - przyznała. - Miał jednak prawo zerwać ze mną. Nie jest moją własnością.

Tom milczał przez chwilę. Potem stwierdził:

- Ładnie to powiedziałaś.

- Bo to prawda, no nie? I przynajmniej wiemy teraz, na czym stoimy. Nie tylko David i ja, ale my wszyscy.

Tom dołożył jeszcze kilka patyków do ognia. Rozległ się syk gwałtownie topiącego się śniegu.

- Wiem, o czym pomyślałaś. To na pewno ułatwi pewne sprawy. Gdybyście wyjaśnili to wcześniej, nie musiałybyś cierpieć na święta tych wszystkich ciekawskich, wyczekujących spojrzeń.

Antonia zdziwiła się.

- Też to zauważyłaś? Sądziłam, że może jestem przewrażliwiona.

- Tak. Nawet moja matka, naprawdę taktowna i wrażliwa osoba, zaczęła robić plany, że na święta zaręczyny, a ślub to najlepiej w czerwcu.

- To było straszne - przyznała.

- Też miałem takie wrażenie - uśmiechnął się. - I bardzo ci wtedy współczułem.

Gdy spojrzała na niego, pewna myśl wpadła jej do głowy.

- I dlatego... urządziłaś ten bal?

- Tak, wszystko wydało mi się lepsze niż słuchanie tych najrozmaitszych domysłów. Niż te plotkary pełne wyczekiwania, aż przyjdziecie: „ludzie, ludzie, ogłaszamy zaręczyny, uwaga, uwaga!”

Antonia zaczęła się śmiać.

- Och, Tom, jesteś wspaniały. Ale wtedy naprawdę ocaliłaś mi życie.

- Nie musisz mi dziękować. Wiesz, chciałbym kiedyś zrobić coś poważnego.

- Zawsze bądź taki, jaki jesteś, nie może być nic lepszego - zaśmiała się.

Nagle coś jej się przypomniało.

- Czy wiesz, że przychodzisz do nas dziś wieczorem na gorącą kolację?

- Naprawdę?
- Oczywiście. Musisz przyjść. Całe rano oskubywałam z piór bażanta i teraz nie może się zmarnować.
- W takim razie na pewno przyjdę - odparł Tom.

. . .

Porozmawiała z nim jeszcze przez chwilę, trochę mu pomogła. Potem poszła prosto do domu. Idąc podziwiała zaśnieżone drzewa, patrzyła na wieczorne niebo koloru ultramaryny, wyłaniające się z głębokiej warstwy chmur. Potem, gdy już mogła zobaczyć swój dom, ujrzała jasne okna - naprawiono wreszcie kabel, był już prąd.

Wszystko zaczynało się układać. Życie bez Davida przestało wydawać się niemożliwe. Mógł już spokojnie wyjechać na narty, bez żadnego poczucia winy. Miał prawo do własnego życia i nie było w tym nic strasznego.

Spojrzała jeszcze raz na niebo. Na pewno zaczynało się przejaśniać.

Jutro może być piękny dzień.

I Tom przyjdzie dziś na kolację.

Kuzynka Dorothy

Mary Burn obudziła się wcześniej. Jej sypialnia była przytulna, elegancka, ozdobiona bukietami kwiatów. Za oknem też było ładnie. Wstało już słońce, śpiewały ptaki. Mary jednak z niepokojem pomyślała o nadchodzącym dniu.

Odwróciła się i zamknęła oczy. Jeszcze trochę, niech ten dzień zacznie się jak najpóźniej. Zatęskniła za Harrym. Na niego zawsze można było liczyć.

- Nic się nie martw, ja się tym zajmę. Wszystko będzie dobrze - powiedziałby Harry. I wiedziałyby wtedy, że nie ma żadnego powodu do niepokoju.

Mary uśmiechnęłyby się do niego i już dzień mógłby się zacząć.

Niestety, Harry zmarł już pięć lat temu, a ona teraz miała problem z Vicky, ich córką. Wszystko było już przygotowane do ślubu, ciągle jednak nie było wiadomo, czy krawcowa przygotowuje suknię na czas.

Harry potrafiłby temu zaradzić. Wraz z jego odejściem Mary straciła nie tylko kochankę i najdroższego przyjaciela, ale także osobę kompetentną i dobrego męża, który potrafił na wszystko znaleźć radę.

Mary musiała przyznać, że za grosz nie ma zdolności organizacyjnych. Wszystkie trudniejsze sprawy wydawały jej się zawsze koszmarem. Wołała troszczyć się o rzeczy codzienne, związane z domem czy też z ogrodem, i robiła to

z dużą przyjemnością. Wychowywała małe dziecko. Wszystko inne załatwiał właśnie Harry, taka była wtedy szczęśliwa. Nietypowe sprawy zawsze wytrącały ją z równowagi, przerażały. Niemal bezużyteczna we wszelkiego rodzaju działalności społecznej, zdarzało się, że nie pamiętała nawet o swojej kolejce przygotowywania kwiatów do kościoła w niedzielę.

To właśnie Harry organizował ich wspólne wyjazdy na wakacje, zamawiał węgiel na zimę i kiedy było trzeba, rozmawiał z dyrektorkami szkoły. To on pilnował, żeby w samochodzie nie zabrakło benzyny i przykręcał obluźowane klamki.

I kiedy zaczęły się problemy z Vicky, Harry potrafił stać temu czoło.

Vicky była kochającą, uroczą dziewczynką, lubiła szyć ubranka dla lalek, piec ciasteczka na niby i uprawiać swoją malutką grządkę w ogrodzie koło domu. I zupełnie niespodziewanie, mniej więcej wtedy, kiedy skończyła dwanaście lat, zaszły w jej charakterze dziwne zmiany. To stało się nagle, prawie z dnia na dzień. Vicky przestała być małą posłuszną dziewczynką, zmieniła się w pyską, upartą i krnąbrną nastolatkę. I potem wszystko - począwszy od tego, że nowe buty okazały się niemodne, a skończywszy na słabych ocenach za prace domowe - wszystko było winą matki.

Mary, zdumiona tym, co się dzieje, nie umiała nic na to poradzić.

- Co, do licha, się z nią dzieje? - pytała nerwowym szeptem Harry'ego po szczególnie ostrej wymianie zdań z córką, zakończonej głośnym trzaśnięciem drzwiami. - Myślę, że ona zupełnie przestała mnie lubić.

- Po prostu trudny wiek dorastania - powiedział wtedy Harry. - To minie, trzeba przeczekać. Nic się nie martw.

- Skąd możesz o tym wiedzieć - zaoponowała. - Przecież nie masz rodzeństwa... oprócz oczywiście kuzynki Dorothy - dodała ironicznie.

- Znowu czepiasz się Dorothy.

Jak tylko sięgała pamięcią, kością niezgody między nimi była właśnie kuzynka Dorothy. Mniej więcej dziesięć lat starsza od Mary, w każdej dziedzinie musiała odznaczać się doskonałością. Niezamężna, zaabsorbowana karierą zawodową. Pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Znała doskonale trzy języki, zatrudnił ją pewien podsekretarz stanu, z którym często wysyłano ją za granicę. Gdzież ona nie była! W Brukseli, Genewie... przemierzała majestatycznym krokiem korytarze Białego Domu, mieszkała w służbowym apartamencie w Knightsbridge. Zawsze wyglądała nieskazitelnie czysto i dystygowanie, zawsze w kosztownych, porządnych butach, ze skórzaną teczką zawierającą niewątpliwie rzeczy niedostępne dla przeciętnego śmiertelnika, tajne informacje państwowe albo coś w tym rodzaju.

- Wcale się jej nie czepiam - odpowiedziała Harry'emu Mary. - Po prostu nie mogę sobie wyobrazić Dorothy jako irytującej nastolatki ani nawet zakochanej pannicy, cierpiącej z powodu nie odwzajemnionego uczucia. Musisz przyznać, Harry, ona jest całkowicie pozbawiona ludzkich słabości.

- Tak, ale myślę, że za mało się znacie.

- Możliwe, ale ona jest twoją kuzynką i szkoda, że nie da rady się z nią zaprzyjaźnić.

* * *

Vicky miała siedemnaście lat, kiedy umarł Harry. Do tego czasu on był tym, który sądził, że młodszy antagonizm po prostu sam się wypali, potrafił załagodzić wszystkie konflikty, uśmiechnąć się, dodać otuchy. A kiedy Mary już nie mogła na niego liczyć, każda jej rozmowa z córką okazywała się kłótnią.

To był trudny czas. Przygotowanie pogrzebu, strata bliskiego człowieka, wszystkie bolesne formalności związane ze zgonem były już same w sobie okropne, ale najgorsze

było nauczyć się żyć bez niego. Mary, zmuszona koniecznością, próbowała być praktyczna, zaradna. Musiała zajmować się tymi wszystkimi sprawami, o które przedtem troszczył się Harry.

Z Vicky było jeszcze wiele nowych problemów. Dziewczyna czuła się głęboko zraniona, zrozpaczona, że straciła ojca, i reagowała na to prawdziwą wściekłością. I jak zwykle, kiedy winien był jedynie ślepy los, miała pretensję do matki. Mary rozumiała ją całkowicie, współczuła serdecznie, ale oczywiście nic na to nie mogła poradzić.

Najgorsze, że Mary nie miała ani jednej osoby, której mogłaby się zwierzyć ze swoich problemów. Nie chodziło nawet o jakąś konkretną pomoc, ale choćby tak tylko porozmawiać, żeby ulżyło. Mary miała wielu przyjaciół w małym miasteczku Wiltshire, w którym mieszkała przez wszystkie lata od zamążpójścia, ale trudno jej było wywlekać przed nimi kłopoty rodzinne. Uważała, że to byłoby niełojalne wobec Vicky. Z całej rodziny pozostała jedna kuzynka Dorothy. Już nie pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, przeszła na emeryturę. Przeprowadziła się na wieś i mieszkała nie dalej niż dziesięć mil stąd. Prowadziła lokalny oddział Czerwonego Krzyża i zawzięcie grała w golfa. Czasami umawiały się z Mary na lunch, nadal jednak wspólna szczerza rozmowa wydawała się nie do pomyślenia. Poza tym Vicky stanowiła drażliwy temat przy Dorothy, która, zdawało się, nigdy nie przejawiała do dziewczyny szczególnej sympatii.

- Strasznie zepsute dziecko - zwykła mawiać Harry'emu Dorothy. - Tylko dziecko, oczywiście. Psujesz małą tym, że nigdy nie potrafisz jej odmówić.

Ostatnią rzeczą, którą Mary chciała usłyszeć od Dorothy, było „a nie mówiłam”.

W tych niemożliwie trudnych chwilach, kiedy Mary zastanawiała się, co jeszcze powinna zrobić dla ich wspólnego dobra, jak zabezpieczyć przyszłość córki, Vicky jak zwykle sama znalazła rozwiązanie. Pewnego pięknego poranka

oznajmiła przy śniadaniu, że wybiera się do Londynu, gdzie zamierza zapisać się na kurs gastronomiczny.

Mary ostrożnie odstawiała filiżankę z kawą.

- Gdzie będziesz mieszkać i czy już wiesz, gdzie organizują ten kurs? - zapytała ostrożnie.

- Sarah Abbey ma mieszkanie w Londynie - wyjaśniła Vicky. - Pamiętasz, chodziła ze mną do szkoły. Mówiła, że mogłabym u niej zamieszkać. Ona zarabia teraz niezły grosz, przygotowując dyrektorskie obiady.

Mary odrzekła, że musi się nad tym jeszcze zastanowić. Ale Vicky już jej nie pytała o zdanie, sama wiedziała, co dla niej najlepsze.

- To dobrze, że mała chce się usamodzielnąć - tłumaczyła sobie Mary wróciwszy z dworca. Vicky pojechała pociągiem do Londynu, a dom bez niej wydał się dziwnie pusty i spokojny.

Ale Vicky, spójrzmy prawdzie w oczy, wszystko, za co się wzięła, robiła w ten sposób, że matczyne serce raz po raz napełniało się trwogą. Zamieszkała u Sarah Abbey, wytrzymały razem prawie miesiąc, a potem wyprowadziła się. Trzeba przyznać, że zadzwoniła do Mary i opowiedziała, co się wydarzyło.

- Ależ Vicky, myślałam, że ją lubisz - denerwowała się Mary.

- Mamusiu, z niej się zrobiła okropna nudziara. Będę teraz mieszkać z koleżanką, która chodzi ze mną na kurs. I z dwoma kolegami. Oni wynajmują wspólnie mieszkanie w Fulham. Dołączę do nich. To wygląda o wiele zabawniej. Podam ci adres...

Mary wzięła notes, długopis, starannie zanotowała.

- Zapisałaś? Muszę lecieć...

- Vicky, powiedz, co u ciebie. Mam na myśli kurs - poprosiła z wahaniem.

- O, łatwizna. Radzę sobie doskonale. Jak przyjadę na weekend następnym razem, przygotuję ci pieczeń z jagnięcia, zobaczysz, jak dobrze gotuję - pochwaliła się Vicky.

Kiedy wreszcie przyjechała na weekend, ubrana była wyjątkowo dziwacznie. Ciuchy, które miała na sobie, kupione w sklepie z używaną odzieżą, sprawiały wrażenie, jakby nabyła je na wyprzedazy mienia starego ubożego cyrku. Przywiozła ze sobą młodego człowieka, którego - jak wyjaśniła - poznała na dyskotecie. Znajomy ubrany był w fiołkoworóżowy, wygnieciony garnitur i spędził cały weekend podłączony do swojego walkmana.

Kurs gotowania trwał cały rok. Vicky zdała śpiewająco wszystkie egzaminy i zaczęła myśleć o podjęciu pracy.

Decyzję podjęła dość szybko. Kupiła używany mikrobus i jeździła po mieście z patelniami, czajniczkami, sztuczkami i przyprawami korzennymi - te wszystkie rzeczy wypełniały cały tył samochodu. Organizowała przyjęcia weselne, bankiety, obsługiwała prestiżowe spotkania w poważnych przedsiębiorstwach.

Widząc, że córka odnosi sukcesy i patrząc z uznaniem na jej zaradność, Mary właściwie mogłaby już przestać się niepokoić. Trudno było jednak zrozumieć, dlaczego Vicky dobiera sobie tak ekscentrycznych przyjaciół. Przyjeżdżali do Wiltshire regularnie, a każdy z nich okazywał się jeszcze cudaczniejszy niż człowiek w fiołkoworóżowym garniturze. Ale już całkiem dziwaczna była dziewczyna, która nazywała się Regina French. Wyglądała jak bardzo chuda wiedźma i mogłaby nie jeść nic innego oprócz płatków owsianych i orzechów.

Muszą przecież istnieć w Londynie, mówiła sobie Mary, jacyś przyzwoici, zupełnie normalni ludzie. Dlaczego zatem Vicky spotykała wyłącznie jakieś dziwolągi? Ale jeżeli istnieli jacyś zwykli ludzie, to może Vicky po prostu ich nie lubiła. Może to łączyło się z jej młodzieńczym buntem przeciw całemu światu, do którego należała Mary.

Wydawało się, że nie ma odpowiedzi na to pytanie.

* * *

Zadzwońiła Dorothy.

- Mary?

- Tak. Co słychać?

- Moja droga, właśnie chciałam ciebie o to zapytać. Byłam wczoraj w Londynie, robiłam zakupy u Harrodsa i widziałam tam Vicky. Przynajmniej tak sądzę, że to była ona. Wyobraź sobie, że ufarbowała włosy. Na jasnożółto.

- To znacznie lepiej, niż gdyby wybrała na przykład różowy.

- Dobrze, co się z nią dzieje? Czy ma jakąś pracę?

- Prowadzi własny biznes, usługi gastronomiczne u klienta. Pracuje bardzo ciężko - Mary mówiła tonem obronnym.

- To dobrze, ale musisz przyznać, że wygląda cudacznie. Dziwię się, że ktokolwiek ma odwagę zlecić jej coś więcej niż usmażenie jajecznicy.

- Vicky jest pełnoletnia i sama może decydować o tym, jak wygląda.

- Jak uważasz, to twoja córka.

- Tak - przyznała Mary. - Ona jest moją córką.

Pierwszy raz była górą w dyskusji z Dorothy. Przyjemnie jej było z tego powodu.

* * *

Potem zaświtała nadzieja, jakby rozbłysła nowa gwiazda na niebie. Wcześniej Mary nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że sprawy jakoś się wreszcie ułożą. Vicky pojechała do Szkocji na dwa tygodnie organizować przyjęcia z morskim jedzeniem dla wyższych sfer. Tam poznała Hectora Hardinga. Potem często, można powiedzieć, że regularnie, to imię pojawiała się w rozmowach, wypowiedane jakoś delikatniej niż inne słowa, może z podziwem. Mary od razu zwróciła na to uwagę.

- Kto to jest Hector, Vicky?

- Kolega, poznałam go w Szkocji. Bardzo... bardzo ciekawy człowiek.

- Czym się zajmuje?

- Jest architektem.

Architekt. To było coś nowego. Przedtem nigdy nie było architekta. W Mary wstąpiła nadzieja. Hektor Harding został zaproszony do Wiltshire na weekend.

Po prostu jeszcze jeden przyjaciel, powiedziała sobie Mary, i nie czyniła specjalnych przygotowań w związku z jego przybyciem. Kiedy jednak jego auto podjechało pod dom, nie mogła powstrzymać ciekawości, kiedy wyszła do nich na powitanie. Przyjechali nie mikrobusem należącym do Vicky, ale samochodem Hectora. Wstał zza kierownicy - wysoki, w jasnoniebieskich dżinsach i od razu kulturalnie przywitał się z gospodynią. Szczupły, o gęstych brązowych włosach. Nie odznaczał się jakąś niezwykłą urodą, można nawet powiedzieć, że wyglądał raczej przeciętnie, był jednak wyjątkowo miły.

W sobotę rano pomógł kosić trawę i zreperował toster, który zepsuł się już bardzo dawno temu, zaledwie kilka tygodni po tym, jak Mary przyniosła go ze sklepu. Po południu poszli z Vicky na długi spacer. Wrócili koło piątej jakby trochę otumanieni. Później, po obiedzie i już po zjedzeniu deseru, oznajmili Mary, że zamierzają się pobrać.

Parę dni później zadzwoniła Dorothy.

- Mary, właśnie otworzyłam „Daily Telegraph” i od razu wpadło mi w oko zawiadomienie o ślubie Vicky. Kiedy się zdecydowała?

Mary powiedziała jej.

- Kim on jest?

- Architektem.

- I co? Podoba ci się?

- Ogromnie. Harry'emu też by się spodobał.

- Na kiedy planujecie wesele?

- Na sierpień, w naszym kościółku. Skromne przyjęcie dla najbliższych. Nie zamierzamy wyprawiać hucznego wesela.

Potem okazało się, że Mary się myliła. Vicky jak zwykle miała i teraz własne zdanie.

- Wydrukujemy zaproszenia i musimy sporządzić listę gości. Hektor i ja planujemy przyjęcie mniej więcej na pięćdziesiąt osób. Dla najbliższych przyjaciół. Żadnych nudnych krewniaków nie chcemy wiedzieć.

- O niektórych krewnych będziemy musiały pamiętać. Na przykład kuzynka Dorothy - powiedziała Mary.

- Dlaczego muszę zapraszać na moje wesele kuzynkę Dorothy? - zaprotestowała Vicky. - Przecież ona nigdy mnie nie znosiła. Kiedyś spotkałam ją u Harrodsa i nie podobały jej się różne rzeczy, na przykład kolor moich włosów i to, jak jestem ubrana. Musiałam ją jakoś przystopować, bo mi strasznie wierciła dziurę w brzuchu. Wiedziałam, że długo tak jeszcze będzie się czepiać, wytrzeszczać oczy ze zdumienia i zadawać mnóstwo kłopotliwych pytań.

Mary spojrzała na nią ze współczuciem.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Na mnie też czasami krzywo patrzy. Uważam jednak, że musimy ją zaprosić.

- No, dobrze - odparła niechętnie Vicky. - Może siedzieć w kącie i bawić rozmową babcią Hektora.

Dobrze, z Dorothy już załatwione.

W końcu najważniejszą sprawą ze wszystkich, które zostały do omówienia, okazała się suknia ślubna.

- Widziałam w żurnalu wykroje - powiedziała Vicky matce. - Jeden fason będzie doskonały.

Mary wyobraziła sobie białe koronki i welon. Mogłaby nic sobie nie wyobrażać. Modelka na zdjęciu była zupełnie niepodobna do Vicky, miała długie, chude nogi i jasne włosy. Mary przyjrzała się sukience dokładnie i na wszelki wypadek powstrzymała się od wyrażenia własnej opinii. Przez chwilę siedziały obie w milczeniu. To była zwykła bawełniana koszulka, a do tego krótka, kloszowa spódnica, wygnieciona jak chustka do nosa po wypraniu, przed prasowaniem. Modelka ubrana była w krótkie skarpetki i tenisówki.

Vicky przerwała ciszę.

- Czy nie sądzisz, że to jest druzgoczące?

- To kosztuje dwieście albo trzysta funtów - to było wszystko, co matka mogła powiedzieć.

- Nie myślę, że trzeba będzie kupować. Czy pamiętasz Reginę? Kiedyś przyjechała tu ze mną, dawno temu. Ona jest krawcową.

- Zawodową?

- Nie, to jej hobby. Poproszę, żeby zrobiła to dla mnie.

- Myślisz, że zdąży na czas?

- A czemu by nie?

Vicky podeszła do telefonu. Nie udało jej się jednak zadzwonić do Reginy, bo akurat zatelefonował do niej Hektor i rozmawiali ponad godzinę. Mary zmywając po śniadaniu była pełna złych przeczuć.

Przeczucia okazały się niebezpieczne. Za każdym razem, kiedy Vicky jechała do Londynu zobaczyć się z Reginą albo do niej telefonowała, wynikały kolejne trudności. Materiał nie nadszedł na czas. Maszyna do szycia Reginy właśnie się zepsuła. Regina musiała wyjechać do Devon opiekować się czymś dzieckiem. Ale nie ma powodu do niepokoju, jeszcze się zdąży.

* * *

Nie ma powodu do niepokoju, próbowała sobie wytłumaczyć Mary. Jednak jej obawy o to, że sukienka Vicky nie będzie gotowa na czas, w żaden sposób nie dały się wytłumaczyć. Do wesela został już tylko tydzień i wciąż problem sukienki pozostawał nie rozwiązany.

Mary wstała, ubrała się, zeszła na dół. Vicky siedziała przy kuchennym stole, pijąc kawę. Poczta już była.

- I co? - zapytała Mary. - Przyszło może coś od Reginy?

- Tak - powiedziała Vicky, unikając wzroku matki.

Mary rozejrzała się za paczką. Spodziewała się zobaczyć dużą paczkę zawierającą suknię Vicky. Nic takiego nie było.

- List - wyjaśniła Vicky. Podała matce kartkę papieru, Mary ze ściśniętym sercem wzięła ją od córki i zaczęła czytać.

*Droga Vicky,
strasznie mi przykro, ale z sukni nici. Umieram na grype i nie mam siły nawet utrzymać w ręku słuchawki. Myślę, że jakoś sobie poradzisz. Nie gniewaj się, mam nadzieję, że to będzie naprawdę piękne wesele.*

*Cześć
Regina*

Mary przysunęła sobie krzesło i usiadła.

Vicky odezwała się pierwsza.

- Tylko nie mów „a nie mówiłam”, bo oszaleję.

- Nie zamierzam mówić nic w tym rodzaju. Przynajmniej teraz wiemy, na czym stoimy.

- Tak. Zupełnie golusieńko. Goła i wesoła.

Mary tłumaczyła sobie w duchu, że powinna zachować spokój.

- Może pojechałybyśmy do Londynu i spróbowały znaleźć coś odpowiedniego?

- Nigdy nie znajdę nic takiego jak to! - mówiła Vicky coraz głośniej. Zaczynało to już brzmieć histerycznie. - Jeśli nie będę miała takiej sukienki, pójdę do ślubu w fartuchu kucharki! - krzyczała.

- Och, kochanie. Musimy coś na to poradzić.

Vicky wstała gwałtownie.

- I co tu można zrobić? Będę mieszkać z Hektorem bez żadnego cholernego ślubu! Uciekniemy razem! Mam dosyć!

Głośne trzaśnięcie drzwiami.

* * *

Przez moment Mary siedziała nieruchomo. Potem próbowała się opanować, żeby nie pójść za Vicky na górę i nie po-

wiedzieć jej, co o tym sądzi, nie powiedzieć czegoś, co nigdy nie zostałyby wybaczone. W końcu po prostu wzięła torebkę i wyszła z domu. Wsiadła do swojego samochodu i przejechała około dziesięciu mil dzielących ją od domu Dorothy.

Znalazła Dorothy w ogrodzie. Nawet robiąc te wszystkie brudne rzeczy konieczne przy pielęgnowaniu grządek, Dorothy wyglądała nieskazitelnie czysto. Na starannie obciętych, siwych włosach miała cienką siateczkę. Podcinała właśnie krzewy róż, ale gdy zobaczyła Mary idącą do niej przez trawnik, odłożyła sekator na ziemię i natychmiast podeszła do niej.

- Moja droga... - Dorothy zaczęła coś mówić, jej twarz wyrażała troskę i życzliwość.

Muszę wyglądać przerażająco, jakby się stało coś jeszcze gorszego, pomyślała Mary. Chciała coś powiedzieć, ale zanim zdołała wykrztusić z siebie choć jedno słowo, niespodziewanie załapała się łzami.

Dorothy była bardzo miła, zaprowadziła ją łagodnie do mieszkania, posadziła na krześle w saloniku i sama na chwilę znikła, mówiąc, że zaraz wróci. Pokój był chłodny i panował w nim nienaganny porządek. Pachniało pastą do podłogi i świeżo wypranymi narzutami. Stopniowo łkanie ucichło. W tej spokojnej atmosferze Mary zdołała zapanować nad łzami. Znalazła chustkę do nosa i otarła łzy. Dorothy po chwili wróciła niosąc wcale nie kawę, jak się spodziewała Mary, tylko małą szklaneczkę brandy.

- Ależ Dorothy, ja przecież nie piję.

- Odrobina leczniczo - Dorothy usiadła przy niej na fotelu. - Wyglądasz na zmęczoną i załamana. To dobrze robi na nerwy. Wypij.

Mary wyciągnęła rękę po szklanekę. I od razu poczuła się lepiej, zmusiła się nawet do uśmiechu.

- Przepraszam, Dorothy, po prostu wszystko zrobiło się przeraźliwie trudne i czułam, że muszę wyjść z domu, żeby z kimś o tym porozmawiać. I ty byłaś jedyną osobą, o której pomyślałam.

- Czy chodzi o Vicky?

- Tak... to znaczy... w pewien sposób. To nie jej wina. Ona naprawdę bardzo pomagała mi w przygotowaniu wszystkiego i już zdawało mi się, że damy sobie same z tym radę. Wierzyłam, że jakoś sobie poradzimy.

Odstawiła pustą szklankę.

- Wiem, że zawsze uważałaś, że Harry i ja psujemy ją, i może faktycznie tak było. Wydaje mi się jednak, że problem polega na tym, że Vicky jest zupełnie inna niż ja. Zupełnie nie potrafimy się zrozumieć. Ale wszystko było w porządku, dopóki...

Tu nastąpiła przykra opowieść o sukni ślubnej.

- To naprawdę nie twoja wina - stwierdziła Dorothy, gdy Mary skończyła mówić.

- Wiem, ale teraz został nam tylko tydzień na kupienie czegoś innego. I Vicky ma takie szalone pomysły. Włoży fartuch kucharki albo uciekną razem z Hektorem i będą żyć bez ślubu...

Dorothy słuchała tego wszystkiego, potrząsając głową ze zrozumieniem.

- To wygląda dla mnie jak typowa nerwówka przed weselom. Dla was obu przygotowanie wesela jest na pewno dużo trudniejsze. Gdyby żył Harry, potrafilyby wam pomóc. Niestety, sama musisz sobie z tym poradzić. Żałuję, że przedtem na nic nie mogłam się przydać. Myślałam nieraz o tym, żeby zadzwonić do ciebie i zaoferować swoją pomoc, ale nie chciałam się narzucać. Bałam się, że pomyślisz, że wtrącam się do nie swoich spraw. Vicky jest bardzo silną indywidualnością i obawiałam się, że obie nie będziecie zadowolone. Wiem, jakie to musi być trudne, kiedy zabrakło Harry'ego. Zawsze patrzyłam na ciebie z podziwem, że tak dobrze sobie radzisz.

Dorothy patrząca z podziwem... To było coś nowego.

Zapadła cisza. Ale Mary czuła się dziwnie spokojnie i bezpiecznie. Nigdy jeszcze nie było jej tak przyjemnie, że Dorothy jest w pobliżu. Spojrzała na zegarek.

- Będę musiała wracać do domu. Po prostu potrzebowałam z kimś porozmawiać.
- A co będzie z suknią ślubną?
- Nie mam żadnego pomysłu.
- Ja mam suknię ślubną - powiedziała Dorothy.

* * *

Mary wracała do domu z lekkim sercem i z kolosalną, zupełnie dla niej niezwykłą prędkością. Zatrzymała samochód, wyjęła stojące na tylnym siedzeniu wielkie pudło i poszła na górę do swojej sypialni. Położyła pudło na łóżku i siadła przy toalecie, by poprawić makijaż na twarzy, zetrzeć ślady łez.

- Mamusiu - drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich Vicky - czy wszystko w porządku?

Mary, zajęta nakładaniem różu na policzki, nie odwróciła się do niej.

- Tak, oczywiście.

Pociągnęła usta szminką.

- Nie wiedziałam, dokąd pojechałaś - Vicky objęła matkę ramieniem i pocałowała. - Przepraszam - powiedziała do obrazu matki w lustrze. - Niepotrzebnie złościłam się na ciebie. To tylko moja wina. Przepraszam.

- Och, kochanie - westchnęła Mary.

- Gdzie byłaś? Pomyślałam, że musiałam być okropna, jak tak szybko przeze mnie wybiegłaś z domu. Bałam się o ciebie.

- Pojechałam zobaczyć się z Dorothy.

Vicky aż usiadła na łóżku.

- Z Dorothy? Po co musiałaś się z nią widzieć? .

- Poczułam nieodpartą chęć porozmawiania z kimś rozsądnym. A ona jest najrozsądniejszą osobą, jaką znam. Bardzo mi pomogła, poczęstowała mnie brandy i dała mi suknię ślubną.

- Chyba żartujesz.

- Nie, jest w tym pudle.

- Czyja to suknia?

- Dorothy, wyobraź sobie, że jej własna - odwróciła się w stronę córki. - Wydaje się nam wszystkim, że wiemy tak dużo o innych ludziach. Tymczasem nie wiemy nic. Kiedy Dorothy miała dziewiętnaście lat, była zakochana, zaręczona z młodym oficerem marynarki. Termin ślubu ustalili na któryś tam dzień września 1939 roku i potem wybuchła wojna, i trzeba było odłożyć uroczystości. On wypłynął w morze i prawie pierwszego dnia został zabity, i to jest powód, dla którego Dorothy nigdy nie wyszła za mąż.

- Dlaczego nie wiedziałyśmy o tym wcześniej? Dlaczego tata nigdy nam o tym nie mówił?

- Harry miał wtedy zaledwie dziewięć lat. Myślę, że w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wydarzyło.

- I myślałyśmy obie, że ona jest zupełnie oschła - wstęchnęła Vicky.

- Tak, ale zajmijmy się teraz tym, co przywiozłam. Dorothy miała wtedy prawie identyczną figurę jak ty. Powiedziała, że możesz wziąć tę suknię. To prawdziwy zabytek z 1939 roku, ma już wartość muzealną. Jest w idealnym stanie i nigdy jeszcze nie była używana.

- Widziałaś ją?

- Nie, tylko wzięłam pudło.

Usiadły razem na łóżku i próbowały rozplątać sznurek. Potem otworzyły pudło, odwinęły papier. Vicky wyciągnęła suknię i podniosła wysoko do góry. Delikatne fałdy atlasu zaszeleściły nad podłogą. Szeroka spódnica z trenem, wąska talia ozdobiona koronką i perłami, bufiaste rękawy...

Materiał pachniał jakimiś ziołami, przyjemna, słodka woń.

- Och, mamusiu! Jest przepiękna!

- Tak, zupełnie urocza. Ale... czy w ramionach...

- To bardzo modne. To jest wspaniałe.

- Może trochę za długa?

- Skrócimy, jeśli będzie trzeba. Dorothy chyba nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Ona nie chce, żebyś jej oddawała suknię. Powiedziała, że możesz ją zatrzymać. Przymierz.

Vicky ściągnęła dzinsy i podkoszulkę i szybko włożyła suknię przez głowę. Mary podskoczyła z pomocą i zapięła tuziny guziczków.

Vicky podeszła do lustra. Tak, suknia leżała jak ulał, wyglądała, jakby była szyta specjalnie dla niej. Chociaż może rzeczywiście była odrobinę za długa. Vicky obejrzała się z przodu, potem z tyłu. Wygładziła spódnice, poprawiła tren.

- Jest piękna - westchnęła z zachwytem. - Gdybym nawet przez sto lat chodziła po sklepach, czegoś takiego na pewno bym nie znalazła. Jak to miło ze strony Dorothy. Nigdy w życiu nie myślałam, że ona potrafi być taka dobra.

Kiedy po pewnym czasie odpinały guziki, znowu męcząc się z nimi okropnie, Vicky zawołała:

- Zadzwoń do Dorothy! Koniecznie muszę jej podziękować. Jak mogłam myśleć coś tak obrzydliwego, żeby nie zapraszać jej na wesele.

Powiesiły suknię do szafy.

- Masz rację, mamó - powiedziała Vicky, wkładając dzinsy. - Wydaje nam się, że tak dużo wiemy o innych ludziach, a naprawdę nie mamy zielonego pojęcia.

Włożyła koszulkę, poprawiła włosy.

- A co do ciebie - zwróciła się do matki. - To naprawdę masz do mnie świętą cierpliwość, aż sama się dziwię, że tyle wytrzymujesz.

Chwilę później Mary mogła słyszeć, jak Vicky mówi coś do Dorothy głosem pełnym zachwytem i wdzięczności.

Mary zamknęła drzwi i znowu usiadła przy toalecie. Spojrzała na suknię i uśmiechnęła się, że pierwszy raz w życiu Vicky wyraziła zgodę, by ubrano ją w coś ładnego. Potem pomyślała o mającym się wkrótce odbyć ślubie i po raz pierwszy spojrzała w przyszłość ze spokojem i z optymizmem. Będzie teraz miała nie tylko córkę, ale i zięcia, porządnego, sympatycznego człowieka. I Dorothy... Mary po-

czuła się tak, jakby właśnie zdobyła nowego, dobrego przyjaciela. Po weselu będą musiały umówić się na lunch. Tyle przecież mają sobie do powiedzenia.

I pomyślała o Harrym. Na toaletce wśród flakoników i szkatulek stała jego fotografia. Uśmiechnęła się do niej.

- Teraz już o nic nie musisz się martwić - szepnęła. - Teraz już wszystko będzie dobrze.

Potem znowu spojrzała do lustra, przypudrowała twarz i wesoło, jak młoda dziewczyna, uśmiechnęła się do swego odbicia.

Ostatni dzień

Laura Prentiss obudziła się w obcym, hotelowym pokoju. Jeszcze zanim otworzyła oczy, usłyszała dobiegający z łazienki szum wody - mąż jej, jak widać, wstał wcześniej, mył się teraz i golił. Roger pozostawił opuszczone żaluzje, na pewno z myślą, by mogła porządnie się wyspać. W pokoju panował półmrok i Laura po omacku szukała okularów, a kiedy je znalazła, rozejrzała się za zegarkiem i ze zdziwieniem stwierdziła, że było już pół do dziewiątej.

- Roger?

Pojawił się w spodniach od pizamy, z lewą połową twarzy pokrytą kremem do golenia.

- Dzień dobry.

- Aż boję się patrzeć, jaki mamy dzisiaj dzień - westchnęła. - Brzydka pogoda z pewnością przeszkodziłaby w uroczystości.

- Ładnie jest dzisiaj, nie martw się.

- Dzięki Bogu za to.

- Zimno, odrobina wiatru. Ale ładnie.

- Odsłoń okno i pozwól mi zobaczyć.

Uczynił to z pewną trudnością, najpierw próbując odsunąć żaluzje ręką, jak w domu zasłony i firanki, potem spostrzegł, że w hotelu mają do tego specjalne urządzenie. Rogerowi zawsze tego typu bajerki stwarzały problem i nigdy nie wiedział, jak się do nich zabrać. W końcu jakoś mu się udało i oboje wyjrzelili przez okno.

Niebo za szybko było jasne, niebieskie, przepływały białe obłoki, takie na ładną pogodę. Potem Laura mogła zobaczyć morze - ciemnoniebieskie z białymi grzywami fal.

- Boję się, że jest trochę za duży wiatr. Będzie zwiewać Wirginii welon z twarzy. Coś takiego, niby drobiazg, może jednak bardzo we wszystkim przeszkadzać - zatroskała się.

- Nawet jeśli Wirginia jedną ręką będzie musiała przytrzymywać welon, to na pewno jakoś sobie z tym poradzi. Poza tym nie będzie to twoja wina, nawet jeśli zerwie się huragan, i nie powinnaś czuć się za nią odpowiedzialna. W końcu nie jest twoją córką.

Laura położyła się znowu, zdjęła okulary i uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Roger ma rację, nie musi tym się denerwować.

Roger zachowywał się dzisiaj jak człowiek praktyczny, dbający o swoją wygodę. Traktował ten dzień zupełnie zwyczajnie - mył się, golił, wybierał się na dół zjeść śniadanie...Teraz znowu wszedł do łazienki dokończyć golenie. Rozmawiali przez nie domknięte drzwi.

- Co zamierzasz robić dzisiaj rano? - zapytała.

- Wybieram się na golfa - odparł spokojnie.

Powinna była domyślić się tego. Na terenie należącym do hotelu znajdowało się pole golfowe.

- Tylko pamiętaj, żebyś wrócił w porę. Potem możemy nie zdążyć - zaniepokoiła się.

- Nie przejmuj się, to zupełnie nieprawdopodobne, że byśmy mieli się spóźnić.

- Musisz mieć czas na przebranie się. Wiesz przecież, że takie rzeczy zajmują trochę czasu.

Chciała coś jeszcze dodać, że wbijanie się w odświętny garnitur, odkąd Roger trochę przybrał na wadze, może sprawić kłopot. Powstrzymała się jednak przed tą uwagą, mając na względzie pewne przewrażliwienie Rogera i pomijanie milczeniem koniecznych poprawek, robionych co jakiś czas przez krawca.

- Przestań przejmować się detalami - powiedział Roger.
- Naprawdę nie ma powodu do zdenerwowania. - Przestań przejmować się wszystkim, jesteś gościem na tym weselu, nie musisz niczego planować, nad niczym rozpaczać. Po prostu nic nie musisz robić, postaraj się tym cieszyć.

- Tak, masz rację.

Wstała z łóżka, włożyła szlafrok i podeszła do okna. Otworzyła je. Powietrze było lodowate, pachniało solą i wodorostami. Na polu golfowym był już pierwszy gracz, w czerwonym swetrze, sam jeden, widocznie czekał na kogoś. Pamiętała, jak dawno temu przywiozła swoje dzieci właśnie do tego hotelu na wakacje. Tom miał wtedy sześć lat, Rose trzy latka, a Becky była jeszcze tłuściutkim niemowlakiem. Pogoda trafiła im się wyjątkowo okropna. Cały czas padało. Siedzieli na werandzie, grali w karty i czekali, aż wyjdzie słońce.

Za każdym razem, kiedy przestawało padać, pędzili aleją na plażę, gdzie dzieci, w swetrach i w czapkach naciągniętych głęboko na uszy, przykucały i budowały zamki z ciemnego, mokrego piasku.

Ale któregoś dnia podczas tych wakacji Tom został wprowadzony w tajniki podstaw trudnej, fascynującej gry w golfa i potem już chodził na pole golfowe niezależnie od pogody, a piłki golfowe i grudki darni fruwały we wszystkie strony.

Rozpamiętując, jaki on był wtedy malutki, poczuła przygnębienie. Jak szybko przeleciały te lata, pomyślała. I natchmiaszt czuła złość na siebie, że się nie sprawdziła, że zawsze była tylko przeciętną, nudną matką i nigdy nie potrafiła zrobić dla dzieci czegoś naprawdę wspaniałego.

* * *

Kiedy Roger wreszcie wyszedł z łazienki, zamknęła okno.

- Myślę, że Tom też chętnie by zagrał w golfa. Byle tylko nie za długo, żeby potem spokojnie zdążył się przygotować - powiedziała.

- Też tak sądziłem i pytałem go już o to, ale powiedział, że ma co innego do roboty.

- Czy chodziło mu o odpoczynek po balu?

Roger uśmiechnął się.

- Możliwe.

Tom poszedł poprzedniego dnia na tradycyjny kawalerski wieczór, huczną całonocną imprezę z dwoma czy trzema przyjaciółmi, którzy byli też zaproszeni na wesele. Laura miała nadzieję, że względu na Wirginię, że impreza nie była zbyt hulaszczą. Nie mogło być nic gorszego niż zmęczony, niewyspany pan młody z podkrążonymi oczyma.

- Zastanawiam się, co on ma zamiar robić.

- Nie mam pojęcia - powiedział Roger.

Podszedł i pocałował ją.

- Co ze śniadaniem? - zapytał.

- A co ma być?

- Czy będziesz jadła tutaj? Wystarczy, że zamówisz telefonicznie.

Musiała wyglądać na bardzo przestraszoną, bo uśmiechnął się. Wiedział, jak bardzo denerwowała się zwracaniem się do kogokolwiek o cokolwiek i w ogóle załatwianiem spraw przez telefon.

Wziął słuchawkę i zamówił dla niej śniadanie. Po dwudziestu siedmiu latach małżeństwa nie musiał pytać, na co ma ochotę. Sok pomarańczowy, gotowane jajko, tosty i kawa.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Podszedł do niej i przysiadł na brzegu łóżka. Pomyślała, że mimo wszystko dzień zaczął się dobrze.

* * *

Kiedy jadła śniadanie, wpadły do niej do pokoju córki, jak zwykle plotąc coś trzy po trzy i chichocząc. Przyszły dowiedzieć się, jak zamierza spędzić ten poranek.

Obie miały włosy koloru mysiego i ładne opalone buzie, niemal bez makijażu, ledwie odrobina pudru i cienie do powiek. Ubrane były podobnie, na sportowo, dżinsy, tramp-

ki, długie bluzy, luźne sweterki i workopodobne torby. Laura popatrzyła na nie z dumą.

Usiadły na jej łóżku i gadały podjadając tosty, które przyniesiono jej na śniadanie. Chrupały z takim apetytem, jakby od tygodnia nie miały nic w ustach.

- Ten bal ostatniej nocy...

- Ten jego wieczór kawalerski...

- W końcu spotkaliśmy się z jego paczką i połączyliśmy siły. On jest niesamowity, ten przyjaciel Toma, Micke się nazywa, czy jakoś tak...

- Tak, on gra na gitarze jak marzenie. I śpiewa super, wszystko, o co się go poprosi. Zna wszystkie piosenki.

- Czy Tom wrócił do domu razem z wami? - zapytała Laura.

- Nie, dużo później. Ale słyszałyśmy go, jak wracał, nie bój się, mamo. Na pewno myślisz, że on umiera od przepicia dobrymi alkoholami? Czy trochę jeszcze kawy zostało w tym dzbanku?

Laura przysunęła tacę i znowu oparła się o poduszkę, obserwując je z uśmiechem. Dlaczego one musiały dorosnąć, dostać pracę w Londynie i opuścić dom rodzinny?

W połowie zdania Rose nagle spojrzała na zegarek.

- Zobacz, która godzina! - zawołała. - Musimy lecieć!

- Dokąd się wybieracie?

- Uwierzysz albo nie, ale istnieje salon piękności w tym miasteczku. Odkryłyśmy go wczoraj wieczorem i teraz się tam wybieramy. Olśnimy wszystkich eleganckich przyjaciół Wirginii i na pewno nie przyniesiemy wstydu naszemu bratu.

Laura miała krótkie, jasne włosy, kręcone z natury. Strzygła je raz na miesiąc i nie przejmowała się nimi za bardzo. Myśl o spędzeniu poranka u fryzjera, o cierpliwym znoszeniu czesania, zakręcania włosów na wałki, lakierowania i różnych tego typu zabiegów, wydała jej się przerażająca.

- Nie sądzę, żebym miała ochotę iść tam z wami.

- Twoje włosy wyglądają wspaniale jak zawsze - zawołały córki.

- Dziękuję wam, kochane - uśmiechnęła się Laura.

- Hej! Hej! Musimy już iść.

Kiedy dziewczęta wyszły, Laura stała przez chwilę bez ruchu, zastanawiając się, co teraz powinna zrobić.

Pomyślała o Wirginii, która na pewno już się obudziła w domu swoich rodziców, odległym od hotelu jakieś dwie mile. Zastanawiała się, czy Wirginia też czasami lubi zjeść śniadanie w łóżku i czy dziewczyna dzisiaj bardzo się denerwuje. Potem doszła do wniosku, że rodzice Wirginii na pewno zadbali, żeby ostatni dzień, jaki ich córka spędzi w rodzinnym domu, upłynął spokojnie i miło.

Potem Laura próbowała sobie przypomnieć swoje własne wesele, ale to było już tak dawno, i odkryła, że bardzo niewiele z tego pamięta. Może tylko to, że suknia okazała się trochę za luźna i ciotka Mary, na którą zawsze można było liczyć w potrzebie, w ostatniej chwili zwężyła ją w talii.

* * *

Wstanie, umycie się i ubranie zajęło jej z jakichś powodów znacznie więcej czasu niż normalnie w domu. Laura przestraszyła się, że wychodząc z pokoju na mały spacer, jak to sobie zaplanowała, mogłaby spotkać się w korytarzu z ciotką Lucy, wujem George'em, matką chrzestną Toma i jej mężem i kuzynami Ryszarda, którzy niespodziewanie, aż z dalekiej północy, przyjechali na ślub i mieszkali w tym samym hotelu. Nie to, żeby Laura nie lubiła tych ludzi. Ale tego poranka bardzo chciała być sama. Pójść na samotny spacer, uporządkować myśli i zupełnie z nikim nie rozmawiać.

Włożyła tweedowy płaszcz, kapelusz i ostrożnie wyszła z pokoju. Schodząc na dół uważnie rozglądała się, czy kogoś nie spotka, na szczęście korytarz był pusty. Kiedy jednak mijała szklane drzwi jadalni, zatrzymała się, ponieważ

zobaczyła Toma siedzącego przy stoliku, jedzącego samotnie śniadanie i czytającego gazetę.

Od razu, jakby wyczuł jej spojrzenie, rozejrzał się, dostrzegł ją i uśmiechnął się. Otworzyła szklane drzwi i podeszła do niego, przyglądając się z niepokojem, czy nie ma przekrwionych oczu albo chorobliwie bladej twarzy. Ale jej najstarsze dziecko, pomyślała z ulgą, wyglądało jak okaz zdrowia.

Przysunął dla niej krzeselko. Usiadła koło niego.

- I jak tam zabawa?

- Wspaniale.

- Dziewczynki opowiadały, że widziały cię i że dobrze się bawiłeś.

- Tak. Pod koniec był wolny wstęp dla wszystkich. Dołączyły do nas tłumy tubylców.

Odłożył gazetę.

- Wyglądasz tak, jakbyś się wybierała na przechadzkę.

- Owszem, planowałam mały spacer.

- Pójdę z tobą.

- Ale...

- Ale co? Wolisz iść beze mnie?

- Oczywiście, że nie. Sądziłam jednak, że masz jeszcze milion innych rzeczy, które na ciebie czekają.

- Na przykład jakich?

- Nie myślałam o niczym konkretnym, ale na pewno coś jeszcze zostało do zrobienia.

Podniósł się z krzesła.

- Chodźmy, mamó.

Miał na sobie ciepłą, wełnianą kamizelkę i nie czuł potrzeby wkładania jeszcze marynarki albo płaszcza. Wyszli razem bez żadnych ceregieli. Wiał silny wiatr, a darń na terenie do gry w golfa po ulewnym deszczu, który spadł w nocy, przypominała zielony aksamit. Wszystkie chorągiewki stały wyprostowane, lekko kołysząc się na wietrze.

Skręcili w prawo, potem szli dziarskim krokiem wzdłuż pola golfowego, kierując się w stronę plaży.

- Czy to nie dziwne - powiedział Tom - że dziewczyna, która zostanie moją żoną, pochodzi akurat z tej części świata i że mieszkamy w tym samym hotelu, w którym kiedyś spędziliśmy wakacje?

- Oj, tak. Cały czas mam w pamięci te potoki deszczu, które...

- Nie pamiętam, jaka wtedy była pogoda. Wiem, że właśnie tutaj nauczyłem się grać w golfa.

Zatrzymał się i wykonał gest, jakby właśnie popychał niewidzialną piłkę.

- Wspaniały strzał - zawołał. - Zawodnik jednym uderzeniem wprowadził piłkę do dołka.

- Sądziłam, że może będziesz chciał zagrać z ojcem dzisiaj rano.

- Pytał mnie o to, ale jakoś nie pasowało mi, żeby w dniu ślubu grać rano w golfa. W każdym razie straciłbym okazję do miłego spaceru z tobą.

Uśmiechnął się do niej. Miał takie jak ona jasne, kręcone włosy. Poza tym przypominał ojca, chociaż zwyczajem dzisiejszej młodzieży, wyrosłej ponad miarę, był o cztery cale wyższy od ojca i mocniej od niego zbudowany.

Pamiętała, jak był chudym, łatwo wpadającym w gniew małym chłopcem, próbującym stawić czoło dorosłym problemom gry w golfa, jakby to było coś najważniejszego w świecie. Nie od razu odnosił sukcesy. Nic jednak nie zdołało go zniechęcić, a i w końcu zapanował nad swoim wybuchowym charakterem. I tak jakoś z małego chłopca wyrósł bystry, przystojny młody człowiek, który niedawno zaręczył się i dzisiaj miał się odbyć jego ślub z Wirginią.

Wirginia pasowała do Toma, Laura często o tym myślała. Jedyne zastrzeżenie, jakie mogła mieć do tego związku, to że oboje byli zbyt doskonali. Dawno temu jej stara babcia mawiała, że dwie gwiazdy nie mogą świecić obok siebie na firmamencie. Wirginia była piękna, inteligentna, bogata i życzliwa ludziom. Ale te dwie gwiazdy tak bardzo się kochały, że to mogło wystarczyć, by wszystko obróciło się na dobre.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na idącego przy niej Toma. Podchwycił jej wzrok i uśmiechnął się, jakby czytając w jej myślach. I pomyślała, że wszystko powinno się ułożyć.

* * *

Ścieżka wiodła poprzez wydmy, a potem na dół, na plażę. Piasek był już suchy, miękki, a dalej był twarde brzeg obmywany przez fale. Leżały tam martwe wodorosty i śmiecie wyrzucone przez morze. Stary kalosz, niebieska butelka po jakimś detergencie, kawałki połamanej drewnianej skrzynki.

- Czy pamiętasz, jak czytałaś mi „Ring of Bright Water”, kiedy byłem po operacji kolana, i jak spodobał nam się Gavin Maxwell, który robił meble ze starych skrzynek wyrzuconych przez fale? Pomyśl, ile moglibyśmy zaoszczędzić, gdybyśmy z tego... - schylił się i podniósł małą listewkę, z której sterczały zardzewiałe gwoździe - zrobili szafę trzy drzwiami.

Uśmiechnęła się. To była zaledwie jedna z wielu książek, które czytała mu na głos w tych trudnych tygodniach po operacji. Kolano uszkodził przy grze w piłkę. Miał między innymi naderwane więzadło. Operacja udała się, ale musiał potem przez sześć tygodni leżeć w łóżku. Wtedy matka, by odpędzić nudę i ich wspólny strach, że już nigdy nie będzie mógł kopać piłki, grała z nim w gry planszowe, czytała na głos książki, oglądała z nim telewizję i razem rozwiązywali krzyżówki. To były niełatwe chwile dla nich obojga, ale teraz wspominała je jako coś miłego, bo było przyjemnie mieć syna tylko dla siebie i wspólnie odkrywać te wszystkie książki, które pokochała, gdy sama była dzieckiem.

Tom także rozmyślał teraz o tych chwilach.

- Czy wiesz, że bardzo dobrze czytasz na głos? - zapytał.
- Potrafisz naśladować głosy różnych ludzi i to brzmi tak, jakby wszystko działo się naprawdę.

- Och, Tom, to chyba jedyna rzecz, jaką potrafię.

- Nie rozumiem.

- Wiesz, zawsze byłam tak beznadziejna w różnych sportach. Nie umiałam grać w piłkę ani w tenisa, nigdy nie potrafiłam nauczyć się jeździć na nartach. Nawet kiedy przychodziłam do szkoły na twoje szkolne mecze, wszystko mi trzeba było wyjaśniać, a i tak nigdy nie mogłam się w tym połapać.

- Bardzo się cieszyłem, że przychodziłaś na te mecze.

- Tak, ale zawsze czułam wtedy, jaka straszna ze mnie gapa. I ilekroć usiłowałam zaplanować coś wspaniałego, nigdy mi się nie udawało. Na przykład wakacje w tym hotelu. Marzyłam o kąpielach w morzu, o budowaniu zamków z piasku, o piknikach. Tymczasem wszystko, co mogliśmy robić, to siedzieć na werandzie i czekać, aż przestanie padać.

- Mnie się bardzo podobały te wakacje.

- I te okropne chwile, kiedy z rodziną Ryszarda zabrałam was do Norwegii na narty. Po drodze złapała nas burza śnieżna i spóźniliśmy się na samolot. I ojciec musiał nam przesyłać telegraficznie pieniądze, żeby starczyło na opłacenie noclegu w hotelu.

- To była przygoda i nie było w tym twojej winy.

- I wtedy, kiedy wzięłam was wszystkich na Hebrydy... Zawsze, jeśli sama za co się biorę, przytrafia się coś nieoczekiwanego i potem nic już się nie udaje. Zupełnie inaczej, niż kiedy jest z nami wasz ojciec. Przy nim wszystko wychodzi. Wszystko działa jak dobrze naoliwione tryby jakiejś wielkiej maszyny. Nie pada deszcz, nie zdarzają się sztormy ani zamiecie śnieżne.

- Myślę, że znacznie zaniżasz swoją wartość, mamó - powiedział Tom.

* * *

Byli teraz sami na plaży. Silne podmuchy wiatru gięły trawy, sypały piaskiem w oczy. Kiedy jednak usiedli koło falochronu na osłoniętej od wiatru ławeczce, Laura poczuła, że jest ciepło i przyjemnie. Słońce grzało mocno poprzez tweedowy płaszcz, piekło w kolana.

Po chwili Tom powiedział:

- Czy naprawdę myślisz, że chciałbym mieć matkę sportsmenkę, hokeistkę czy coś w tym rodzaju?

Laura myślała, że już nie będą wracać do tego tematu, więc trochę zdziwiło ją pytanie Toma.

- Hokeistkę to niekoniecznie. Ale... pomyśl, jak to przyjemnie, kiedy możesz uprawiać sport razem z Wirginią. Pływacie razem, gracie w tenisa. Jeszcze trochę, a gotowa zainteresować się golfem. To czyni życie bogatszym. W małżeństwie wspólne zainteresowania są prawie tak ważne jak miłość.

- Nigdy z ojcem nie uprawialiście wspólnie żadnych sportów, a przecież jesteście dobrym małżeństwem.

- Tak, ale razem dbaliśmy o rodzinę, to czasem może wystarczyć.

- Jeżeli oczywiście jest się zadowolonym z efektów.

- Czy czekasz, aż ci teraz powiem, jakim wspaniałym jesteś synem?

- Wręcz przeciwnie, to ja o tobie chcę teraz powiedzieć coś miłego.

- Nie rozumiem.

- To, co robiłaś, było naprawdę wyjątkowe.

- Nadal nie rozumiem.

- Zawsze traktowałaś nas jak ludzi. Doceniłem to dopiero, gdy poszedłem do szkoły i zobaczyłem, że nie wszystkie dzieci mają szczęście i jak źle potrafi być w innych domach. Zawsze poważnie traktowałaś nasze sprawy. Nigdy z nas nie kpiłaś.

- To było takie ważne?

- Ważniejsze niż cokolwiek innego. To pozwoliło nam zachować godność.

Laura zmarszczyła brwi. Postanowiła nie ulec wzruszeniu, nie rozklejać się.

- Miło było patrzeć, jak dorastacie. A tu nagle okazuje się, że wszystko skończone. Dzieci dorosły i odeszły z domu. Ty masz dwadzieścia pięć lat i dzisiaj się żenisz. Dziewczęta wyjechały do Londynu i bardzo rzadko je widuję.

- Ale przyjeżdżają do ciebie z przyjemnością i jak już są, to gadają i chichoczą trzy razy tyle co zwykle.

- Może ja powinnam być bardziej niezależna.

- Nie próbuj być nikim innym, niż jesteś. Po prostu bądź miłą, a zobaczysz, że niedługo staniesz się najmiłszą w świecie babcią.

Zaśmiała się z tego pomysłu. Potem odciągnęła rękaw płaszcza, spojrzała na zegarek.

- Jak wiesz, nie mamy za wiele czasu. Pora wracać.

Podnieśli się z ławki i mijając falochron, niechętnie skierowali się w stronę hotelu. Tom schylił się jeszcze po kilka ładnych, kremowych muszelek, które wypatrzył leżące na piasku. Dał je matce, która ostrożnie, żeby się nie pokruszyły, włożyła je do kieszeni. Pomyślała, że schowa je w domu na pamiątkę tego niezwykłego dnia.

* * *

Trudno było mówić na silnym wietrze, więc jakiś czas szli w milczeniu, każde pograżone w swoich myślach. Gdy przechodzili koło pola golfowego, ujrzeni Rogera, który już szedł w stronę hotelu. I pierwszy raz Laura poczuła, że to wspaniałe i ekscytujące, że dziś idą do kościoła na ślub Wirginii i Toma. Kochała syna i wiedziała, że go traci. Nie czuła już jednak żalu.

W końcu doszli do hotelowej werandy.

- To był miły spacer - powiedziała Laura. - Dziękuję, że poszedłeś ze mną.

- To ja dziękuję.

- I... chciałabym.... teraz powiedzieć ci „do widzenia”. Byłoby dla mnie krępujące mówić to przy obcych ludziach. I, kochanie... - ujęła jego dłoń. - Bądź zawsze dobry dla Wirginii. Ona pasuje do ciebie i możecie być razem bardzo szczęśliwi.

- Wiem już, dlaczego ją wybrałem - powiedział nieoczekiwanie Tom. - Bo ona... przypomina mi ciebie.

- Mnie? - ten pomysł wydał jej się absurdalny. Nigdy

nie widziała dwóch aż tak bardzo różnych kobiet. - Wirginia miałyby być podobna do mnie?

- Tak, do ciebie. Jest ładna, dobra i mądra.

Po usłyszeniu tego Laura poczuła, że znowu coś ścisną ją w gardle. Łzy napłynęły jej do oczu. Przez chwilę walczyła z płaczem, potem kryzys minął. Uśmiechnęła się i pocałowała go na pożegnanie.

- Powiedziałeś mi bardzo miłą rzecz. Do widzenia, Tom.

- Do widzenia, mamuśka.

W zupełnie naturalny sposób nazwał ją teraz tak po dziecinnemu. Już od wielu lat nie mówił do niej „mamuśka”.

Pożegnali się i mogła już pójść do swojego hotelowego apartamentu.

Dobra i mądra. Te słowa napełniły ją dziwnym ciepłem. Dobra i mądra. Może mimo wszystko nie była aż tak nieudaną matką, jak to jej się wydawało.

Poszła do pokoju i zaczęła przygotowywać się do wesela.

Łyżwiarze

Dziesięcioletnia Jenny Peters otworzyła drzwi sklepu z towarami żelaznymi, należącego do pana Simsa, i weszła do środka. Była czwarta po południu, ściemniało się już i chwytał mrozek, ale u pana Simsa w sklepie było jak zawsze przytulnie i miło - grzał parafinowy piecyk, oko klienta cieszyła świąteczna dekoracja. „Użyteczne i eleganckie prezenty od Simsa” głosił napis przyklejony do lady. Właściciel sklepu, żeby napis nie wydał się bezpodstawny, związał czerwoną błyszczącą kokardę wokół rączki potężnych obcęgów.

- Dzień dobry, Jenny.
- Dzień dobry panu.
- Czym mogę służyć?

Wymieniła przeróżne rzeczy, które były jej niezbędne, niepewna, czy dostanie to wszystko u pana Simsa.

- ...muszą być malutkie światełka, takie jak w środku w lodówce. I zaciski... jak szczęki buldoga... umieszczę je na brzegu pudełka... - tłumaczyła właścicielowi sklepu.

Pan Sims zastanawiał się, co doradzić dziewczynce, przyglądając jej się z powagą sponad okularów.

- Czy baterie też będą ci potrzebne? - zapytał.
- Nie, dziękuję - odparła. - Mam długi przewód, doprowadzę energię z gniazdka w ścianie.
- Rzykujesz życiem, zrobisz krótkie spięcie i rodzice będą mieli problem.

- Poradzę sobie - uśmiechnęła się Jenny.

Sklepiarz zniknął na zapleczu. Jenny wyjęła z kieszeni portmonetkę i przeliczyła dokładnie swoje choinkowe oszczędności. Miała nadzieję, że to wystarczy. W przeciwnym razie pan Sims prawdopodobnie dałby jej kredyt aż do następnej tygodniówki, wołała jednak tego uniknąć.

Po niedługim czasie sklepiarz wrócił, niosąc to, o co prosiła. Otworzył pudełko i włożył wszystkie części niezbędne do tego, co zamierzała zrobić. Był tam nieduży przełącznik, zaciski, parę jardów izolowanego przewodu... Uchwyty były trochę większe, niż chciała, ale to nie miało znaczenia.

- Wspaniale, proszę pana, dziękuję, ale ile to będzie kosztowało?

Uśmiechnął się, licząc coś na brzeżku papieru, w który zamierzał zawinąć pudełko.

- Dziesięć procent obniżki sezonowej... przewód... dodatkowa przecena... - mrucał pod nosem. - To będzie, zaraz zobaczymy...

Napisał sumę ołówkiem kopiowym w rogu papieru: jeden funt osiemdziesiąt pięć pensów.

Ulga - miała tyle, ile potrzebowała. Podała banknot dwufuntowy, a sklepiarz starannie odliczył resztę.

- Co z tego będzie? - nie mógł powstrzymać ciekawości.

- Prezent gwiazdkowy dla Nataszy. To sekret.

- Nic nie mów. Czy spędzacie święta w domu?

- Tak. Przyjechała do nas babcia na święta. Tata był wczoraj po nią na dworcu.

- To miło - podał jej zapakowaną torbę. - Tylko pewnie dużo roboty i nie starczy czasu na łyżwy.

- Tak - mruknęła Jenny, a zaraz potem dodała uczciwie: - Tylko że ja nie umiem jeździć na łyżwach.

- Zgaduję, że nigdy nie próbowałaś.

- Niestety, po prostu nie mam zdolności. Jeździłam w butach Nataszy, ona już z nich wyrosła, ale one są na mnie za duże i ciągle się przewracałam.

- To jest sztuka - stwierdził sklepikarz. - Tak samo jak jazda rowerem.

- Też tak myślę - zgodziła się Jenny. - Dziękuję panu. Życzę wesołych świąt!

Wyszła z przytulnego sklepu wprost w mroźne powietrze. Pomyślała, że to trochę tak, jakby w ciepły dzień wskoczyła do lodowatego strumienia.

Nie było ciemno. Świeciły już uliczne latarnie. Do tego dochodził fantasmagoryjny blask kolorowych lampek choinkowych, którymi Tommy Bright z Bramley Arms udekorował wejście do pubu. Wioska, odkąd płynąca nie opodał rzeczka wylała i zaraz potem zamarzła, przemieniła się w wielką ślizgawkę. To wyglądało trochę jak scena w teatrze - jasna tafła lodu, a nad nią migotliwe światła pubu. Kosztowna dekoracja niewątpliwie opłaciła się Tommy'emu. Pub był pełen ludzi, a w kasie miło dzwoniły pieniądze.

Wioska leżała w płaskiej części kraju, odgródzona pasmem gór od południa. Domy, kościół, sklepy i pub, przez większość roku otoczone zielenią, zgrupowane były w pobliżu małej rzeczki, ledwie kapkę większej od strumienia. Właśnie tej jesieni, w listopadzie, rzeka wystąpiła z brzegów. Padały ulewne deszcze, a początek grudnia przyniósł pierwsze śniegi. Starzy ludzie mówili, że nie pamiętają takiej pogody. Woda wezbrała i w końcu nie zmieściła się w brzegach. Rzeczka zalała zieloną wioskę. Potem temperatura gwałtownie opadła, nocą ścisnął mróz i wszystko zamarzło. Mróz trzymał już od tygodnia i jeśli wierzyć w prognozy pogody, nie zamierzał popuścić. Wszystko wskazywało na to, że będą to mroźne świąta.

Wyszędłszy ze sklepu pana Simsa, Jenny zatrzymała się na chwilę, by nacieszyć wzrok bajeczną, karnawałową scenerią. Słyszała śmiech, wesołe pokrzykiwanie. Lód nęcił wszystkich, ściągaly tu całe rodziny. Nawet zupełnie małe dzieci wożono na sankach lub jeżdżono z nimi na łyżwach, mocno trzymając je na rękę. Mieszkańcy wioski jeździli na sankach, ślizgali się na łyżwach, próbowano grać

w hokeja. Powódź dla wszystkich stała się okazją do pysznej zabawy.

Jenny szukała wzrokiem swojej siostry. Dostrzegła ją szybko, głównie z powodu jaskrawego, różowego kombinezonu, jaki miała na sobie Natasza. Jenny patrzyła z podziwem na siostrę poruszającą się z niezwykłą gracją i wdziękiem, jak wytrawna łyżwiarka i artystka wielkiej miary. Natasza była szczupła, wysoka i miała zgrabne, długie nogi. Wszystko, co robiła, każdy rodzaj aktywności fizycznej, przychodziło jej bez trudu. W sposób zupełnie oczywisty i naturalny została kapitanem szkolnej drużyny tenisowej, a również zespołu gimnastycznego. Największą pasją w jej życiu stanowił taniec. Od piątego roku życia, kiedy to zapisano ją na kurs tańca, odnosiła niewątpliwe sukcesy, przynosząc do domu nagrody, medale i dyplomy. Marzyła o balecie.

Jenny, młodsza, mniejsza, na pewno nie wrodziła się w starszą siostrę. Kluskowata i niezgrabna, żyła w cieniu Nataszy. Ją również zapisano na kurs tańca. Problem leżał w tym, że nigdy nie potrafiła spamiętać, kiedy trzeba zacząć prawą nogą, a kiedy lewą. Zdołano ją nauczyć poleczki i czegoś tam jeszcze, ale poza tym nie czyniła żadnych postępów. Ćwiczenia gimnastyczne może i szły jej trochę lepiej, jednak zawsze kiedy przychodziło jej skakać przez kozła, kończyła po tej samej stronie przyrzędu, po której zaczynała.

Nie lubiła lekcji tańca. Nie buntowała się jednak przeciwko woli rodziców, trochę może dlatego, że kochała Nataszę, a była to jedyna rzecz, jaką siostry robiły razem. W głębi duszy marzyła o poświęceniu się czemuś zupełnie innemu. Na przykład nauce gry na pianinie. Mieli w domu fortepian, stał w salonie niemal bezużyteczny, wypełniony muzyką, po którą nie potrafiła sięgnąć. Gdyby umiała grać, wydobyć to piękno... Ale lekcje muzyki były drogie. Znacznie kosztowniejsze niż kurs tańca, na który chodziło wiele osób. I trochę brakowało jej odwagi, by podsunąć tę myśl

rodzicom. Można by było poprosić o coś takiego na urodziny, pomyślała. Niestety w takim razie trzeba poczekać z tym do lata.

- Jenny! - zawołała Natasza. Podjechała blisko do siostry, razem z koleżanką, z którą trzymały się za ręce. - Choć do nas! Spróbuj! Tym razem na pewno się uda.

Pomachała im, ale już odjechały, kręcąc piruety po przeciwnej stronie ślizgawki. To wyglądało tak lekko, tak łatwo... Ale ona już odkryła, że to najtrudniejsza rzecz w świecie. Włożywszy stare buty Nataszy, zdążyła już tego posmakować. Każdy krok był torturą. Stopy, nogi rozjeżdżały się we wszystkie możliwe strony. Przewracała się, nabijając sobie kolejne siniaki. Nie to jednak okazało się najgorsze, znacznie bardziej raniła ją świadomość, że znowu, kolejny raz, ośmieszyła się, wyszła na głupka.

Westchnęła, odwróciła się i poszła do domu. Cieszył ją mimo wszystko ten spacer - świąteczna, radosna atmosfera i kolorowo oświetlone choinki, błyszczące w oknach i w zamrożonych ogrodach.

W domu drzewko stało w salonie, ale niestety firanki były już zasłonięte. Weszła do środka, wsunęła głowę w drzwi. Mama, tata i babcia siedzieli przy kominku, przy wesoło trzaskającym ogniu, i pili herbatę. Babcia robiła na drutach. Uśmiechnęli się na jej widok.

- Może chcesz herbaty, córeczko? Albo lepiej zrobię ci gorącej czekolady. Nie zmarzłaś?

- Nie, dziękuję. Pójdę na górę do swojego pokoju.

Weszła na pięterko, do siebie. Zapaliła światło i zaciągnęła zasłony. To nie był duży pokój, ale zawsze jej własny. Podeszła do stolika, przy którym zwykle odrabiała lekcje, rysowała i majsterkowała, zależnie od nastroju, na którym zainstalowała nawet maszynę do szycia. Teraz jednak stolik był zawalony przeróżnymi niewielkimi rzeczami, niezbędnymi do wykończenia prezentu dla Nataszy.

Farbki, tubka kleju, ścinki włóczki, skrawki satynowej wstążki... Prezent stał osłonięty ściereczką. Znajdował się

w ukryciu cały czas, odkąd zaczęła nad nim pracować. Jenny miała duży szacunek dla matki, która nigdy, w żadnych okolicznościach, nie podglądała jej tajemnic. Nawet tylko na chwilę.

Teraz Jenny podniosła ściereczkę i przyglądała się temu, starając się patrzeć na to krytycznym wzrokiem Nata-szy. Czy na pewno wszystko zrobiła tak starannie, jak powinna?

To była miniaturowa scena z baletu. Wpadła na ten pomysł, ujrzawszy pustą, starą skrzynkę po winie. Zapytała ojca, czy może ją sobie zabrać, i nawet pomógł trochę, wymontowując jedną ze ścian. Dwie z pozostałych pomalowała na zielono, a do ściany pomiędzy nimi przykleiła reprodukcję starego obrazu, którą znalazła w sklepie z rzeczami używanymi. Malowidło przedstawiało wieś pokrytą śniegiem, zwierzęta na farmie i mężczyznę w czerwonym palcie ciągnącego sanki naładowane drewnem.

Podłogę w tym małym teatrzyku posmarowała klejem i posypała trocinami. Na środku umieściła okrągłe lustro, wyjęte z jakiejś starej kosmetyczki, które przedstawiało zamarznięty staw.

Były też drzewa - zielone gałązki drzew iglastych wsunięte w stare szpulki po niciach. Gałęzie i pnie aż lśniły od mrozu, posypane świątecznymi świecidełkami.

Do tego jeszcze tancerze i tancerki, zrobieni z kawałków izolowanego przewodu, ubrani w jasne ścinki materiałów, wstążki, skrawki białego tiulu. Zrobienie tancerzy zajęło jej całe wieki, ponieważ oni tu właśnie byli najważniejsi, naklejone precyzyjnie wyrysowane twarze i puszyste włosy ze ścinków włóczki.

Na szczęście to już było zrobione. Skończone. Tylko jeszcze trzeba zainstalować lampki. Otworzyła paczkę i ostrożnie wyjęła wszystkie części, które tak życzliwie wyszukał dla niej pan Sims. Zajęło to jeszcze trochę czasu. Musiała zejść na dół po śrubokręt. Kiedy skończyła robotę, jeszcze raz zmierzyła to wszystko wzrokiem, po czym podłączyła do

gniazdka od lampki, przy której zwykle odrabiała lekcje. Nacisnęła pstryczek i gdy tylko rozbłyły delikatne kolorowe światełka, wyłączyła górne światło w pokoju i w ciemności odwróciła się, by cieszyć oczy pełnym efektem swojej pracy.

Wyszło lepiej, niż kiedykolwiek mogła się tego spodziewać. Doskonale. Tak realistycznie, że prawie mogła sobie wyobrazić szczupłe miniaturowe figurki kołujące w tańcu, kręcące piruety jak prawdziwi łyżwiarze.

Po chwili wyłączyła to wszystko, przykryła ściereczką i zeszła na dół.

- Wszystko w porządku, kochanie? - zapytała matka.

- Tak, mam - odparła wesoło, po czym ukroiła sobie wielki kawał świątecznego ciasta.

* * *

Najważniejsze, że na święta zawsze było tak samo. Śpiewanie kolęd po kolacji wigilijnej, babcia grająca na pianinie. A potem wszyscy szli spać i wieszali nad łóżkiem skarpetki, żeby przypomnieć świętemu Mikołajowi o prezentach. Kiedy budzili się, zegar wskazywał mniej więcej wpół do ósmej i tak zawsze zaczynały się święta.

Pachniało świeżo obranymi mandarynkami, bekonem i jajkami na śniadanie. Święta oznaczały pójście do kościoła, spacer w mroźnym, ostrym powietrzu i śpiewanie „Cicha noc, święta noc...”, kolędy, którą lubiła najbardziej. I rozmawianie z ludźmi po mszy przed kościołem, i powrót do domu. Zagłądanie do piecyka, czy świąteczny indyk jest już gotowy, i zapalanie lampek na choince.

I potem, gdy już wszystko przygotowano, tata mówił: „Do biegu gotowi, start”. I wtedy już mogli zajrzeć do prezentów leżących pod drzewkiem.

Zapakowanie prezentu dla Nataszy stanowiło pewien problem. Czy owinąć teatrzyk papierem? W końcu Jenny wymyśliła coś przypominającego watowaną nakrywkę na czajnik. Zakryła tym teatrzyk i ostrożnie zeszła z tym na

dół, gdy nikogo nie było w salonie. Potem umieściła prezent pod stołem, niedaleko choinki, tam, gdzie nigdy nikt nie przechodził.

Teraz jednak szybko zapomniała o teatrzyku, podekscytowana prezentami, które sama dostała. Nowa lampka do jej roweru, szetlandzki sweter w różowo-niebieskie wzory i para czarnych, wygodnych butów, o których marzyła od dawna. Od babci chiński kubeczek z wypisanym złotymi literami jej imieniem. I jeszcze od babci...

Duża kwadratowa paczka owinięta w czerwono-biały świąteczny papier. Jenny zabrała się do rozpakowywania. Po chwili papier opadł, ukazując białe tekturowe pudło. Jeszcze więcej papieru... i nagle... Oczom zebranych ukazały się buty z łyżwami.

Piękne, nowiutkie, białe buty, połyskująca stal łyżew i rozmiar dokładnie taki, jak potrzeba. Jenny spojrzała na nie z mieszaniną zachwytu, ponieważ były tak fantastyczne, i strachu, ponieważ tak wiele oczekiwano i od tych łyżew, i od niej.

- Och, babciu.

Starsza pani obserwowała wnuczkę uważnie. Jenny zerwała się z podłogi i podbiegła, by ją uściskać.

- One są... takie wspaniałe.

Ich spojrzenia spotkały się. Oczy babci były stare, ale bardzo jasne. Zawsze potrafiły poznać się na kłamstwie.

- Nie możesz ślizgać się w butach, które na ciebie nie pasują. Wczoraj kupiłam dla ciebie ten prezent, ponieważ nie mogłam znieść myśli, że omija cię taka przyjemność.

- Pójdziemy na łyżwy dziś wieczorem - oznajmiła Natasza. - Musisz spróbować jeszcze raz.

- Tak - odparła posłusznie Jenny. I w tym momencie przypomniała sobie teatrzyk, jedyny prezent, który jeszcze nie został otwarty. - Ale przedtem musisz obejrzeć prezent ode mnie.

Siedzący z tyłu dorośli spojrzeli z oczekiwaniem. Prawdę powiedziawszy, nie mogli się doczekać, żeby zobaczyć

to, co Jenny konstruowała w sekrecie w swoim pokoju przez parę tygodni.

Jenny przykucnęła i włożyła wtyczkę do gniazdka.

- Teraz, Natasza, musisz zdjąć papier dokładnie w chwili, kiedy powiem, bo inaczej papier mógłby się zapalić. Ja teraz naciskam guziczek i...

- Wielkie nieba - zawołała babcia - czy to jest wulkan?

- Teraz! - krzyknęła Jenny.

Natasza szybko ściągnęła papier.

Błysnęły światła, blask brokatu odbijał się w lustrzanym stawie. Miniaturowi tancerze w ubrankach z satynowych wstążek i białego tiulu zdawali się tańczyć naprawdę na tle zasypanej śniegiem wsi.

Wrażenie było tak silne, że zapadła kompletna cisza.

Potem Natasza powiedziała:

- Nie mogę uwierzyć.

I teraz już każdy zaczął chwalić.

- Fantastyczne...

- Najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek...

- Nigdy bym się nie spodziewała.

Wszyscy wstali z krzeseł, by obejrzeć to małe arcydzieło. Patrzyli uważnie i z podziwem. Nie szczędzili jej pochwał. Natasza stała milcząco, jakby zabrakło jej słów. W końcu podeszła do siostry i rzuciła jej się na szyję.

- Będę to miała... zawsze... zawsze...

- To nie jest prawdziwy balet - powiedziała Jenny. - Chodzi mi o to, że nie jest to „Córka źle strzeżona” czy coś w tym rodzaju.

- Wolę taki balet. Mój własny zimowy balet. Ja... po prostu to kocham. Dziękuję, Jenny. Dziękuję.

O czwartej po południu świąteczny obiad dobiegał końca. Już prawie sprzątnięto ze stołu. Aż do przyszłego roku, do następnych świąt. Wniesiono jeszcze jakieś ciasto, krakersy, łuskane orzechy. Rodzice Jenny i Nataszy siedzieli z babcią w saloniku popijając kawę. Potem mieli zamiar pójść na spacer.

Natasza z łyżwami w ręku wybierała się natomiast na ślizgawkę.

- Chodź, Jenny. Ja już jestem gotowa - zawołała ze schodów.

- Jeszcze chwila - poprosiła Jenny.

- Co robisz?

Jenny siedziała na łóżku.

- Mam jeszcze parę spraw do zrobienia. Ale już się szykuję.

- Czy czekać na ciebie?

- Nie trzeba, znajdę cię na ślizgawce. Zaraz tam będę.

- Dobrze, zatem do zobaczenia.

Stuknęły zamykane drzwi i Natasza pobiegła w dół chodnikiem do furtki.

Jenny została sama. Dostała łyżwy. Na pewno nie było to jej marzeniem, bo przecież wcale nie umiała jeździć. Nawet nie o to chodziło, że nie chciała się nauczyć. Po prostu bała się. I to nie tego, że mogła się przewrócić i nabić sobie siniaka. Najgorsze było to, że wystawiała się na pośmiewisko. Ludzie kpili z niej albo było im jej żal. Ani drwiny, ani litość na pewno nie były miłe.

Chciałabym być taka jak Natasza, pomyślała. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Chciałaby fruwać jak ptak ponad ślizgawką, mieć długie jasne włosy i zgrabne, szczupłe nogi i żeby każdy ją podziwiał i chciał jeździć razem z nią za rękę.

Zamiast tego mówią o niej ciągle „biedna mała Jenny” i jak przewraca się i znowu boleśnie uderza kolanem o lód, od razu słyszy „nie udało się, spróbuj znowu, tym razem będzie lepiej”.

Pomyślała, że nie ma ochoty nigdzie wychodzić, że mogłaby wygodnie położyć się na łóżku i czytać nową książkę, którą dostała od Nataszy, ale przecież obiecała. Wzięła łyżwy do ręki i powoli wyszła z pokoju.

Delikatnie, cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Iść czy nie iść? - zastanawiała się i szła bardzo powoli,

jakby dopiero uczyła się chodzić. Między jednym krokiem a drugim przemyślała, czy jednak nie zostać w domu.

Dorośli siedzieli w saloniku. Pili kawę i rozmawiali. Słyszała głos babci. Dochodził całkiem wyraźnie mimo zamkniętych drzwi.

- Takie utalentowane dziecko. Ileż ona godzin musiała spędzić, konstruując to malutkie arcydzieło. A i pomysł, że też wymyśliła coś tak ładnego...

- Zawsze miała zdolności do majsterkowania. I pomysły na modele własnej konstrukcji - to mówił tata.

I oni teraz wszyscy mówili o niej.

- Aż szkoda, że nie urodziła się chłopcem.

- Oj, zlituj się, John, co ty wygadujesz! - babcia wyraźnie zirytowała się. - Dlaczego dziewczynka nie może mieć zdolności do majsterkowania.

- To zupełnie niezwykle - teraz mówiła matka Jenny, to brzmiało jakby się zastanawiała. - Żeby dwie siostry były tak zupełnie inne. Nataszy wszystko przychodzi z łatwością. A Jenny... - tu głos jej się załamał.

- Nataszy przychodzi z łatwością to, czym ona się interesuje - oburzyła się babcia. - Jenny jest innym dzieckiem. Myślę, że powinniście uważać, żeby nie traktować jej w ten sposób. Mimo wszystko one nie są parą identycznych bliźniaków. Uważacie, że Jenny powinna tańczyć tylko dlatego, że Natasza robi to bardzo dobrze. Dlaczego Jenny musi uczyć się tego, czym interesuje się Natasza? Trzeba jej pozwolić, by rozwijała swoje zdolności, a nie starała się być dokładną kopią Nataszy.

- Co przez to rozumiesz, mamo?

- Słuchałam jej, kiedy śpiewaliśmy kolędy wczoraj wieczorem. Można powiedzieć, że Jenny obdarzona jest słuchem doskonałym. Jest bardzo muzykalna. To dziwne, że jej nauczyciel muzyki jeszcze nie zwrócił na to uwagi. Czy myśleliście już, żeby zapisać ją na lekcje gry na fortepianie?

Nastąpiła długa cisza, po czym tata Jenny powiedział:

- Nie.

To nie zabrzmiało, jakby się gniewał, tylko jakby nigdy przedtem nie pomyślał o czymś takim i nie rozumiał, dlaczego dotąd się nad tym nie zastanowił. Jakoś tak.

- W tańcu Jenny nigdy nie dojdzie do niczego więcej niż radosne podskakiwanie dookoła tamburyna. Pozwól jej grać na pianinie, zobaczysz, co ona potrafi.

- Myślisz, że będzie tego chciała? I że sobie poradzi?

- Tak utalentowane dziecko potrafi wszystko, czego zechce spróbować. Aby tylko miała do tego serce. Ona po prostu potrzebuje, żebyśmy w nią wierzyli. Myślę, że jak zmienicie swoją taktykę, sprawi wam wszystkim ogromną niespodziankę.

Głosy umilkły, nastąpiła cisza. W jakimś momencie mama zaczęła zbierać na tacę puste filiżanki po kawie. Nie chcąc, by ją teraz zauważyli, Jenny cichutko zsunęła się z ostatniego schodka i bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi wejściowe. W dół chodnikiem, potem przez furtkę i na drogę.

Zatrzymała się.

„Czy kiedyś pomyśleliście o lekcjach gry na pianinie? Pozwólcie jej uczyć się grać”. Koniec z lekcjami tańca, teraz będzie mogła zająć się tym, co naprawdę lubi.

„Dziecko tak utalentowane potrafi wszystko, czego zechce spróbować. Aby tylko miała do tego serce”.

Jeżeli babcia wierzyła w jej zdolności, może miała rację. Kochana babcia. I w dodatku zadała sobie wiele trudu i wydała mnóstwo pieniędzy, kupując jej takie dobre łyżwy na Gwiazdkę. Jenny czuła się zobowiązana. Powinna zrobić jeszcze jedną próbę, może jednak nauczy się jeździć. Babcia naprawdę w nią wierzy.

Pomarańczowe słońce schowało się za horyzont. Z daleka poprzez mroźne powietrze dolatywał ją zgiełk, śmiechy, harmider. To właśnie ze ślizgawki. Jenny zaczęła iść w tym kierunku. Kiedy już doszła, nie rozglądała się za Nataszą. Sama wiedziała, co teraz musi zrobić. Nie potrzebowała żadnej pomocy.

- Cześć, Jenny, wesołych świąt!

To była koleżanka z klasy, miała sanki. Jenny przysiadła na sankach. Zdjęła kozaki i włożyła przepiękne, nowe, białe buty z łyżwami. Były wygodne, z miękkiej skóry i opasywały kostki jak stary przyjaciel. Stała na zielonej trawie i zrobiła dwa kroki. Spokojnie, żadnego chybotania. Doszła do lodu, wyraźnie miała w pamięci to, czego uczyła ją Natasza. „Ustaw stopy w trzeciej pozycji i odepchnij się”. Zrobiła to trochę niepewnie, ale udało jej się utrzymać równowagę. Wzięła głęboki oddech.

„Taka zdolna dziewczynka wszystko potrafi. Aby tylko miała do tego serce”. Tak, to powinno się udać. Najpierw jedna noga, potem druga.

Babcia miała rację. Jenny jechała, nie przewracała się i nie machała śmiesznie rękoma. Raz, dwa, raz, dwa - jechała na łyżwach.

- Jeździsz! Jak wspaniale! - od razu pojawiła się przy niej Natasza. - Nie, nie patrz na mnie, uważaj. Nie możesz się przewrócić. Zobacz, daj mi rękę, będziemy jeździć razem. Doskonale! Pamiętaj, co ci mówiłam. To łatwe. Przedtem tylko dlatego nie umiałaś jeździć, że miałaś te okropne buty, za duże na ciebie.

Jechały razem. Dwie siostry trzymające się za ręce pędziły przed siebie z policzkami płonącymi od mrozu. Jak ptaki szybujące w przestworzach. Słońce zachodziło jak dobrze ugotowane jajko, na niebo wpływał cienki rogalik księżycy.

- Prezent, który dostałam od ciebie, jest najwspanialszy ze wszystkiego - powiedziała Natasza. - A co tobie podobało się najbardziej?

Jenny nie odpowiedziała. Po pierwsze dlatego, że była zbyt zadyszana, po drugie, że nie miała czasu nad tym się zastanowić. Wiedziała tylko, że to najlepsze nie było zapakowane w świąteczny, kolorowy papier i że to było coś, z czego będzie się cieszyć chyba do końca życia.